

**Margit Sandemo**

## **CHŁOPIEC Z POŁUDNIA**

Saga o Królestwie Światła 06

tłumaczyła: Anna Marciniakówna

### STRESZCZENIE

Do Królestwa Światła dotarli już wszyscy ci, których historię kolejno postaramy się przedstawić.

Głównymi bohaterami opowieści będą reprezentanci młodszego pokolenia.

Pojawić się mogą wprawdzie nowe, dotychczas nie znane postaci, lecz trzon niepoprawnej grupy przyjaciół stanowią następujące osoby:

Jori, syn Taran, chłopak o brązowych, kręconych włosach, który odziedziczył po ojcu łagodne spojrzenie, a po matce katastrofalny brak odpowiedzialności.

Wzrostem i urodą nie dorównuje przyjaciołom, lecz te braki kompensuje szaleństwem i śmiałością.

Jaskari, syn Villemanna, grupowy siłacz, długowłosy blondyn o bardzo niebieskich oczach i mięśniach, które grożą rozerwaniem koszuli i spodni. Kocha zwierzęta.

Armas, w połowie Obcy, wysoki, inteligentny, o jedwabistych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami i wychowany znacznie surowiej niż pozostali.

Elena, córka Danielle, o beznadziejnej, jak sama twierdzi, figurze. Spokojna i sympatyczna, lecz wewnętrznie niepewna, za wszelką cenę pragnie być taka jak wszyscy. Ma długą grzywę drobno wijących się loczków.

Berengaria, córka Rafaela, o cztery lata młodsza od pozostałych. Romantyczka o smukłych członkach, długich, ciemnych, wijących się włosach i błyszczących,

ciemnych oczach. Jej charakter to wachlarz wszelkich ludzkich cnót i słabości. Bystra, wesoła, skłonna do uśmiechu, ma swoje humory. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.

Oko Nocy, młody Indianin o długich, gładkich, granatowoczarnych włosach, szlachetnym profilu i oczach ciemnych jak noc. O rok starszy od czworga opisanych na początku.

Tsi-Tsungga, zwany Tsi, istota natury ze Starej Twierdzy. Niezwykle przystojny młodzieniec o szerokich ramionach, cętkowanym zielonobrunatnym ciele, szybki i zwinny, wprost tchnie zmysłowością.

Siska, mała księżniczka, zbiegła z Królestwa Ciemności. Z wyglądu podobna do Berengarii. Ma wielkie, skośne, lodowato szare oczy, pełne usta i bujne włosy, czarne, gładkie, lśniące niczym jedwab. Dystansuje się od młodego Tsi i jego pupila Czika, olbrzymiej wiewiórki.

Indra, gnuśna i powolna, obdarzona wielkim poczuciem humoru, z przesadą podkreśla swoje wygodnictwo. Ma wspaniałą cerę i elegancko wygięte brwi. W tym samym wieku co czworo pierwszych.

Miranda, jej o dwa lata młodsza siostra. Rudowłosa i piegowata. Wzięła na swe barki odpowiedzialność za cały świat, postanowiła go ulepszyć. Zagorzała obrończyni środowiska, o nieco chłopięcych ruchach. Nieugięta, jeśli chodzi o niesienie pomocy cierpiącym ludziom i zwierzętom.

Alice, zwana Sassą, jedna z najmłodszych, przybyła do Królestwa Światła wraz z dziadkami. Jako dziecko uległa strasznym poparzeniom. Marco usunął jej wszystkie blizny, lecz dziewczynka wciąż pozostaje nieśmiała, nie chce pokazywać się ludziom ani z nimi rozmawiać. Ma kota o imieniu Hubert Ambrozja. Dolgo, noszący niegdyś imię Dolg. Ponieważ dwieście pięćdziesiąt lat spędził w królestwie elfów, wciąż ma dwadzieścia trzy lata, posiada jednak niezwykłą mądrość i doświadczenie. Nie jest stworzony do miłości fizycznej. Jego najlepszym przyjacielem jest pies Nero.

Marco, wiecznie młody, choć liczący sobie już ponad sto lat. Niezwykle potężny

książę Czarnych Sal. On także nie może poznać miłości.

Ani on, ani Dolgo nie należą do grupy młodych przyjaciół, są jednak dla nich ogromnie ważni. Marco, podobnie jak Indra, Miranda i Sassa, pochodzi z Ludzi Lodu.

### OMÓWIENIE TOMU „NOC ŚWIĘTOJAŃSKA”

Jori i Tsi-Tsungga jako pierwsi w historii wrócili żywi ze strasznych Gór Czarnych. To Gondagil i Czik, ogromna wiewiórka Tsi, uratowali ich przed atakiem jakichś potwornych istot i odwieźli bezpiecznie do Królestwa Światła.

Obcy, Lemurowie i Madragowie pracują gorączkowo nad możliwością powstrzymania zniszczenia zewnętrznego świata. Brakuje jeszcze tylko jednego elementu - znajduje się on w Górach Czarnych, jest to mianowicie woda z jasnego źródła dobra, które tam właśnie bije.

Większość członków niebezpiecznej ekspedycji do źródła już została wyznaczona. Brak tylko jednego: wybranego.

Jest to bardzo młody chłopiec, którego należy sprowadzić z otoczonych legendami południowych części Królestwa Światła. Nikt oprócz Obcych i Strażników nie wie nic o tej okolicy.

Do sprowadzenia chłopca została wyznaczona Indra, ponieważ uznano, że jest jedyną osobą, która może się zająć tym wyjątkowo trudnym dzieckiem.

Indra jest zaszokowana okazaniem jej zaufaniem. Będzie musiała nareszcie ruszyć się z miejsca. A tego nigdy przecież nie czyni bez koniecznej potrzeby.

1

- Wszystko wygląda strasznie paradnie - powiedziała Indra do fryzjerki, która ułożyła jej długie, ciemne włosy w klasyczną fryzurę. - Kreacje są tak piękne i zwiewne, że mogłabym wystąpić w greckim chórze, a buty takie, że właściwie nie powinnam dotykać ziemi. Okazało się też, że czeszę się nieodpowiednio. W jakim celu ta cała elegancja? Wyruszamy przecież w pełną przygód podróż. To ma być ekspedycja! Miranda wcale nie potrzebowała się stroić, kiedy wyruszała do Królestwa Ciemności. Jej wystarczyły kamasze i stare ubrania, a mimo to zdołała

3

podbić serce takiego przystojnego mężczyzny jak Gondagil. Ja też chciałabym poznać kogoś podobnego!

Fryzjerka uśmiechnęła się.

- To zupełnie inna podróż. Zresztą proste ubrania też ze sobą weźmiesz. Sądzę, że Miranda nie musiała wyglądać szczególnie elegancko w tej okropnej Ciemności.

- A ja muszę? - zapytała Indra wyzywająco, ale w odpowiedzi otrzymała jedynie przelotny uśmiech. Cóż, zdawała sobie przecież sprawę, że młoda kobieta, która tak pięknie ułożyła jej włosy, też nie ma pojęcia o południowych częściach Królestwa. Zdaje się, że wiedziało o nich cokolwiek zaledwie kilka osób. Obcy, tak, i może niektórzy Strażnicy. Nikt poza tym.

Indra nie wybierała się po chłopca sama. W te tajemnicze rejony wyprawiano z nią niewielką eskortę, ale dziewczyna wciąż jeszcze się nie orientowała, kim będą jej towarzysze. Niepewnie przyglądała się zbyt pięknym rezultatom starań sympatycznej fryzjerki.

- Myślisz, że uda mi się utrzymać tę fryzurę na wietrze i w niepogodę?

- O ile wiem, to w Królestwie Światła nie wieją zbyt gwałtowne wiatry - odparła kobieta. - Poza tym ja pojedę z tobą, by utrzymać twoją fryzurę i ubranie w należyтым porządku.

Indra ucieszyła się.

- No, przynajmniej jedna rozsądna osoba w moim orszaku! Po co jednak ta cała histeria związana z jakimś chłopcem? To może księżę, czy coś w tym rodzaju?

- Wiem nie więcej niż ty.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego wybrano właśnie mnie - mruknęła Indra. - Nie mam żadnego doświadczenia w postępowaniu z dziećmi, czasem tylko poszturchiwałam młodszego brata, ale trudno to nazwać pedagogicznym przygotowaniem.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Zobaczymy.

Rzeczywiście, wkrótce miały się o wszystkim przekonać.

Eskorta nie była imponująco liczna. Indra stwierdziła jednak z zadowoleniem, że orszak sprawia bardzo solidne wrażenie.

Był z nimi budzący poczucie bezpieczeństwa Ram. Był też Rok. W porządku. Bała się trochę, że pójdzie również wyniosły Obcy, Talornin. On może się okazać zbyt wymagający, myślała Indra z niepokojem. Jej siostra, Miranda, wiedziała o tym co nieco. Bogu dzięki miał też z nimi jechać Armas. Był już w pełni wykształconym Strażnikiem i to jest jego pierwsze zadanie. No i młoda fryzjerka imieniem Vida. Łącznie pięć osób. To wszystko. Indra uświadomiła sobie, że żadne z nich nie nosi broni. Najwyraźniej miała to być pokojowa wyprawa. Zresztą nic dziwnego, znajdują się przecież w obrębie Królestwa Światła.

Chociaż nie całkiem. Wiedziała już o tym po wcześniejszych wyprawach badawczych. Południowa część znajdowała się w obrębie królestwa, nigdy jednak młodym mieszkańcom nie udało się tam dotrzeć w swoich gondolach. Indra i jej towarzysze łamali wszelkie zasady, wszystkie zakazy i znali całe Królestwo Światła lepiej niż inni. Byli w Starej Twierdzy, w Srebrzystym Lesie, pod murami i po ich drugiej stronie, odwiedzali miasto nieprzystosowanych w okresach, kiedy nie powinni tam zaglądać. Teraz pozostała już tylko północna część, należąca do Obcych. Armas spenetrował okolice znajdujące się w sąsiedztwie królestwa, ale nawet on nie był nigdy w najbardziej tajemniczych regionach na dalekiej północy.

No i oczywiście część południowa. Najbardziej mistyczna ze wszystkich zakątków Królestwa Światła. Wiadomo, że część północna jest zamieszkała przez Obcych, nikt jednak nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co znajduje się na południu.

Młodzi okazywali respekt północnej części zajętej przez Obcych. Ze względu na Armasa nigdy nie próbowali jej zbadać. Natomiast południowa... och, próbowali wielokrotnie!

Tam jednak napotykali ścianę. Dosłownie. Odkryli stosunkowo wcześnie, że w

obrębnie murów znajduje się jeszcze jeden mur. Oddzielał on ich część świata od części południowej. Armas zapytał kiedyś swego ojca, Strażnika Góry, i otrzymał odpowiedź, że właściwie jest trochę inaczej. Kopała nad Królestwem Światła jest przeważnie kulista, z wyjątkiem części południowych i północnych. Tam wznoszą się inne kopyły, powiązane z tą nad Królestwem Światła. Powiązane poprzez... jakby to nazwać? Gigantyczne korytarze? Każda z tych części posiada własne ogromne Słońce, które oświetla właśnie ją. Nie, Armas mieszkał w centrum tego obszaru, zabroniono mu natomiast odwiedzać obrzeża. Jego ojciec jednak bywał tam często. Ale nigdy ani syn, ani jego matka, Fionella. Kryjące się tam tajemnice uznano za zbyt ważne, by można było ujawniać je zbyt wielu.

O tym wszystkim rozmyślała Indra, kiedy wyznaczonego dnia weszła na pokład Szybkiej gondoli Rama. Zabrali ją sprzed domu. Machała na pożegnanie ojcu, Mirandzie i Gondagilowi.

- Ja też poszukam sobie takiego przystojnego dzikusa jak ty, Mirando! - wołała wesoło.

- Nie licz na to, nie znajdziesz - mruknął Ram. - Przynajmniej w czasie tej podróży. Indra roześmiała się do niego szeroko.

Nie miała tym razem niewygodnych aparacików mowy, a fryzura została spryskana lakierem tak, by długo mogła pozostać nienaruszona. Indra była bardzo ładnie ubrana, ale nie w tamte zwiewne stroje, dzisiaj włożyła bluzkę i szorty w kolorach białym i jasnozielonym, białe skarpetki i buty. Ram wyjaśnił, że tam, dokąd zmierzają, nie będzie zimno. W południowej części pogoda jest równie przyjemna jak na pozostałych terenach Królestwa Światła. Mniej więcej.

Ale piękna sukienka została zapakowana do walizki, która leżała teraz na podłodze gondoli. Vida już siedziała w gondoli. Rok także. Okazało się, że tworzą oni parę. Indra doznała lekkiego szoku, gdy uświadomiła sobie, jak mało w gruncie rzeczy wie o życiu Strażników, jak beztrosko ona sama i jej przyjaciele korzystają z ich wsparcia. Cóż, na przykład, wie o Ramie? Nic, nic poza tym, że jest Lemurem i najpotężniejszym Strażnikiem w Królestwie Światła.

Dyskretnie spoglądała na niego, kiedy uruchamiał gondolę. Spokojnie unieśli się w górę przed bramą jej domu i skierowali ku północy.

Ram to typowy Lemur. Czarnooki, jak Dolg, wyglądał na jakieś trzydzieści lat, w gruncie rzeczy musiał jednak być strasznie stary, ponieważ dosłużył się tak wysokiego stanowiska. Kiedy Indra na niego patrzyła, przychodził jej na myśl chart afgański. Ram zachowywał się z taką samą godnością i wyniosłym spokojem. Majestatyczny, pełen rezerwy, tajemniczy i niezależny podobnie jak tamto zwierzę. Przy tym niezwykle pociągający, jak wszyscy Lemurowie. A jego prywatne sprawy? Teraz okazało się na przykład, że Rok posiada towarzyszkę życia, może więc z Ramem jest podobnie? Czy wypada zapytać?

Właśnie teraz chyba nie. Może później, jeśli nadarzy się okazja.

Zabrali Armasa sprzed bramy Obcych w części północnej. Jego ojciec, Strażnik Góry, udzielał jeszcze jakichś przestróg, chciał być pewien, że szczęśliwie ruszą w drogę.

- Powinniśmy byli wysłać więcej naszych - powiedział do Rama. - Ale wkraczamy na to terytorium tylko w razie konieczności.

Minę miał dość ponurą. Doprawdy, piękne widoki, stwierdziła Indra z przekąsem, ale Ram starał się uspokoić Strażnika Góry.

- Damy sobie radę - zapewnił. - Oni dostali przecież wiadomość, że przybędziemy, by zabrać chłopca.

Jacy oni? zastanawiała się Indra. Czy nie czas już, by dowiedziała się czegoś więcej o miejscu, do którego zmierzają?

Nikt jednak nie przejawiał specjalnego zapału do udzielania informacji.

Zwróciła uwagę, że na pokładzie gondoli znajdują się jakieś wielkie skrzynie czy kufry.

Zapyła o nie Roka.

- To prezenty - wyjaśnił.

- Łapówki? - roześmiała się cierpko.

- Nie, skądże znowu? - odparł lekko, lecz jego twarz nie wyrażała niczego. -

Nagroda i zapłata za to, że możemy wypożyczyć chłopca.

Ram rozwinął teraz największą szybkość i pęd powietrza popchnął Indrę na oparcie. Machinalnie osłoniła rękami włosy, by ratować fryzurę, na szczęście Ram podniósł przezroczystą kabinę gondoli i gwałtowny opór powietrza ustał.

Armas odwrócił się do niej i uśmiechnął radośnie. Uwielbiał taki pęd.

Ten chłopak ostatnio bardzo wyprzystojniał, pomyślała Indra. Jakby dojrzał wcześniej niż inni młodzi ludzie z ich grona. Jori, na przykład, w ogóle nie był jeszcze dojrzały. Indra wiedziała, że Jori powinien być brać udział w tej wyprawie jako w pełni wykształcony Strażnik, ale ze względu na szalone przygody w Królestwie Ciemności miał na jakiś czas zakaz podróżowania. Ku swojej wielkiej rozpaczy.

Armas, jako półkrwi Obcy, był wyższy niż inni pasażerowie gondoli, nawet niż Ram, przewyższający o głowę dość przecież wysoką Indrę. Wszyscy trzej Strażnicy nosili teraz takie same ubrania, kremowe koszule, a na to krótkie pelerynki ze znakiem Świętego Słońca na piersiach. Złote Słońce otoczone zygzakowatymi promieniami. Rodzina Czarnoksiężnika rozpoznała te znaki, podobne znaleźli w Europie Południowej i na zboczach gór w wielu innych miejscach. Znaki Strażników były utkane wraz z materiałem na koszule, natomiast znaki Obcych zostały wykonane z prawdziwego złota i nosiło się je na szyi na złotych łańcuchach. Armas tymczasem w ogóle nie został wyposażony w taki amulet, zbyt dużo ludzkiej krwi płynęło w jego żyłach. Z całego grona przyjaciół Indra знаła najmniej właśnie Armasa. Podobnie jak Oko Nocy. Indianin jednak był bardziej otwarty, nietrudno było się do niego zbliżyć. Armas natomiast wciąż miał jakieś zajęcia w innych miejscach, zlecane mu przez Obcych i Strażników, bardziej też z natury zamknięty, odnosił się do wszystkich z rezerwą.

Ale nie można mu odmówić życzliwości. Potrafił też żartować, bez mrugnięcia okiem przyjmował drastyczne niekiedy przejawy poczucia humoru Indry.

- Czy wiesz, dokąd my lecimy? - zapytała go teraz.

- Nie. Nie więcej niż ty. Do południowej części. Po to, by zabrać stamtąd



wybranego chłopca. Kropka.

- Dlaczego nie wiemy nic więcej?

- Ojciec powiedział, że lepiej wypełnimy zadanie, jeśli nie będziemy za dużo wiedzieli.

- Muszą tam jednak mieszkać jacyś ludzie. Skoro zabierzemy chłopca. Chodzi mi o to, że nie jest to ani mała, ani dziecko wychowane wśród zwierząt.

- Tyle to i ja się domyślam. Armas przyjrzał się jej badawczo.

- Jesteś prawie niepodobna do siebie. Zawsze miałaś swój styl, ale teraz wyglądasz wyjątkowo. Niemal... - uśmiechnął się lekko. - Niemal klasycznie.

- Dziękuję - odparła onieśmielona. Złożyła ręce na kolanach. - Tak, o rany, jaka jestem elegancka! A jakie zabrałam ze sobą wspaniałe kreacje! I buty! Sandaalki z cieniutkich złotych rzemyków na obcasach wysokich i cienkich jak szpile. A do tego długa, biała suknia. Mogłabym w niej odgrywać Medeę albo Antygonę, gdyby było trzeba. Powinieneś mnie w tym zobaczyć!

- Z pewnością tak się stanie - uśmiechnął się Armas. - Ja też zapakowałem niebywale wytworne ubranie. Nikt by nas tak nie stroił, gdybyśmy wybierali się w odwiedziny do mała.

- A powinni - mruknęła Indra. - Zwierzęta też mają prawo cieszyć się naszą niezwykłą urodą. Armas uśmiechnął się szeroko.

- Polecono mi także, bym przypomniiał sobie najlepsze maniery.

- Tak? A co sądzisz o moich? Jak się zachowuję?

- Jak dotychczas, nie było to przesadnie eleganckie - zachichotał Armas. - Myślę jednak, że potrafisz, jeśli tylko zechcesz.

- Uruchomię ukryte rezerwy - zapewniła Indra.

Oparła się i zaczęła spoglądać na dół. W tej chwili lecieli nad wspaniałymi lasami Królestwa Światła, znajdowali się już daleko na południu, tam gdzie młodzi nie bywali zbyt często. Indra wiedziała, że mieszkają tam ci, którzy wstali z martwych, którzy na ziemi spędzili krótkie i nieszczęśliwe życie i których miody chłopiec, Dolg, uratował dzięki swemu szafirowi. Otrzymali teraz szansę na nową i godną

egzystencję. W tych okolicach również przebywały duchy. Duchy Móriego oraz Ludzi Lodu. Młodzi podróżnicy nigdy ich tu nie odwiedzali, ponieważ Móri zapewniał, że duchy chciałyby żyć własnym życiem. Było ich jednak tak wiele, że raczej nie można mówić o eremickiej egzystencji.

Gdzieś tutaj miało się też znajdować duże miasto Lemurów, na razie jednak Indra niczego takiego nie dostrzegła. Podróż przebiegała bardzo szybko, lasy przepływały jej przed oczyma niczym zielona gęsta smuga.

Indra westchnęła cichutko. Gdzieś w tym zielonym morzu znajduje się Tsi-Tsungga, chociaż właściwie chyba nie tutaj. Przebywał zwykle w pobliżu Sagi, gdzie mieszkali jego przyjaciele.

Dlaczego nigdy nie udało jej się spotkać sam na sam z Tsi-Tsungga w tych tajemniczych lasach? Robiła częste wycieczki, chodziła po miękkich ścieżkach i po szmaragdowej trawie, pod dekoracyjnymi drzewami, których liście lśniły niczym zielonkawo złoto lub srebro. W mrocznych lasach wdychała ciepły zbutwiałych zapach ziemi i jej ciało zlewało się w jedno z naturą. To były bardzo podniecające i rozkoszne, a zarazem boleśnie tęskne wyprawy. Nigdy jednak nie spotkała Tsi-Tsunggi. Ona nie, ale Elena i Miranda widywały go często.

Dlaczego tak to jest? Elena była zbyt płochliwa, by odważyć się na przeżycie z Tsi erotycznej chwili. I zbyt surowo wychowana. Miranda zaś, odkąd spotkała Gondagila, nie interesowała się seksem z innymi. Żadna z nich nie wykorzystwała okazji, by oddać się fantastycznym przeżyciom z tą istotą natury imieniem Tsi-Tsungga.

Indra w tych sprawach nie miała żadnych skrupułów. Skoro spotykała jakiegoś urodziwego młodego mężczyznę, a on okazywał jej zainteresowanie, to... komu to szkodzi? Nikomu.

Ona mogła dać samotnemu Tsi naprawdę szczęśliwe chwile, wiedziała o tym, przecież chłopcy na ziemi zawsze jej to powtarzali. Jest dobra, wiedziała, co robić, by doprowadzić mężczyznę do uniesienia. Nie znaczy to, że gotowa była iść do łóżka z byle kim, w żadnym razie, miewała jednak erotyczne przygody i

dawały jej one sporo przyjemności.

Szczerze powiedziawszy, nie było tych przygód zbyt wiele. A odkąd przybyła do Królestwa Światła, żadnych. Tak się po prostu ułożyło. Jedynym, który mógł rozpaść jej wyobraźnię, był rzeczywiście tylko Tsi-Tsungga.

Z zamyślenia wyrwało ją gwałtowne szarpnięcie gondoli, pojazd wytracał szybkość, schodzili ku ziemi. Lasy pod nimi już się skończyły, patrzyła teraz na rozległe łąki obsypane kwieciami.

Jak Ram widzi mur, nie mogła tego pojąć, ona raczej go wyczuwała, niż dostrzegała. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś przed nimi stawia opór. Tak nietoperz musi odbierać istnienie przeszkody, pomyślała.

Wylądowali miękko i dach się rozsunął. Uderzyło ich w twarze przyjemne powietrze, pełne zapachu kwiatów.

- Gondolą dalej już nie polecimy - wyjaśnił Ram. - Resztę drogi przebedziemy piechotą.

Indra nie miała odwagi zapytać, czy to daleko, na szczęście Armas uczynił to za nią. Ram odparł wymijająco: „Kawałek”.

To mogło oznaczać wszystko. Ale jeśli Miranda mogła wędrować całymi milami po Królestwie Ciemności, to ona też może.

- Nie wiem, czy to widzicie - powiedział Ram. - Tutaj mur nie załamuje się w górze, nie tworzy kopuły, stoi pionowo. Jak wcześniej mówiłem, jest to ściana wzniesiona w obrębie naszych murów.

- Ale przestrzeń po drugiej stronie jest tutaj spora, prawda? - zapytał Armas. - Coś w rodzaju rozległej przybudówki lub absydy?

- No właśnie. Po drugiej stronie pionowego muru znajduje się stosunkowo rozległy teren. No, a oto i brama.

Gdzie? chciała zapytać Indra. Ledwo dostrzegała mur, nigdzie jednak nie zauważyła żadnej bramy.

Ale Ram prowadził ich zdecydowanie, potem wykonał jakiś osobliwy rytuał, który Miranda z pewnością by rozpoznała. Indra raczej przeczuwała, niż widziała, że

wielka brama się otwiera, a po drugiej stronie ukazuje się fantastyczny krajobraz. Jednocześnie do uszu wędrowców dotarł dziwny dźwięk, jakiś kosmiczny huk.

2

Indra nie zdążyła niczego więcej zauważyć, bo został jej nałożony na głowę olbrzymi czepek, coś takiego, jak można było oglądać w salonach fryzjerskich w starym świecie. Rozumiała, że to ma chronić jej piękną fryzurę. Vida obciągnęła brzegi tak, że dziwny czepiec szczelnie osłaniał głowę, schodząc na czoło nad samymi brwiami, i zawiązała go mocno pod szyją. Indra dotknęła czepka, sterczał na jej głowie niczym wielki balon.

- Jeśli ktoś teraz podsunie mi lusterko, to mu przyłożę - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nic mi nie mówileś, Ram, o takich upokorzeniach.

- Och, wyglądasz pięknie - powiedział z naciskiem, ale kąciki ust mu drżały. Armas śmiał się bez żenady i Indra chciała mu dać prztyczka w nos, ale nie mogła się zdecydować.

Mężczyźni wyjęli z gondoli wielkie kufry i każdy wziął na ramię jeden z nich. Vida i Indra niosły pozostałe bagaże, zresztą bardzo lekkie. Indra domyślała się, że są w nich eleganckie ubrania uczestników ekspedycji. Wreszcie Ram dał znak, żeby ruszyli za nim.

Indra głęboko wciągnęła powietrze i przeszła przez bramę, którą Rok natychmiast za nimi zamknął. Dziewczyna miała problemy, by utrzymać się na nogach przy gwałtownym wietrze, który też stanowił źródło ogłuszającego huk. Wiatr nie był zimny, wiał jednak z obłąkaną siłą. Nareszcie mogła przyjrzeć się lepiej krajobrazowi. Wymarła, ale piękna natura, wszystko jakby wykonane z kawałków zniszczonego metalu. To, że właśnie metal przyszedł jej na myśl, spowodowały barwy. Czarnosine skały z czapami miedzianego koloru na szczytach, a wszystko skapane w mrocznym świetle odbitym od Świętego Słońca, które zostało w Królestwie Światła. Nigdzie drzewa ani nawet źdźbła trawy.

- Czy to jest przejście? - krzyknęła do Rama. On bez słowa skinął głową, walcząc ze sztormem i ile sił przedzierając się naprzód ku poszarpanym wzgórzom.

12

W chwilę potem Indra spojrzała w dół, w mroczną, bezdenną czeluść, w której połyskliwie niebieskie, kłębiące się fale wzbijały w górę kłęby białej piany.

Chwyciła się Rama.

- Gdzie ty - widzisz ten błękit? - zapytał Armas, gdy Indra podzieliła się z nim swoimi obserwacjami.

- No tam - powiedziała, pokazując palcem. - Nie, rzeczywiście, masz rację, one są przecież granatowozielone, z połyskliwymi refleksami. Wspaniale. Ratunku, zaraz upadnę na ziemię!

Armas patrzył na nią badawczo.

- Najpierw ujawniasz talenty poetyckie, a teraz wykazujesz znajomość kolorów godną artysty.

- Jestem specjalistką w różnych dziedzinach - oznajmiła Indra bez skrępowania.

Ram uśmiechnął się.

- Wiele o tobie słyszałem, Indro.

- I wszystko to prawda - odparła zuchwale. - Ale czy musimy stać w tej wichrowej grocie?

- Czekamy na sygnał, że wolno iść dalej. Indra rozejrzała się wokół.

- Czy zapali się zielone światło? To pytanie było tak głupie, że nie zasługiwało na odpowiedź.

Ukradkiem obserwowała profil przystojnego Armasa. Może powinnam spróbować go uwieść, pomyślała. Już wiele czasu minęło od mojej ostatniej erotycznej przygody. Szczerze mówiąc, poznałam smak takich spraw w świecie zewnętrznym przed milionami lat. Tutaj od początku byłam przygnębiona i potwornie cnotliwa.

Uwieść Armasa? Tajemniczego syna Obcego. Myśl wydała jej się bardzo pociągająca. Był wysoki, urodziwy, niedostępny i trudny do przejrzania.

Podniecająca kombinacja.

Armas musiał zauważyć jej intensywne zainteresowanie, ponieważ zwrócił ku niej głowę, a ona pośpiesznie zawołała do Rama pod wiatr:

- Skąd się bierze ten potworny wichur? Przecież w głębi Ziemi nie powinno wiać.  
- Pamiętacie z pewnością, że Jon i jego towarzysze zetknęli się z takim intensywnym wiatrem, siłą zbliżonym do orkanu, w Górach Czarnych - odpowiedział Ram tak, by wszyscy go słyszeli. - To miejsce nazywa się Przełęczą Wiatrów.

Potem wyjaśnił im z grubsza, na czym sprawa polega. Chodziło o ciśnienie atmosferyczne, o różnice między ciepłym powietrzem w Królestwie Światła i chłodnym w Królestwie Ciemności. Ram tłumaczył też, że początkowo mieli trudności, kiedy zabrali się do uporządkowania tych terenów, zdecydowali się więc wybudować konieczne pasaże, w których mogłyby się gromadzić wiatry i woda powstająca przy zetknięciu się ciepłego i zimnego powietrza pod różnym ciśnieniem. Wiatr został skierowany w te pasaże, a niepotrzebna woda tworzy tutaj własne niewielkie „morze”.

Indra nie zrozumiała nawet połowy tego, co mówił Ram, ale nie odważyła się o nic więcej pytać w tym zgromadzeniu złożonym z geniuszy.

Kilka sformułowań wbiło jej się w pamięć. Na przykład: „Byli zmuszeni do zagospodarowania południowych terenów”. Albo: „niezbędne pasaże”. Nie zdążyła jednak dowiedzieć się niczego więcej, bo nadszedł sygnał, na który czekali, chociaż ona ani go nie słyszała, ani nie widziała.

Wspaniale, pomyślała Indra, dobrze jest wyjść nareszcie z tej wichrowej groty. Bardzo szybko jednak zmieniła zdanie. Owa wichrowa grota, jak ją nazywała, była jedynie początkiem pasażu, w którym wichur wył i huczał. Starali się zachować równowagę, idąc przy stromej górskiej ścianie, lub przedzierali się naprzód przez wąskie i głębokie doliny, w których wiatr dmuchał ze zdwojoną siłą, a oni nie mieli się czego przytrzymać. Poocierali sobie dłonie do krwi na ostrych kamieniach i zaczęli przeklinać mrok, który gęstniał systematycznie w miarę, jak oddalali się od muru i od Królestwa Światła.

Znajdowali się teraz wysoko na wąziutkiej skalnej półce, ponad szumiącą wściekle wodą, gdy Vida uczyniła niewłaściwy krok i byłaby spadła na dół, gdyby

Armas w ostatniej sekundzie nie złapał jej za ramię. Zresztą mało brakowało, a pociągnęłaby również jego za sobą, Ram jednak zdążył schwycić Armasa i uratował ich oboje. Tylko walizka, którą niosła Vida, potoczyła się w dół.

- Och, ubranie Indry - jęknęła.

- Mam nadzieję, że walizka zaraz się zatrzyma - powiedział Rok. - Nie słyszałem żadnego plaśnięcia. Nie słyszałem też, by odbijała się od skał.

- Co tam jakieś ubranie, jakie to ma znaczenie - rzekła Indra. - Najważniejsze, że ty nie spadłaś.

Pomogła Vidzie wydostać się znowu na górę, na ścieżkę, jeśli tak można nazwać ów wąziutki wijący się szlak.

- Te ubrania są ważne bardziej, niż chciałbym wierzyć - mruknął Ram tak cicho, że usłyszała go tylko Indra. Zastanawiała się, o co mu chodzi.

Rok wyjął reflektor i skierował go w stronę otchłani.

- O, patrzcie, walizka leży niedaleko. Zaraz spróbuję...

- Trzeba użyć sznura elfów - zdecydował Ram. - Dostałem kawałek od Dolga - wyjaśnił, widząc zdumioną minę Indry.

Dziewczyna powiedziała z wolna:

- Jeśli przez cały czas mieliście reflektory, to dlaczego, u diabła, ich nie używaliście? Dlaczego pozwoliliście, byśmy się wlekli jak stare dziady?

- Po pierwsze, mamy tylko jeden - odparł Ram spokojnie. - A po drugie, używanie światła to porażka. Nie powinniśmy wystawiać się na pośmiewisko.

Podczas gdy Armas i Rok wspólnymi siłami przy użyciu liny elfów wciągali walizkę na bezpieczny grunt, Indra zastanawiała się nad słowami Rama. Domyślała się, iż odnoszą się do okolicy, ku której zmierzali, może bał się, że blask światła zostanie dostrzeżony z tamtej strony muru. Wystawiać się na pośmiewisko.

Czy to walka o prestiż?

- Posłuchaj, Ram - powiedziała z udaną surowością, kiedy podjęli znowu wędrówkę po wąziutkiej półce, a światło zostało zgaszone. - Kiedy słucha się ciebie, jak opowiadasz o tym tajemniczym miejscu, do którego zmierzamy, to

zaczyna się człowiek zastanawiać, czy wy czasami nie ulokowaliście tego straszego terytorium akurat w tym miejscu z całą świadomością i wolą. Tutaj, gdzie grzmiały sztormy i spienione morze, a wszędzie wokół rozciągają się straszne bezdroża.

- Myślisz, że to ma odstraszać? - wtrącił się Armas.

- No właśnie.

Odpowiedź Rama nadeszła po chwili pełnej wahania i została natychmiast porwana przez wiatr.

- Tak jest, macie rację. Obie strony zgodziły się na pewną odległość.

- Pewną? - westchnęła Indra. - Ram, ja jestem zwyczajną istotą. Kiedy mówiłeś mi o wyprawie, nie wspomniałeś ani słowem o tej okolicy.

- Nie, bardzo się wystrzegałem.

Indra potknęła się o kamień i zawołała gniewnie:

- Przeklęte ciemności! Jesteśmy rozpieszczeni przez światło, nie znosimy czegoś takiego. Czy tutaj są też jakieś zwierzęta?

- Tutaj nie ma nic. To jest zamknięty świat, w którym żywioty hulają jak chcą.

- A właśnie, zwierzęta! - zawołała Indra. - Ta moja szalona siostra chce sprowadzić do Królestwa Światła wielkie jelenie.

- Co mówisz, nic nie słyszę?

- Nie, to chyba nie jest właściwe miejsce na dyskusje o faunie.

Kiedy wiatr na moment przycichł, Indra podjęła inny temat, który ją niepokoił:

- Czy wy macie z nimi jakieś powiązania? Z ludźmi, do których idziemy. Bo skoro wybrany pochodzi stąd, to...

- Istnieją pewne tradycje, którymi musimy się kierować. Ale łączność nawiązujemy z najwyższą niechęcią. Obie strony.

Indra znowu się potknęła.

- Nie przypuszczałam, że będę całymi godzinami błądzić we wrogich ciemnościach targana wichrem. Nigdy chyba nie dojdziemy do celu - skarżyła się teatralnym głosem.



- Już jesteśmy u celu.

- Co ty powiesz? - spytała cierpko.

Zauważyła jednak, że ciemności nie są już takie nieprzeniknione, choć może nie należało jeszcze tego nazywać jasnością, i że ustał wiatr.

Zostawili daleko za sobą szumiące morze. Znajdowali się pośród wysokich skalnych ścian i mieli nad głowami jedynie słabą poświatę, ale różnicę odczuwali jako coś cudownego.

Z wąskiej rozpadliny wyszli w jaśniejszą przestrzeń i na równiejszą ziemię. Ram zatrzymał się.

Indra mogła w końcu zdjąć ten upokarzający czepek z głowy.

- O, Bogu dzięki - westchnęła. - Ale pewnie mam od tego paskudną pręgę na czole?

Armas przyjrzał się jej uważnie.

- To minie - oznajmił ze śmiechem. - Gorzej, że brwi masz ściągnięte w dół i powieki też, wyraźnie opadają.

- To nie może być prawda! - wrzasnęła Indra.

- On sobie żartuje - uspokoił ją Ram. - Chodźcie teraz, chłopcy, przebierzemy się za tamtymi kamieniami, a dziewczyny też zrobią się na bóstwa.

Vida i Indra pomagały sobie nawzajem, by wyglądać jak najlepiej, i w chwilę później zdumione patrzyły na wyłaniających się zza głazów mężczyzn. Od ich pięknych białych szat ze staromodnymi złotymi ornamentami wprost biło światło.

Złote i czerwone znaki słońca zdawały się świecić naprawdę.

Indra miała na sobie szatę w stylu antycznym, którą już przedtem przymierzała, Vida natomiast nosiła zwiewną suknię, błękitną, połyskującą.

- Znakomicie - pochwalił Ram, przyjrawszy się im dokładnie. - Teraz przynajmniej nikt nie będzie mógł wyśmiewać naszych strojów.

- Jesteście niezwykle przystojni, chłopcy - zapewniała Indra i Armas rozjaśnił się na te słowa.

-I jeszcze jedna sprawa - rzekł Ram, unosząc dłoń. - Oni nie wiedzą, że mamy

aparaciki Madragów. Proszę więc was, byście używali tylko tego, który pozwoli wam rozumieć ich mowę. Tego drugiego nie. Nie mogą wiedzieć, o czym rozmawiamy między sobą, a już w żadnym razie domyślać się, że rozumiemy, co oni mówią! Rok i ja będziemy prowadzić wszystkie rozmowy, my znamy ich język. Indra natychmiast odłączyła jeden aparacik.

- Powiedzcie mi jedną rzecz - rzekła. - Czy te istoty są cywilizowane? Chodzi mi o to, czy są w stanie pojąć takie sprawy.

- Czy są? - powiedział Ram cierpko. - To dekadenccka cywilizacja w stanie upadku.

- Tak jak cesarstwo rzymskie pod koniec istnienia?

- Gorzej. No, idziemy!

Zrobili kilka kroków naprzód, teraz w lekkim obuwiu i po płaskiej ziemi. Znowu wyrosła przed nimi ściana, podobna do tej, przez którą niedawno przeszli, tak samo gładka, tak samo prosta i prawie niewidzialna.

Ram i Rok o czymś zaciekle dyskutowali. Indra domyślała się, że niezbyt często zdarza im się pokonywać tę drogę.

- Nareszcie wiem, kim powinna zostać grzeszna Indra - zawołała nagle do Vidy i Armasa. - Do tej pory właściwie wegetowałam, jedyna w grupie rówieśników nie robiłam nic, zabijałam tylko czas. Kiedy jednak zobaczyłam te znaki na ubraniach mężczyzn oraz na mojej i twojej sukni, Vido, postanowiłam zostać tkaczką. Jak myślisz, czy to możliwe? Chcę zajmować się tkaniną artystyczną.

Vida rozjaśniła się.

- Oczywiście, że to możliwe. Ale ty, osoba o takich artystycznych uzdolnieniach, powinnaś się chyba raczej zajmować projektowaniem. Projektować właśnie tkaniny.

- Trzeba się najpierw zająć jednym, a potem awansować - powiedziała Indra z przekorą. Została obdarzona taką wiarą w siebie, że nigdy nie przewidywała żadnych przeszkód. Nigdy nie mówiła: „Nie, z tym sobie nie poradzę!”. Zawsze zakładała, że poradzi sobie ze wszystkim, czymkolwiek się zajmie. A jeśli się nie udawało? No to wtedy wybuchała śmiechem i kładła się do łóżka z krzyżówką

albo czymś innym równie przyjemnym. Indra zawsze była ponad wszelkie trudności i nieprzyjemności. Nigdy życie jej nie przerażało.

Nagle odkryła, że w murze otworzyła się brama. Ponieważ była zajęta rozmową, nie spostrzegła, jak Ram i Rok tego dokonali.

Dwaj Lemurowie wołali głośno:

- Chodźcie! Wchodzimy.

- Czy jesteśmy oczekiwani? - zapytała Indra cicho, przekraczając bramę.

- Powinniśmy być - odparł Ram ponuro.

- Czekają nas następni pasażerzy - przerwał im Rok. - Na szczęście jest krótki. To tylko strefa bezpieczeństwa.

Wewnątrz panowała cisza, wszystko trwało w bezruchu. Przeszli nie więcej niż kilkanaście metrów, gdy kolejna brama zagroziła im drogę.

Rozległ się donośny głos, ktoś mówił przez megafon w jakimś strasznie obcym języku. Indra nigdy nie słyszała niczego podobnego, ani jedno słowo nie przypominało języków, z którymi dotychczas się zetknęła, nawet jedna zgłoska.

Ale dzięki aparacikom mowy rozumieli, oczywiście, co głos mówi.

Kto tam? - powiedział mężczyzna, którego nie widzieli.

- Wysłannicy z Królestwa Światła, przychodzimy, by zabrać wybranego - odrzekł Ram.

Zalęgła cisza. Minął jakiś czas.

W końcu brama się rozsunęła i nareszcie mogli wkroczyć do tajemniczej krainy.

Indra czuła, że drżą jej kolana.

Nie tylko z powodu napięcia. Miała nieprzyjemne uczucie, że zaraz coś się z nią stanie. Coś, co ją przerażało.

Nie mogła jednak określić, co by to mogło być.

3

Indra przystanęła nagle.

- Oooh - szepnęła cichutko.

- Ładnie, prawda? - Ram uśmiechnął się krzywo. Armas zawołał zachwycony:

- Myślałem, że Królestwo Światła to najpiękniejsza kraina na świecie. Ale to... Ram nie odpowiadał. Wszyscy wiedzieli, że to terytorium należy do Królestwa Światła, że to tylko jego część. Chociaż bardzo od niego odgradzona.

Indra bez słowa rozglądała się wokół. Wzniesienia ginęły w oddali, ale wijące się ścieżki to pięły się w górę, to opadały w dół. Układały się niebywale symetrycznie, na dole u podnóża wzgórz szersze, potem coraz węższe, w doskonałej równowadze podchodziły ku szczytom. Ku niebu pięły się łuki, ale nie były takie smukłe i zgrabne jak w głównym królestwie. Te tutaj w środku były wygięte, po bokach zaś załamywały się pod kątem prostym. Prawdopodobnie wskazują wejścia do poszczególnych terytoriów, pomyślała. Wysokie, podobne do cyprysów drzewa w starannie wytyczonych szeregach oraz niemal geometrycznych grupach rosły na przemian z akacjami - tymi drzewami o szerokich koronach, które spotyka się na afrykańskich równinach - tworząc niezwykle wyszukane połączenie. Pomiędzy grupami drzew znajdowały się symetrycznie ułożone osady niezwyklej urody. Stolica była widoczna w oddali, cudowne miasto rozłożone na najwyższych wzgórzach z białymi, starannie zaplanowanymi dzielnicami, z których każda posiadała własną górującą nad domami wieżę.

Wszystko utrzymane w surowym klasycznym stylu, budynki z marmurowymi kolumnami i tarasami i te przyciężkawe tuki. Najbliżej nowo przybyłych znajdowała się aleja z marmurowymi rzeźbami, które wyglądały, jakby zostały wykonane przez wybitnych artystów dawno minionych czasów. Po obu stronach alei rozciągały się parki ze stylowymi żywopłotami i symetrycznie rozłożonymi grządkami kwiatów.

Chodziło najwyraźniej o to, by przeszli tą aleją na szczyt najbliższego wzniesienia, gdzie stała mieniąca się biała budowla, która zdawała się na nich czekać. Wijąca się droga została ozdobiona kamiennymi grotami.

- Follow the yellow brick road - mruknęła Indra, ale ponieważ była w tym towarzystwie jedyną osobą, która przybyła z zewnętrznego świata, domyśliła się, że jej towarzysze nie znają „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. A sama nie była w

stanie im teraz tego wytłumaczyć.

Przyglądała się badawczo rzeźbom.

- To nie jest styl grecki. Rzymski też nie i nie bizantyjski. Mimo to bardzo klasyczny! Co to za styl, Ram?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, znowu rozległ się ten przemawiający do nich przez megafon głos. Dochodził z budynku na wzniesieniu.

- Podejdźcie bliżej!

To nie było zaproszenie, to rozkaz. Indra zadrżała w tym ciepłym, pachnącym kwiatami powietrzu.

Z jakiegoś innego miejsca docierała do nich niebiańska muzyka, Indra nie wiedziała skąd, w każdym razie nie z megafonu. Odnosiło się wrażenie, że muzyka jest jakoś wtłoczona w powietrze.

- Nadzwyczajne - mruknęła.

- Otóż to właśnie - odpowiedział Ram niechętnie.

Buty idących stuknęły po kamieniach. To znaczy sandały kobiet na wysokich obcasach, mężczyźni mieli buty o miękkich podszwach.

Nigdzie ani śladu człowieka. Jeśli w tym miejscu rzeczywiście mieszkają ludzie, ale wszystko na to wskazywało.

Kiedy byli już niemal u celu, rozległ się krzyk:

- Stop! Usłuchali.

-Jeden lok pani ubranej na białe leży nie tak jak trzeba - zawołał niewidzialny mówca. - To obraza dla naszego szanownego ludu.

Ram udawał, że tłumaczy te słowa Vidzie, która drżącymi ze zdenerwowania palcami próbowała stwierdzić, który lok w artystycznej fryzurze Indry leży nie tak jak powinien. W końcu zdawało jej się, że znalazła, ale głos w megafonie niecierpliwiał się.

- Nie, nie, znacznie wyżej! Czy wy nie macie poczucia estetyki w tym waszym niedorozwiniętym królestwie?

Vida po omacku znalazła jakiś lok, który mógł denerwować niezwykłego

pięknoducha, tym razem chyba właściwy. Ten człowiek musi używać lornetki, pomyślała Indra, a może nawet teleskopu.

Twarz Rama była absolutnie pozbawiona wyrazu, ona jednak czuła, że Lemur drży z gniewu. I nie był to gniew skierowany przeciwko niej lub przeciwko Vidzie.

- Proszę się przedstawić!

Było w najwyższym stopniu upokarzające, że muszą tak stać tutaj pośrodku drogi i rozmawiać z kimś, kto nawet nie zadaje sobie trudu, by im się pokazać.

- Wielce szanowny panie, ja jestem Ram, zwierzchnik Strażników w Królestwie Światła. Rok jest moim zastępcą, a to jest jego małżonka, Vida, osoba wysoko wykształcona w zawodach praktycznych.

- Lemurowie - skonstratował głos lakonicznie. - A ci dwoje?

- Ten młody człowiek to Armas, syn ziemskiej kobiety i Strażnika Góry, który jest jednym z Obcych. A zatem Armas jest półkrwi Obcym.

Głos brzmiał teraz arogancko.

- Półkrwi Obcy? Półkrwi???

Indra słyszała, że Armas oddycha ciężko przez nos, powoli, chcąc się opanować.

Ram spokojnie mówił dalej:

- A oto jest Indra, dla której my stanowimy eskortę. Indra jest kobietą przybyłą z Ziemi i została wyznaczona do zajęcia się wybranym dzieckiem.

Teraz głos był lodowato zimny.

- Zwyczajna kobieta pochodząca z Ziemi? Ona się ma zajmować naszym najdroższym skarbem? Tym razem Obcy posunęli się za daleko. Dlaczego przysyłają tylko piątkę, w dodatku złożoną z byle kogo? Dlaczego nie przybyli sami?

- No właśnie - mruknął Ram. Głośno zaś powiedział:

- Indra pochodzi z wyjątkowego rodu.

- Z królewskiego? Książęcego? Cesarskiego?

- Nie, nie w tym rzecz. Jej ród stoi znacznie wyżej. W aparacie rozległ się jakiś ogłuszający trzask, a po chwili z białego budynku wyszli żołnierze w idealnie

ustawionej marszowej kolumnie. Na białych ubraniach nosili antyczne czerwone zbroje. Gdyby przyszło im brać udział w wojnie, nieprzyjaciół dojrzałby ich nawet z dużej odległości w ciągu dwóch sekund. Zanim przybysze z Królestwa Światła zdolali zareagować, zostali okrążeni i całą piątkę poprowadzono jakąś boczną drogą, która, rzecz jasna, miała swój odpowiednik wiodący w przeciwnym kierunku.

- Jesteśmy więźniami - mruknął Ram. - Tutejsze władze uważają, że jedynie Obcy mogą się z nimi równać, a właściwie to i oni nie bardzo.

- Żaden Obcy nie chciał tu przyjść - powiedział Armas cicho. - Oni mają problemy z życzliwym zachowaniem się wobec tych tutaj, a nie chcą wywoływać konfliktu.

- Skoro mowa o konflikcie - mruknęła Indra. - Kto jest wrogiem tych nadętych kogucików?

- Nie wiem - odparł Rok. - Chyba po prostu lubią wojskową dyscyplinę. Są więc bardzo precyzyjni we wszystkim.

- Dziwne, że całą naszą grupkę prowadzą w tym samym kierunku! To przecież burzy system.

- Jest nas pięcioro - przypomniał Rok. - Zdaje się, że nie zdolali nas podzielić. Przybysze tłumili śmiech.

- Ram - szepnęła Indra. - Czy wy zrobiliście to świadomie? Wysłaliście nieparzystą liczbę? Ram próbował zachować powagę.

- Zęby zrobić im na złość, o to ci chodzi? Nie, ale pomysł nie jest głupi.

- Proszę iść równo! - rozległo się z megafonu.

- Głupi, stary dziad - mruknęła Indra bez szacunku. - Przeklęty waśniak!

Dziesięciu żołnierzy, którzy byli niżsi nawet od Vidy, maszerowało dwójkami, po obu stronach każdego z gości, tak by nikt nie mógł im uciec. Indra popatrzyła surowo na jednego z nich i powiedziała cicho: „Głupek!”, Armas zaś uciszał ją, powstrzymując śmiech.

- Co robicie, kiedy ci tutaj przychodzą z wizytą do Królestwa Światła? - zainteresowała się Indra. Ram odrzekł:

- Przyjmujemy ich bardzo przyjaźnie, witamy, wydajemy dla nich ucztę, złożoną z najlepszych dań, jakie potrafimy przygotować.

- No właśnie - syknęła Indra przez zęby. - Jestem taka głodna, że mogłabym gryźć te krzaki. Ale z pewnością nie zostaniemy zaproszeni na żaden powitalny obiad.

Żołnierze byli uzbrojeni w smukłe kordziki i, co zdumiewające, w pistolety. Dostyc osobliwe połączenie.

- Broń to niemal jedyna rzecz współczesna, którą oni tolerują - oznajmił Rok. - Typowe dla mężczyzn. Przyjęli też od nas różne udogodnienia. Takie jak megafony i telekomunikację na przykład.

- Ale aparacików Madragów nie mają - stwierdziła Indra ze złośliwą satysfakcją. Najwyraźniej ta sytuacja ją cieszyła.

- Nie, tego nigdy od nas nie dostaną. Już dawno sprawiają nam przykrości. Traktują nas jak swoje sługi.

- To rzeczywiście pech, że wybrany musiał się urodzić właśnie tutaj - westchnął Ram, a tymczasem na tle kwitnących zarośli zobaczyli niski dom. - Gdyby nie to, uniknęlibyśmy tej wyprawy.

- Założę się, że identyczny dom znajduje się po drugiej stronie drogi - rzekła Indra. - W otoczeniu dokładnie tak samo przyszyżonych krzewów.

- Możesz być tego pewna!

Armas westchnął zniecierpliwiony.

- Tu jest tak pięknie, niemal nieznośnie pięknie. Ale cofam to, co powiedziałem przedtem. W Królestwie Światła jest dużo piękniej.

- Och, tak - potwierdziła Indra. - Ten straszliwy porządek pozbawia wszystko życia.

- Tak - westchnęła Vida. - Czy zwróciliście uwagę, że rzeźby w alei również ustawiono parami? Wygląda to komicznie.

- Dziękuję wam za te słowa - mruknął Ram. - Miałem nadzieję, że takie właśnie wrażenie to na was zrobi.



Zostali wprowadzeni do wnętrza niskiego domu, który nosił wyraźne cechy więzienia. Eleganckie, białe więzienie z kwiatami w wazonach po obu stronach drzwi, które zostały zamknięte na klucz. Wewnątrz znajdowały się dwa okratowane pokoje. Żołnierze wahali się przez chwilę, próbowali jakoś rozdzielić zatrzymanych, ale wciąż wychodziło im, że dwa i dwa to pięć, i w końcu z surowymi twarzami wprowadzili wszystkich pięcioro do jednego pokoju. Pięciu strażników zajęło miejsca w drugim, a pozostałych pięciu opuściło budynek. Goście nie próbowali już zachować powagi.

- Taki jesteś spokojny, Ram - powiedziała Indra, gdy nie byli już w stanie dłużej tłumić rozbawienia. - Czy ty to przewidziałeś?

- Że zostaniemy więźniami? To nie pierwszy raz. Oni w ten sposób chcą nas zmiękczyć. Żebyśmy wiedzieli, gdzie jest nasze miejsce.

Rozsiedli się na ławkach. Vida sprawdzała, czy ubranie Indry leży jak trzeba.

- Czy oni wszyscy są takimi idiotami jak ten typ w megafonie? - zapytała Indra, wyglądając jakąś fałdę na sukni. Ram zamyślił się.

- Szczerze powiedziawszy, nie wiem. W ogóle wiemy bardzo mało o tutejszej społeczności, rozmawiamy jedynie z klasą wyższą. A jej przedstawiciele są po prostu nieznośni.

Indra próbowała usiąść wygodniej, ale nie było to łatwe w tym niezwykłym stroju, który przecież nie został przygotowany do noszenia na świeżym powietrzu. Pomo-gła Vidzie wygładzić fałdy spódnicy. Obie młode kobiety z niepokojem sprawdzały, czy na ubraniu nie pojawiła się jakaś plamka.

- Ram, czy nie czas już, byś nam trochę wytłumaczył, co to jest za hołota... to znaczy ludzie, którzy tutaj mieszkają? Czy oni trafili tu po tak zwanych rozrachunkach?

- Nie, nie! Chciałem poddać cię próbie, zobaczyć, czy sama się domyślisz, kim są tutejsi mieszkańcy, ale jeszcze nie było po temu okazji.

Indra przeniosła uważne spojrzenie na strażników siedzących w drugiej celi.

Udawali oni, że nie widzą więźniów, więc mogła bez przeszkód im się przyglądać.

W twarzach mieli coś szlachetnego, coś przypominającego starożytnych Greków, ale w ogóle sprawiali wrażenie bardzo skrupowanych, bezwolnych i usztynionych, mogłaby przysiąc, że nie roześmialiby się nawet, gdyby zaczęła opowiadać dowcipy. Czy powinna opowiedzieć jeden z tych naprawdę pieprzonych? Nie, przecież nie zna ich języka, a oni nie mogli zrozumieć, co Indra i jej przyjaciele mówią. Ale pomysł był kuszący, ciekawe, jak by zareagowali. Szokiem? A może oburzeniem? Albo przyjęliby dowcip jako zachętę? A tego właśnie Indra sobie nie życzyła. Nie byli w jej typie, już Armas jest dużo bardziej pociągający. Nie miała jeszcze okazji, by wypróbować na nim swoje uwdzielskie sztuczki. I wyglądało na to, że w najbliższej przyszłości też takich możliwości nie będzie.

Ponownie zwróciła się do Rama i słuchała, co mówi:

- Oni mieszkają tutaj od dziesięciu tysięcy lat, co najmniej. I zdegenerowali się bardzo, stali się pedantycznymi, pozbawionymi horyzontów, małostkowymi estetami.

Jego głos brzmiał łagodnie.

- Kiedyś na Ziemi byli wysoko rozwiniętym, szlachetnym, kulturalnym ludem. Tak, tak, pod względem kultury i ogłady przewyższali nawet nas, Lemurów.

- Oj! - jęknęła Indra i poprawiła się na miejscu z nagle rozjarzonymi oczyma. - Oj! Myślę, że wiem. Nic nie mów! To są Atlantydzi, prawda? Pochodzą z zaginionej Atlantydy!

- Brawo! - wykrzyknął Ram. - Wiedziałem, że się domyślisz.

4

Kiedy wciąż siedzieli beczynnie w więzieniu i czekali, aż zostaną dopuszczeni do łask, Ram opowiedział pokrótce o Atlantydach.

W tamtych czasach, przed wieloma tysiącami lat, Atlantyda leżała na Grzbiecie Północnoatlantyckim, czyli największym łańcuchu gór na świecie, znajdującym się pomiędzy późniejszą Europą i Ameryką. Ów łańcuch górski powstał w następstwie licznych wybuchów wulkanów pod powierzchnią morza, bo tam

znajduje się również wielki rów tektoniczny. Góry te przecinają na skos Islandię i ciągną się dalej na południe obok Azorów i Wyspy Wniebowstąpienia.

Jest oczywiste, że Atlantyda musiała być bardzo niespokojnym lądem, groźnym dla swoich mieszkańców. I rzeczywiście to prawda: około dziesięciu tysięcy lat temu nadeszło wielkie trzęsienie ziemi. Państwo zniknęło w morzu.

Obcy zdolali uratować grupę dziesięciu Atlantydów i przeprowadzili ich do Królestwa Światła. Okazali się oni bardzo cenni, reprezentowali wysoko rozwiniętą kulturę, posiadli też bogatą wiedzę. Z tą pierwszą grupą wszystko ułożyło się dobrze. Przybysze żyli w zgodzie z Obcymi i Lemurami w Królestwie Światła.

- Ale liczba Atlantydów rosła - tłumaczył Ram. - W tych czasach nie wprowadzono jeszcze kontroli urodzeń. W młodym pokoleniu Atlantydów zaczęły brać górę niebezpieczne skłonności. Wobec nas, Lemurów, zachowywali się do tego stopnia wyniosłe, że Obcy stracili cierpliwość i przenieśli ich, po prostu przesunęli, na to terytorium, które zostało zagospodarowane specjalnie dla nich i otrzymało własne słońce.

- Czy Atlantydzi się na to zgodzili? - zapytał Armas.

- Nie, wyraziłem się chyba niewłaściwie. To oni po latach kłótni i nieporozumień nie chcieli dłużej mieszkać z nami, niżej od nich stojącymi Lemurami, więc uznali za honor przeprowadzkę tutaj. Ta część. Nowa Atlantyda, jest przez nich traktowana jako centrum. Ich zdaniem my mieszkamy po prostu na obrzeżach.

- Oj - westchnęła Indra. - Jaka szkoda dla nas! Czy ty już wtedy tutaj byłeś, Ram? On zmrużył swoje czarne jak węgle oczy, tak że Indra w ogóle nie widziała białek.

- Ja? - wybuchnął. - Co ty sobie o mnie myślisz?

- Po prostu pytam - odparła.

- Moja kochana, nie jestem żadną skamieliną! Vida i Rok też nie.

- Nie myślałam nic złego, raczej chciałabym okazać szacunek.

- Uff - zadrżał. - Pograżasz mnie coraz bardziej.

- Wybacz! Mów dalej! Czy oni wszyscy tak samo zadzierają nosa?

- Nie, ci najstarsi to byli bardzo przywoici ludzie. Ale niestety, młodzi przejęli władzę. Jeśli można o nich mówić „młodzi”, bo urodzili się przed jakimiś dziesięcioma tysiącami ziemskich lat.

Indra przeliczyła to szybko na lata w Królestwie Światła. Dziesięć tysięcy podzielić na dwanaście, to będzie około ośmiuset pięćdziesięciu lat. Też nieźle.

Indra spojrzała na szlachetny profil Armasa i zapragnęła znaleźć się nieco bliżej niego. Siedział między Vidą i Ramem, niełatwo było zacząć romansować z młodym synem Obcego. To po prostu nie wypada, nie w ten sposób.

- No... to co teraz robimy? - zapytała.

- Przyjmuj to wszystko ze spokojem - odparł Ram.

- Jak mam się odprężyć w tym umundurowaniu? - westchnęła. - Nie mam odwagi nawet się ruszyć! Ale kto jest najwyższym •władcą tu, w Nowej Atlantydzie?

- Ech, to rodzaj konsorcjum starców. Wódz jest prawnikiem najwybitniejszego Atlantydy z grupy, która przybyła tu jako pierwsza. Pierwsza, druga i trzecia generacja to byli, jak powiedziałem, sympatyczni, przyjaźni ludzie. Bardzo kulturalni. To ten prawnik i jego przyjaciele zwrócili się przeciwko najstarszym, przejęli władzę i zaprowadzili swoje porządki. Tak zaczęła się ta nieprzyjemna sytuacja. I degeneracja nie mająca sobie równych. Jego zamiłowanie do porządku i systemu stało się obowiązujące, a on sam zamienił się w potwornego fanatyka.

- Czy on nadal rządzi Nową Atlantydą?

- Tak. Każe się nazywać Jego Niepokalana Wysokość. Właściwe nazwisko tego człowieka jest dla nas zbyt długie.

- W porządku - rzekł Armas. - Mamy zatem do czynienia z Niepokalaniem. Czy to jego głos słyszeliśmy?

- Nie, on ma licznych pomocników, którzy uważają się za równie doskonałych.

Wiecie, pedanteria i mania czystości to naprawdę niebezpieczne cechy charakteru. Prowadzą do skrajności i są zaraźliwe.

- Niech żyją liczne niekonsekwencje w Królestwie Światła i wszelka spontaniczność - mruknął Armas. Indra rzekła w zamyśleniu:

- Ale przecież oni długo przebywali pod Świętym Słońcem, prawda? Tam, w Królestwie Światta.

- Dostali własne słońce, nie tak wielkie i życiodajne jak nasze, ale dla nich wystarczające.

- A co się stało z tymi sympatycznymi? Z dziesięciorgiem szlachetnych, z ich dziećmi i wnukami?

- Jego Niepokalana Wysokość podobno unicestwił dwa pierwsze pokolenia. Jak to zrobił, nie wiemy. O następnej generacji, czyli o rodzicach buntowników, posiadamy bardzo skąpe informacje. To wszystko wygląda na tragedię. Tacy wspaniali ludzie! I na ich miejsce otrzymaliśmy tych tutaj.

Rok spojrzał pytająco na Indrę.

- Myślisz o tym, że Słońce powinno było uczynić ich łagodniejszymi? Sprawić, by stali się lepszymi ludźmi?

- Nie, nie myślałam tego, ale kiedy mówisz...

- Pamiętaj, że Słońce jedynie wzmacnia! Dobrzy stają się lepsi, źli gorsi.

Uśmiechnęła się.

- A zatem Przyjaciele Porządku przemienili się w pedantów?

- Tak można powiedzieć.

Indra skinęła głową. Nie podzielała przekonania Roka, ale nie chciała tego dalej roztrząsać. Vida, która też nigdy nie była w Nowej Atlantydzie, spytała:

- Jak długo oni będą nas tutaj trzymać?

- Trudno powiedzieć - odparł Ram. - To będzie zależało od humoru panów.

- Czy nie powinniśmy byli zabrać ze sobą Talornina albo Marca? - wtrąciła Indra gwałtownie. - Albo Dolga.

- Oczywiście - rzekł Ram cierpko. - Ale Talornin nie postawi nogi tutaj po wydarzeniach, jakie miały miejsce dawno, dawno temu, gdy został w paskudny sposób upokorzony. Jeśli jeszcze raz spotka Jego Niepokalaną Wysokość, to z pewnością nie zdoła się opanować i unicestwi Niepokalaność. Dlatego nie przyszedł z nami, bo Talornin wierzy w siłę dobra. Ale oczywiście bardzo bym

chciał widzieć tutaj trio: Marco - Móri - Dolg!

- Może byś ich wezwała, Indro? - zaproponował Rok.

- Ja? Ja nie posiadam tego rodzaju talentów Ludzi Lodu, to moja siostra, Miranda, odziedziczyła ich część. Ja jestem wyłącznie dekoracyjna.

- Rzeczywiście jesteście, zwłaszcza w tym ubraniu - przyznał Ram.

- Ram, coś ty! Nie mów takich rzeczy, kiedy Armas słucha. Bo mógłby zauważyć moje wspaniałe kształty, a to nie byłoby dobrze dla krwi Obcego, która płynie w jego żyłach.

Armas wydał z siebie pogardliwy okrzyk. Ale wszyscy wybuchnęli śmiechem, on również, a wartownicy popatrzyli na nich surowo, choć nie wiedzieli, jak zareagować.

- Oni chyba nie wiedzą, co to jest śmiech - mruknęła Vida i wszystkich więźniów opanował kolejny, trudny do opanowania atak wesołości.

Tego było żołnierzom za wiele. Dwaj z nich wstali i marszowym krokiem wyszli z budynku.

- Biedacy, muszą sprowadzić pomoc - uśmiechnął się Ram. - Oni tego nie rozumieją. Powinniśmy pewnie sprawiać wrażenie kompletnie załamanych z powodu uwięzienia.

Indra nie przestała się jednak zastanawiać nad teorią Roka dotyczącą wpływu Słońca.

- Wiecie co? - rzekła z wolna. - Ja myślę, że nie wszyscy tutaj podzielają poglądy Jego Wyszorowanej do Czysta Wysokości. Sądzę, że Słońce sprawiło, iż dobrzy ludzie stali się lepsi. Muszą tu istnieć jakieś istoty, które nie zostały opanowane przez tę wariacką, nie, nie, świetnie zdyscyplinowaną manię czystości. I oni muszą cierpieć!

- Bez wątplenia masz rację, Indro - odparł Rok. - Powinniśmy to sprawdzić, Ram.

- Wiem. Ale porozumienie zakłada, że nigdy nie będziemy się wtrącać do sposobu sprawowania władzy: ani my do nich, ani oni do nas. Powinniśmy natomiast przedstawić to wszystko Talorninowi albo jeszcze lepiej Wielkiej Radzie.

Talorninowi na samo wspomnienie Nowej Atlantydy oczy zachodzą krwią.

- Mnie również - rzekła Indra z wielkim przekonaniem. - Mnie również! Niewiele zdążyłam tu jeszcze zobaczyć, ale to mi wystarczy. Znajdźmy wybrane dziecko i wynośmy się stąd jak najszybciej!

Władze najwyraźniej spostrzegły, że uwięzienie nie uczyniło gości pokornymi, raczej wprost przeciwnie. Znowu rozległ się głos z megafonu, teraz pełen podejrzliwości z powodu tak nieodpowiedniego zachowania.

- Nie jesteśmy zadowoleni z eskorty, jaką wyznaczono naszemu nieocenionemu skarbowi - zaskrzeczało w megafonie. - Żądamy z całą stanowczością, by Królestwo Światła przysłało bardziej odpowiednie towarzystwo dla tego, którego hodowaliśmy i z którego udało nam się stworzyć egzemplarz pierwszej klasy.

- Czy on mówi o kwiatach? - zapytała Indra cicho.

- Ram, głównodowodzący Strażnikami w Królestwie Światła... natychmiast wyślij prośbę o godniejszą eskortę! Dopóki ona się nie pojawi, pozostaniecie w więzieniu.

Cała piątka spoglądała po sobie. Oczy wszystkich zaczynały miotać skry.

Ram odpowiedział:

- To możemy zrobić.

- Przedstawcie nam listę wybranych, byśmy mogli ją zatwierdzić!

Zastanowiwszy się chwilę, Ram zaczął wyliczać:

- Ojciec Armasa, Obcy, Strażnik Góry. I jeszcze dwóch innych: Marco z Ludzi Lodu, księżę Czarnych Sal. I Dolg, jeden z najbardziej szanowanych mieszkańców Królestwa Światła.

- Obcy?

- Nie. Ale im równy.

Zaległa cisza, widocznie dyskutowano nad propozycją.

- Zatwierdzone. Z pewnymi wątpliwościami - brzmiała odpowiedź. - Nie znamy tych dwóch ostatnich, ale to wy za nich odpowiadacie. Jeśli okażą się niegodni, pozostaniecie w •więzieniu na czas nieokreślony.

Megafon został wyłączony.

- Bardzo dobry wybór - rzekła Indra. - Ojciec Armasa będzie wściekły, kiedy zobaczy, jak potraktowano jego syna. A Marco i Dolg... bardzo cię cieszę! Ale dlaczego nie wezwałeś również Móriego?

- Dolg potrafi mniej więcej to samo co on. Poza tym Móri jest teraz bardzo zajęty realizacją innego projektu.

- Jak szybko oni mogą tu dotrzeć? Jestem głodna i muszę iść do toalety...

Armas powiedział zniecierpliwiony:

- Czyż nie chodziłaś tam, zanim przekroczyliśmy bramę?

- Owszem, ale taki jest przywilej kobiet, że mogą biegać do toalety co pół godziny.

- To prawda, wiem coś o tym na przykładzie mojej mamy, Fionelli. Znana jest z tego, że musi biec w ustronne miejsce, gdy tylko się trochę zdenerwuje.

Indra skinęła głową.

- Nerwy wielu kobiet ulokowane są w pęcherzu. Ale ja nie jestem teraz zdenerwowana. Uff, porozmawiajmy o czym innym!

Głos w megafonie odezwał się znowu. Równie podejrzliwy jak poprzednio.

- Jak to się dzieje, że mówicie różnymi językami, a mimo to rozumiecie się nawzajem?

- Niech to licho - mruknął Ram cichutko. Głośno zaś powiedział: - W Królestwie Światła zwykle w ten sposób okazujemy sobie uprzejmość, że uczymy się nawzajem swoich języków. Ci, którzy ze mną tutaj przybyli, są pod tym względem bardzo wykształceni. To najbardziej utalentowani lingwiści, jakich mamy.

- Wielkie dzięki - szepnęła Indra i uszczypnęła Rama w siedzenie. Spojrzał na nią ostrzegawczo. Powinni być ostrożniejsi.

- Czy myślicie, że oni nas widzą? - zapytała Vida.

- Bardzo możliwe. Ale nie rozumieją, co mówimy i na tym polega nasza przewaga.

- Nie mogli się nauczyć waszego języka w czasie, kiedy mieszkali w Królestwie Światła? - zapytała Indra.

- Starsi to uczynili. A ci...? Oni uważają, że to raczej my powinniśmy poznać ich



mowę.

- Co za nieznośne pyszałki...

- Dość, już wystarczy!

- Ale w jaki sposób Marco i pozostali otrzymają wiadomość? Jakoś to załatwiłeś?

- Nie, Atlantydzi to zrobią. Mamy połączenie pomiędzy królestwami, zresztą bardzo rzadko używane. Oni wiedzieli dobrze, że mamy dzisiaj przyjść, i powinni być lepiej przygotowani. Zachowują się bardzo lekceważąco.

Nagle drzwi zostały otwarte z klucza, który wydał przenikliwy zgrzyt. Wartownicy wstali i nakazali więźniom wyjść.

Indra zastanawiała się, czy nie pojawili się już ci, których wezwali na ratunek, ale Ram potrząsnął głową. Trzeba czekać.

Tym razem zostali poprowadzeni do białego domu na wzniesieniu, a tam stał nakryty dla nich stół. Indrze pozwolono pójść do toalety, wszystko było niezwykle wytworne.

Przy stole obsługiwały im kobiety równie starannie ubrane jak Indra i Vida, jedzenie smakowało wyśmienicie, mimo to cała piątka czuła się źle traktowana przez tych, którzy się dotychczas nie pokazali. Dla nich goście byli niczym przypadkowi turyści. Najwyraźniej nie powinni sądzić, że cokolwiek znaczą!

Rozlokowano ich przy okrągłym stole, prawdopodobnie dlatego, że było ich pięcioro, a liczba pięć pozbawiona jest wszelkiej symetrii. Może tylko z wyjątkiem pentagramu, czyli pięcioramiennej gwiazdy.

Po posiłku przeprowadzono ich do pięknego pokoju w tym samym budynku. Drzwi zostały znowu za nimi zamknięte. Ponownie znajdowali się więc w więzieniu.

Twarz Rama wyrażała gniew, który ledwo był w stanie opanować.

Czas płynął. Jakoś się w końcu wszyscy uspokoili, bo długotrwała złość bardzo wyniszcza siły.

Ram obserwował Indrę, która siedziała i swobodnie rozmawiała z Armasem.

Jeśli ta dziewczyna świadomie go uwodzi, to nikt by tego nie zauważył, pomyślał.

Mimo to działa tak jak trzeba, dokładnie w ten sposób, żeby wzbudzić zainte-

resowanie właśnie u Armasa. Kokietowanie go byłoby kompletną stratą czasu. Naturalność i szczerść budzą w nim większe zainteresowanie.

Ona sprawia wrażenie całkowicie rozluźnionej. Jakby Armas nic dla niej nie znaczył, jakby był tylko przyjacielem.

Ale Ram wiedział więcej. Wiedział, że Indra jest zainteresowana tym chłopcem. Widział ukradkowe spojrzenia, jakie posyłała przystojnemu kuzynowi Obcych, kiedy sądziła, że nikt tego nie widzi.

Ale czego ona od niego oczekuje? Nie jest przecież w nim zakochana, Ram mógłby przysiąc. Czy chodzi jej wyłącznie o przygodę?

Nie powinna uwodzić Armasa. A przynajmniej nie teraz, nie podczas tej wyprawy. Całą energię muszą kierować na inne sprawy.

Indra była zagadkową osobowością. Za jej pozorną lekkomyślnością kryło się wiele. Ram uśmiechnął się leciutko pod nosem. Przyszedł po nią do domu Gabriela dziś rano, ach, wydało się teraz, że opuścili Królestwo Światła dawno temu! Indra nie słyszała, że wszedł, stał więc przez jakiś czas w drzwiach pokoju i przyglądał się jej, kiedy pakowała przed podróżą osobiste rzeczy.

Zawsze jest coś wzruszającego w ludziach, którzy się pakują, pomyślał. Coś nagiego, jakaś wrażliwość i niepewność. Indra układała bieliznę, potem wyjęła wszystko z powrotem i jakby ważyła w dłoniach, wreszcie odłożyła na bok i wzięła co innego, by w chwilę później zdecydowanie zapakować to, co wybrała najpierw. Kładła poszczególne sztuki bardzo starannie i ostrożnie. Biała bluzka była świeżo wyprasowana i równiutko złożona.

Indra? Ta niepokorna dziewczyna? Ta, która zawsze się boi, żeby nie pokazać, iż coś jest dla niej ważne, żeby nie popełnić błędu?

I właśnie to jest takie wzruszające u pakujących się ludzi. Układają wszystkie swoje najpiękniejsze ubrania, mimo to nigdy nie wiedzą, czy są one wystarczająco dobre ani czy wszystko zostało zrobione tak, jak trzeba.

Indra była najbardziej swobodną istotą w grupie młodzieży. Nie zwracała przesadnej uwagi na moralne zakazy. Ram podejrzewał, że jest doświadczona

pod wieloma względami, sama nawet otwarcie dawała to do zrozumienia kiedyś, gdy trochę poruszona opowiadała o surowej moralności swojej siostry Mirandy i przyjaciółki Eleny.

Indra z pewnością nie chciałaby czekać do nocy poślubnej. Chociaż tak działo się chyba tylko na Ziemi. Tutaj, w Królestwie Światła, nie miała żadnych romansów, tak przynajmniej Ram sądził.

Indra i Berengaria traktowały życie dość lekko. Opanowanie tej ostatniej będzie bardzo trudne, gdy dziewczyna dojrzeje. Indra była mądrzejsza, miała więcej rozsądku. Ale ona też nie przejmowała się tym, co ludzie mówią lub myślą.

Pozwalała życiu płynąć, traktowała je ze sporą dozą ironii, choć poza tym robiła dokładnie to, co jej odpowiadało, za nic nie chciała podejmować żadnego wysiłku. Ta podróż była jej pierwszym prawdziwym zadaniem. Oczywiście skarżyła się na niewygody, jak na przykład w Przełęczu Wiatrów, ale chyba bardziej dlatego, że się po niej tego spodziewano. Poza tym przyjmowała wszystko ze spokojem.

Ram odkrył, stojąc wciąż przy drzwiach, że obserwuje ją już bardzo długo.

Zakaszła lekko, udając, że właśnie wszedł. Indra rozpromieniła się na jego widok tak, że uczył ciepło w sercu i trochę się speszył. Indra nie była osobą szczególnie uzewnętrzniającą swoje uczucia. Przyjmowała zawsze taką postawę, jakby chciała podkreślić, że nic nie może naruszyć jej stoickiego spokoju ani obojętności.

„Ram, stary orle” - powiedziała. - „Czy jestem teraz ładna?” Obejrzała się w lustrze. „Tak, jestem ładna”.

Jej wesoły ton nie zwiódł go jednak. Dopiero co widział jej brak pewności siebie. To właśnie w tym momencie zaczął się zastanawiać, czy postąpili właściwie, wybierając ją do tak trudnego zadania.

Ale kto lepiej poradzi sobie z chłopcem?

Nikt.

Ram drgnął w tym bezosobowym pokoju w Nowej Atlantydzie, bo nieoczekiwanie Indra usiadła obok niego.

- Masz taką rozmarzoną minę, Ram. Patrzyłeś na mnie, ale mogłabym być zrobiona ze szkła, bo patrzyłeś jakby przeze mnie. To dość nieprzyjemne, muszę powiedzieć.

- Nie chciałem zrobić ci przykrości - uśmiechnął się. - Nie zauważyłem, że przyszedł tu i usiadł.

Indra podciągnęła kolana w górę i objęła je ramionami, zrobiła to z wielkim wdziękiem.

- Mam gdzieś to, że pogniotę strój. Przecież i tak nikt się nami nie przejmuje.

- Z pewnością przyjdą. A ubranie się nie pogniecie. Możesz siedzieć, jak chcesz.

- To najrozsądniejsze słowa, jakie dzisiaj słyszałam. Vi-da jest fantastyczną osobą

- mówiła dalej jednym tchem.

- Prawda? Rok miał szczęście.

- Niewątpliwie! A ty?

W końcu zadała pytanie, które od dawna ją dręczyło. Znakomicie!

- Co masz na myśli?

- Czy jesteś żonaty albo coś w tym rodzaju? Czy masz dzieci, wnuki, prawnuki, potomstwo, dwadzieścia pięć pokoleń?

- No, no - uśmiechnął się. - Przyhamuj trochę! Nie mam nikogo. Praca na stanowisku szefa organizacji Strażników pochłania cały mój czas.

- Szkoda! Byłbyś wspaniały jako ojciec rodziny.

- Nie sądzę. - Twarz mu posmutniała. - Szczerze powiedziawszy jakiś czas temu byłem przygotowany do małżeństwa. Ale to było dawno.

Jak dawno? chciała zapytać. Uznała jednak, że nie wypada.

- I co się stało? - zapytała cicho. Ram westchnął.

- Uczestniczyliśmy w wyprawie do Królestwa Ciemności. Kilku młodych ludzi chciało iść dalej do Gór Czarnych...

- Między innymi ona?

- Nie. Ale podczas ekspedycji stało się dla mnie jasne, że dziewczyna, z którą zamierzałem się ożenić, interesuje się innym jej uczestnikiem. I to on chciał iść do

Gór Czarnych. Próbowałem wybić im z głów tę ideę, bowiem tego rodzaju eksperymenty zawsze kończyły się źle. Tym razem także. Nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy.

- Och - szepnęła Indra wzburzona. - A dziewczyna?

- Ona chciała czekać. Nie mogła wyjść za mąż za innego, dopóki nie miała pewności, czy tamten żyje czy nie. Ale, jak powiedziałem, to było bardzo, bardzo dawno temu.

Umilkli. Oboje myśleli teraz o tym, co Jori opowiadał na temat żarłocznych istot przypominających larwy. Ram widział również Svilów, podobne do szcurków stworzenia, które wprawdzie nie zjadają ludzi, ale absolutnie nie są do nich przyjaźnie nastawione.

W Górach Czarnych istniało z pewnością więcej różnych potworów. Poza tym jeszcze ta różnica czasu. Na zewnątrz w Ciemności człowiek starzeje się tak szybko, równie szybko jak na Ziemi. Rywal Rama z pewnością nie... Chyba że był nieśmiertelny dzięki temu, że przebywał w Królestwie Światła pod Świętym Słońcem.

- Czy ja ją znam? - zapytała Indra.

- Nie sądzę. Ona pracuje w ratuszu.

- Więc często ją widzisz?

- Niemal codziennie. Ale teraz to już przestało być ważne - odparł lekko. - Chociaż wtedy moja duma została zraniona.

Zastanawiam się, myślała Indra, czy on jeszcze nie ma nadziei. W przeciwnym razie dlaczego się nie ożenił?

- No ale teraz jesteśmy tutaj - rzuciła, zmieniając temat. Jak to dobrze, że można rozmawiać w różnych językach, a mimo to się porozumiewać.

- Tak, zaszliśmy już bardzo daleko - powiedział Ram. - Ale nie wygląda to wszystko zbyt zabawnie.

Nagle Indra poczuła, że chciałaby zrobić coś dla Rama, domyślała się, jaki jest samotny. Pewnie dlatego ciągle jest w ruchu, zawsze tam, gdzie go potrzebują.

Ale co można zrobić dla człowieka o takiej wysokiej pozycji, kiedy samemu jest się równie nieważnym i irytującym jak ukłucie komara?

Armas coraz bardziej interesował się Indrą. Dziewczyna zawsze była pociągająca z tymi swoimi ciemnymi, lśniąco-czarnymi włosami, z pięknie zarysowanymi brwiami, a przede wszystkim wspaniałą cerą. Nie była to uroda a la Miss World, rysy miała dość nieregularne, ale posiadała mnóstwo wdzięku, który sprawiał, że nie dostrzegało się braków. Irytowało go tylko powłóczyście, ironiczne spojrzenie Indry. Armas nigdy nie wiedział, czy dziewczyna traktuje go jak kompletne zero, czy też jest w tym spojrzeniu świadomość wspólnoty. Nie była taka prostolinijna jak Miranda. Zdawało się, że Indra spoczywa gdzieś w głębi własnej osobowości, totalnie niezainteresowana tym, co inni o niej sądzą. Byleby tylko jej było wygodnie.

Podczas tej wyprawy zaskoczyła wszystkich. Żadnego uzalania się nad sobą w czasie trudnego przejścia przez Przełęcz Wiatrów. Tylko akceptacja sytuacji i od czasu do czasu jakaś krytyczna uwaga, zresztą pełna humoru.

Poczucie humoru miała wspaniałe. Nigdy też nie udawało się nikomu zbić jej z tropu. We właściwy sobie sposób przyjmowała wszelkie przeciwności ze spokojnym:

„To się z pewnością ułoży”. I nic ją nie obchodziło, co dzieje się wokół.

Inni chłopcy z kręgu przyjaciół podkochiwali się w niej po kolei. Indra jednak zdawała się nie widzieć ich zainteresowania albo też nie chciała tego widzieć.

Nigdy więc do niczego nie doszło.

Armas wiedział od Eleny, że Indra na Ziemi miała jakieś historie z chłopakami i że zdobyła spore doświadczenie erotyczne. Wcale mu się to nie podobało. On sam został wychowany w cnocie, po części dlatego, że jego rodzice przybyli tutaj w osiemnastym wieku, kiedy obowiązywały inne zasady moralne, a po części dlatego, że jest synem Obcego, a to zobowiązuje. Jego narzeczoną musi być starannie wybrana z najlepszych. A Indra raczej się nie kwalifikowała do takiej kategorii.

Nie warto więc zaprzętać sobie nią myśli. Ale urodziwa to jest. Jest też inteligentna. Zabawnie się z nią rozmawia, uświadomił to sobie zwłaszcza podczas tej wyprawy, kiedy okoliczności bardzo ich do siebie zbliżyły.

Na zewnątrz rozległy się stanowcze kroki. Symetryczna machina najwyraźniej znowu zaczynała działać. Trochę to denerwujące, nie wiedzieć, co się z człowiekiem stanie, najważniejsze jednak, że coś w ogóle się dzieje.

5

W skład potężnego konsorcjum, czy jak to nazwać, które rządziło Nową Atlantydą, wchodziło czterech potężnych mężów. Istniał jeszcze jeden, sam najwyższy władca, ale on pokazywał się tak rzadko jak to możliwe. Jego Niepokalana Wysokość...

Ci czterej nazywali siebie Nieskalanymi, a ich imiona wyrażały rangę, jaką osiągnęli: Biały, Bielszy, Najbielszy i Najbielszy ze Wszystkich. Nie były to, naturalnie, ich właściwe imiona, to oni sami tak się ochrzcili w dorosłym wieku.

O tym, że Jego Niepokalana Wysokość zwykł się też od czasu do czasu nazywać Bogiem, nikt nie wspominał. Najbielszy ze Wszystkich siedział w marmurowym pałacu i spoglądał ukradkiem na swoich trzech kompanów. Już czas najwyższy na trochę zmian, myślał. Jego Niepokalana Wysokość zaczynał przekraczać dane mu prawo. Gdyby do obecnego tutaj kwartetu przyjąć kogoś nowego, Najbielszy ze Wszystkich dokładnie wiedział kogo, Człowieka, który był mu wierny niczym pies, to Biały stałby się Bielszym, a Bielszy Najbielszym, Najbielszy zaś Otrzymałby godność Najbielszego ze Wszystkich, a on sam... no cóż, tytuł boski bardzo go pociągać.

Ale jak się pozbyć Jego Niepokalanej Wysokości?

- Czy ci przybysze zostali zdezynfekowani? - spytał Bielszy.

- Teraz właśnie poddawani są temu zabiegowi, choć nie wiedzą o tym - odparł Biały. - Zamknięto ich na klucz w pomieszczeniu do sterylizacji.

- Życzyłbym sobie, żeby zostali gruntownie wysterylizowani - mruknął Najbielszy.

- Im mniej ich będzie w Królestwie Światła, tym lepiej dla nas. Ale obecna

sterylizacja dotyczy, rzecz jasna, tylko niebezpiecznych zanieczyszczeń. Ram byłby bardzo urażony, gdyby wiedział, że i jego, i cały orszak poddano tej krótkotrwałej kwarantannie, więc może lepiej, że nie miał o tym pojęcia.

Kogoś niezorientowanego mogłoby zdumiewać, jak staro wyglądają ci czterej oślepiająco biali mężowie. To dziwne, skoro tak długo żyli pod promieniami Świętego Słońca. Nie byli białowłosymi starcami, w żadnym razie, wyglądali jednak na sześćdziesięcio-, siedemdziesięciolatków. Wszyscy. Tylko oni sami wiedzieli, ile naprawdę mają lat.

Odzienie czterech mężów stanowiły mieniące się białe szaty, przypominające togi, i złote sandały. Paznokcie mieli starannie opilowane i pomalowane bezbarwnym lakierem. Służące podawały im jedzenie, najpierw jednak same musiały go spróbować. To znak, że starcy nie są zbyt kochani w Nowej Atlantydzie, a już w żadnym razie nie tak, jak byli skłonni twierdzić. Podejrzliwość zawsze towarzyszy systemowi opartemu na kontroli. Najbielszy ze Wszystkich powiedział z cierpką miną:

- Wiecie coś o tych trzech, którzy zostali wezwani? Owszem, Obcego jesteśmy zmuszeni zaakceptować, ale kim jest ten jakiś książę Marco? Z Czarnych Sał? Nigdy nie słyszałem o czymś takim, myślę, że to blef!

- To samo i ja pomyślałem - skinął głową Bielszy. - Oni chcą nam tylko zaimponować, no i ten trzeci, o imieniu Dolg? Rzekomo bardzo szanowany. Równy Obcym? Pozwolę sobie wątpić.

- Czy oni są tego samego marnego kalibru jak ci, którzy już przyszli? Jeśli tak, to odeślemy ich z powrotem. Wszystkich. Zmusimy Talornina, by przyszedł sam. Byłaby to dla mnie najwyższa przyjemność móc go znowu upokorzyć - oznajmił Najbielszy ze Wszystkich złośliwie.

Najbielszy popadł w zadumę.

- Nie możemy ich tak całkiem wystraszyć. Muszą przecież zabrać ze sobą wybranego.

- Uwolnimy się nareszcie od niego! - zawołał Biały ze szczerym przekonaniem.



- Jestem za tym - przyłączył się do nich Bielszy. Najbielszy bawił się "własnymi myślami:
- Książę...? Skąd oni go wzięli? Chodzi mi o to, że my wszyscy czterej, a z Jego Niepokalaną Wysokością pięciu, jesteśmy królami władającymi różnymi częściami Nowej Atlantydy, więc niech oni nam tu nie wyjeżdżają z jakimś nędznym księciem. Ciekawi mnie tylko, skąd go wzięli?
- Z jakiegoś nic nie znaczącego ziemskiego księstwa - prychnął Biały. - Nie musimy się z nim cackać, niech on sobie niczego nie wyobraża! Czy przekazałeś nasze żądania do Królestwa Światła, Najwyższy ze Wszystkich?
- Owszem. Wspomniałem, że z naszej strony to najwyższa łaska, iż uznaliśmy posłańców, których zaproponował ten nędzny Lemur, Ram, i... Aha, prawda! Ci, którzy mają tu przyjść, zapragnęli wziąć ze sobą jeszcze kogoś. To kobieta imieniem Soi. Zapytałem, czy jest ona godna postawić stopę na świętej ziemi Nowej Atlantydy, i ów Obcy, z którym rozmawiałem, zapewnił mnie, że tak. To osoba nadzwyczajnej godności, powiedział, cokolwiek przez to rozumie.
- Phi, cóż znaczy jedna kobieta mniej lub więcej - prychnął Najbielszy ze złością. - A jak jest z zapłatą za to, że zgodziliśmy się dać im naszego ukochanego wybrańca?
- Ram ma ze sobą zapłatę w tych ogromnych kufrach, które przynieśli - odparł Najbielszy ze Wszystkich i dodał przebiegle: - Ale teraz, w rozmowie z Obcym, zażądałem więcej. Ponieważ obrazili nas śmiertelnie, wysyłając tę żalospną piątkę, powiedziałem, że żądamy jednego z tych świętych kamieni, które przybyły do Królestwa Światła. Chcemy obejrzeć obydwa i wybrać ten, który sprawi nam najwięcej przyjemności.
- Wspaniale! - zawołał zachwycony Biały. - I co na to Obcy?
- Stracił mowę. Na długo. W końcu odpowiedział krótko, że strażnik kamieni weźmie je ze sobą. Więcej nie chciał obiecać.
- Kim jest ów strażnik?
- O ile zrozumiałem, ma nim być ten nieznany Dolg, który się tutaj wybiera.

- Świetnie pomyślane, Najbielszy ze Wszystkich - zachichotał Najbielszy. - I... jeśli cię dobrze rozumiem, to może się tak stać, że... eeech... zdobędziemy obydwaj?  
- Tak właśnie myślę! A w takim razie... staniemy się potężniejsi niż Obcy i reszta nędzników po tamtej stronie.

Dostojni mężowie spoglądali na siebie wielce zadowoleni. Natychmiast też wydali rozkaz, by elitarne oddziały żołnierzy zostały zmobilizowane, reszta ludności zaś ukryła się w domach, zamykając drzwi na klucz.

Teraz nareszcie nadarzała się możliwość złamania znienawidzonego Królestwa Światła. Będzie można je przejąć i zdyscyplinować.

Prawdziwy powód wizyty tamtych, przekazanie wybranego, zszedł na plan drugi wobec tej nowej, niezwykle pociągającej perspektywy.

„Więźniowie” zostali wypuszczeni z pokoju do dezynfekcji i przewiezieni w głąb kraju poruszającą się po ziemi gondolą.

Był to jedyny taki pojazd w tym kraju, dostali go kiedyś od Królestwa Światła, ale sami nie postarali się o rozwinięcie pomysłu. Wprawdzie kilku młodych mężczyzn podjęło się zbudowania takiego samego pojazdu, ale grupa białych ekspertów poczuła się zagrożona i stanowczo zabroniła tym młodym dotykania jakichkolwiek urządzeń technicznych. W Nowej Atlantydzie panowało władztwo starców!

Teraz pojazd był bardzo zniszczony, ale najgorsze dziury załatano i pomalowano. Jechali przez niepospolicie piękne okolice. Tak czyste i perfekcyjnie zagospodarowane, takie uporządkowane, że całej piątce żołądki niemal podchodziły do gardeł.

- Chcę wracać do domu, do Królestwa Światła, i odetchnąć - mruknął Armas, a pozostali przyłączyli się do niego całym sercem.

Ludzi widzieli ze sporej odległości. Znakomicie ubrani w białe, zwiewne stroje, zbyt jednak białe, by pracować na polu. Indra widziała, że nieszczęśnicy nie mają odwagi dotykać warzyw, które wrywali z ziemi, ani snopków zboża, które powinni ustawiać w kopy. Ogarnęła ją ochota, by wyskoczyć z gondoli i potrząsać zarówno snopkami, jak i tymi ludźmi, by tchnąć w nich trochę życia.

Przyglądała się oślepiająco białej osadzie, którą mijali.

- Ten sam rodzaj starannej piękności, jaką widzi się w parku w Wersalu albo w japońskich ogrodach. Nieskończenie, niezmiernie doskonały i strasznie poprawny.

- Strasznie, tak, trafne określenie - mruknął Rok. - Bo przecież ci ludzie są po prostu wystraszeni? Niech mi nikt nie wmawia, że są szczęśliwi w tym swoim pedantycznym kraju.

- Spójrzcie na miasto! - zawołała Vida, pokazując przed siebie. - Czy widzieliście coś podobnego?

- Nie, na szczęście nie - odparł Ram. - To jest, oczywiście, stolica. Widzicie tę najwyższą wieżę? Tam podobno przesiaduje Jego Niepokalana Wysokość i gapi się w dół. Stamtąd utrzymuje kontrolę nad całym swoim krajem. Z pewnością jednak go nie spotkamy.

- Jest ci z tego powodu przykro? - zapytała Indra.

- Nie - uśmiechnął się Ram. - Bywałem tu kilkakrotnie, ale nigdy nie widziałem Jego Wyszorowanej Czystości.

Pojazd zatrzymał się na prostokątnym ryneczku, a oni zostali wprowadzeni do czegoś, co musiało być ratuszem albo jakimś pałacem, nie byli pewni. Tutaj mogli nareszcie zobaczyć ludzi z bliska, ale nikt nie wyglądał radośnie, o, nie. Indra zwróciła uwagę, że wszyscy chodzą ze wzrokiem utkwionym pod nogi, by nie deptać fug w marmurowej podłodze. Od czasu do czasu ktoś rzucał nowo przybyłym przerażone spojrzenie, niektórzy z podejrzliwością, inni z pełnym lękiem podziwem. Indra nie mogła zrozumieć dlaczego, przecież ona i jej przyjaciele byli ubrani dokładnie tak samo jak tamci. Może to znaki słońca noszone przez mężczyzn wprawiały ich w takie wzburzenie?

Przemierzali marmurowe sale, prowadzeni przez dziesięciu żołnierzy, którzy otaczali ich wciąż tak, by żadne nie mogło umknąć. W jakimś korytarzu spotkali podobny oddział, tylko trochę mniejszy. Czterech żołnierzy eskortowało kobietę z kajdanami na rękach. Indra teatralnym szeptem zadała pytanie Ramowi. On przekazał je jednemu ze strażników i otrzymał odpowiedź, że przestępstwo

kobiety polega na tym, iż wywiesiła na sznurze zbyt dużo bielizny do suszenia i zakłóciła w ten sposób widok sąsiadom i osobom przechodzącym obok jej domu.

Ta bezczelna kobieta przedłużyła sznur do bielizny do całych dwóch metrów!

- Och, to katastrofa - mruknęła Indra. - Ale co miała zrobić z kalesonami swojego męża? Powiesić je na maszcie od flagi?

- Jak to dobrze, że oni nie rozumieją, co mówisz - uśmiechnął się Ram. - W tym kraju humor jest zakazany. Mógłby doprowadzić do kompletnego chaosu.

Wartownicy zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, dwaj pierwsi wkroczyli do środka, by złożyć meldunek.

W końcu zostali wpuszczeni i poprowadzeni przed oblicza najświętszych mężów.

Indra zobaczyła czterech starców ubranych w oślepiająco białe szaty, którzy dosłownie pławili się w zadowoleniu z siebie. Siedzieli niczym sędziowie inkwizycji przy długim marmurowym stole. Ale ich świątobliwe zadki zeszywniały od niewygodnego tkwienia na wyścielanych krzesłach, obitych białym jedwabiem.

Bez śladu rozbawienia w głosie wartownik przedstawił ich jako Białego, Bielszego, Najbielszego i Najbielszego ze Wszystkich. Indra miała spore trudności z zachowaniem powagi.

Może ci mężowie kiedyś byli przystojni. Teraz ich twarze stały się surowe i dziwnie wykrzywione od tego nieustannego dążenia do perfekcji, nie pozostało w nich nic pociągającego. Indra zauważyła, że papier, pióra i inne przybory do pisania leżą przed nimi niezwykle starannie ułożone.

Przyszło jej do głowy, że starcy sprawują kontrolę nad podporządkowanym sobie ludem właśnie poprzez pedanterię. Nieustanne poszukiwanie czegoś, za co można by ukarać nieposłusznych, stanowiło jedną z ważnych metod zarządzania krajem.

Jak mogło do tego dojść?

Czterej kredowobiali starcy przyglądali im się natrętnie. Rozpoczęło się przesłuchanie, rozmowa między mężami i Ramem. Indra wiele razy o mało sama nie odpowiedziała, zresztą widziała, że Armas i Vida borykają się z tym samym

problemem, na szczęście jednak zawsze potrafią się opanować i nie dają po sobie poznać, że rozumieją, co mówią biali mężowie.

No właśnie, ich zdanie na temat Indry nie było szczególnie pochlebne, dostrzegła, że Rama ogarnia gniew, gdy starcy oskarżali ją o różne rzeczy. Na przykład, że pochodzi z niższej rasy. Ze nie zajmuje wysokiego stanowiska. Ze nie jest dość ładna. Brak jej godności. Niemoralna, ciekawe, co oni mogą o tym wiedzieć?

W rezultacie tej rozmowy postanowiono, że skoro i tak trzeba czekać na przybycie nowych wysłanników Królestwa Światła, to należy wezwać wybranego, żeby zobaczyć, co on sam powie o swojej niańce.

Indra o mało nie eksplodowała. „Nie jestem przecież żadną niańką!” - chciała zawołać, ale Ram, który zauważył jej wzburzenie, uszczypnął ją ostrzegawczo po kryjomu w rękę. Indra opanowała się.

Podczas gdy czekali na wybranego, ten, który nazywał siebie Najbielszym ze Wszystkim, Indra nazywała go w myślach Najsuchszy ze Wszystkich, powiedział: - Z wysłannikami ma jakoby przyjść ktoś jeszcze, kobieta. Powiedzcie mi, czy ona jest godna postawić stopę na pięknych ziemiach Nowej Atlantydy?

Kobieta? Spoglądali po sobie pytająco.

- Podobno ma na imię Sol - powiedział Najbielszy ze Wszystkich z lekkim obrzydzeniem.

Wszyscy goście wstrzymali dech.

Pierwszy opanował się Ram.

- Sol z Ludzi Lodu? Tak, ona jest... absolutnie godna.

- Z Ludzi Lodu? - powtórzył Najbielszy ze Wszystkich z druzgocącą pogardą. -

Czy do tego samego niskiego rodu nie należy też obecna tutaj dama?

- Owszem - odparł Ram, z trudem zachowując spokój. - Ale Ludzi Lodu w żaden sposób nie można nazywać niskim rodem.

Dziękuję, Ram, pomyślała Indra.

- Skoro nie jest to ród książęcy ani nawet szlachecki, to jest niski - uciał zdecydowanie Najbielszy ze Wszystkich. Nagle zmienił ton, stał się dziwnie

kordialny. - No, a oto i nasz mały złoty chłopczyk! Czy mogę zaprezentować największe ukochanie Nowej Atlantydy: wybrany!

6

Był bardzo mały. Gdyby mieli czekać, aż dorośnie, zanim pójdą do Gór Czarnych, to nie byłoby słońca dla żyjącego w ciemności ludu, wiele generacji urodziłoby się i umarło na pustkowiach, gdzie czas płynie tak szybko. Właściwie Indra nie wiedziała, ile dokładnie lat liczy sobie ten chłopiec, przypuszczała jednak, że dziesięć. Możliwe, ale wyglądał najwyżej na sześć. Stał w drzwiach z pogardliwym uśmiechem na wargach i przestraszoną służącą za plecami. Kobieta zniknęła natychmiast po tym, gdy przekazała innym owo małe чудо.

Zwyczajny chłopiec, powiedziała by Indra. Taki łobuziak, jakich całe tuziny biegają po ulicach wielkich miast zewnętrznego świata, spragnionych przygody i zabawy. Reno, jak nazywano tego chłopca, był tylko bardziej świadomy niż tamte dzieci ulicy, a poza tym ubrany zupełnie inaczej. Nosił starannie udrapowaną szatę z olśniewająco białego materiału i złote sandały na bosych stopach. Miał czarne lekko wijące się włosy i ciemnobrązowe oczy oraz niechętny wyraz twarzy. Wiedział bardzo dobrze, ile jest wart, i dawał to odczuć również otoczeniu. Indra znieubiła go od pierwszego wejrzenia.

Jaka jestem podła, pomyślała. To przecież tylko biedne dziecko, które dorastało w nienormalnych okolicznościach. Czy nie powinnam mu okazać choć trochę zrozumienia?

Ale nic nie można poradzić na spontaniczne uczucia.

Czterech ubranych na białą nadętych starców powitało wejście chłopca pełnymi szacunku pokłonami, by pokazać gościom, co to znaczy mieć w swoim państwie wybranego. Z dumą odesłali obiekt swoich zachwytów do nowo przybyłych, którym dotychczas jeszcze nie zaproponowano, by usiedli. Chłopiec gapił się na gości całkowicie obojętnie. A to pokazał na moment język, a to wydal z siebie dźwięk, jaki się rozlega, gdy powietrze uchodzi z przekłutego balona. W końcu odezwał się, a jego głos brzmiał sarkastycznie:

46

- Aha, znowu Ram! Czego chcesz tym razem, ty królu wszelkiej ludzkiej impotencji? Myślisz, że możesz mnie zabrać? Jeśli tych tutaj nazywasz moją eskortą, to będzie wam gorąco w czasie podróży!

Ram nie zareagował najmniejszym nawet skrzywieniem warg. - Wybraliśmy do tego zadania najlepszych, jakich mamy.

Głos, który mu odpowiedział, był dziecinnie dźwięczny, ale pogardliwy.

- To są najwspanialszy? Lemurowie? Jeden bękart? I kobieta? Nie, no wiesz co, ty stary niedorozwinięty głupcze!

- My nie kierujemy się nic nie znaczącą rangą, lecz szlachetnymi przymiotami charakteru.

Dzięki, Ram, nie zasłużyłam sobie na to, pomyślała Indra.

Najwyraźniej okazała zbyt wiele z tego, co myśli, bo młody Reno podszedł do niej bardzo blisko i powiedział:

- Tej nie lubię!

- Z największą wzajemnością - odparła Indra bez zastanowienia.

- Co ona mówi? - krzyknął Reno do Rama ostrym głosem.

- Ona mówi, że nie rozumie, co wy, panie, powiedzieliście, ale że ma nadzieję, iż zostanieie przyjaciółmi - odparł Ram beznamiętnie, a Indra pomyślała: „Niech to diabli!”.

- Ona posługuje się jakimś bardzo zwięzłym językiem - rzekł chłopiec podejrzliwie.

- Nie lubię jej. W ogóle jej nie lubię!

Ram odrzekł spokojnie:

- Nie wybraliśmy osoby, która ma wam towarzyszyć, po omacku. Indra jest najlepszą, jaką możecie mieć.

Młody Reno wciąż się w nią wpatrywał, nawet na sekundę nie spuścił z niej oczu.

Jej wzrok też był nieugięty. I nagle zobaczyła coś, czego się nie spodziewała:

Chłopiec miał poczucie humoru! W jego oczach pojawiały się błyski jakiegoś diabelskiego, sadystycznego humoru, który nie należał do przyjemnych, ale w którym mimo wszystko zawierała się też jakaś obietnica. Może będą mogli spotkać

się na tej płaszczyźnie?

Wątpiła jednak. W tych oczach było zbyt dużo złośliwości i uczuciowego chłodu, zbyt wiele pogardy dla ludzi, zbyt wiele złego wychowania. Czuli się wyniesiony niczym bóg, on, dziecko. A co będzie w przyszłości?

To prawda, że mała Siska przeżyła jakoś swoją przemianę z bogini i księżniczki w zwyczajnego człowieka. Ona jednak nie nosiła w sobie tyle złości, co ten chłopak. Ponieważ Indra jakoby nie rozumiała jego języka, nie mogła się z nim porozumiewać w ten sposób. W żaden inny zresztą także nie, przynajmniej na razie. Jedyne, na co miała ochotę, to kopnąć tego zadufka w tyłek albo spuścić mu potężne lanie. Tylko że tego nikt by nie zaakceptował, jej towarzysze także nie.

Uśmiechała się więc tylko łagodnie do tego nieznośnego małego gówniarza, życząc mu jednocześnie serdecznie śmierci i potępienia.

Ram spostrzegł, że napięcie między tymi dwójkiem może doprowadzić do złego, próbował więc lać oliwę na wzburzone fale.

- Poza tym niedługo przybędzie czterech nowych członków eskorty - oznajmił krótko.

W końcu Reno odwrócił wzrok od Indry i skoncentrował się na Ramie.

- O, tak, z pewnością ci nowi będą ulepieni z tej samej gliny, co ci tutaj. Nie zamierzam z wami iść.

W oczach czterech ubranych na biało mężów pojawił się paniczny strach.

- Ależ Wasza Wysokość!

Wybrany triumfował, mogąc im tak okropnie dokuczyć.

- Poczekajmy, dopóki nie przyjdą nasi towarzysze - rzekł Ram spokojnie.

Indra przyglądała się chłopcu, który teraz prowadził rokowania z czterema swoimi ziomkami. Na czole chłopca dostrzegła znak, który w pierwszej chwili wzięła za znak kastowy, teraz jednak przekonała się, że to wrodzone znamię, mające niemal dokładnie taki sam kształt jak znak słońca, który tylekroć widywała.

- Czy on dlatego został wybranym? - zapytała Roka, ponieważ Ram był zajęty ze



starcami.

- Częściowo tak - odparł Rok. - Poza tym urodził się we właściwym dniu, a jako niemowlę wybrał właściwe symbole ze zbioru różnych przedmiotów.

Dokładnie tak, jak mały lama, pomyślała Indra. Wygląda to na bardzo stary rytuał. Sięgający może nawet do czasów Atlantydy?

- Wybrany czy nie, to jest małe monstrum - mruknęła pod nosem.

- Nie ty jedna masz o nim takie zdanie - odpowiedział Rok. - I właśnie dlatego ciebie wyznaczono na jego opiekunkę w Królestwie Światła.

- Ale dokładnie dlaczego? Dlaczego właśnie ja?

Wtrącił się Armas:

- Powinniście byli wyznaczyć Siskę. Ona była tak samo arogancka i świadoma swego znaczenia, kiedy przyszła do nas z mrocznych lasów. A poza tym ona jest prawdziwą księżniczką. Jak widać, tytuły wiele znaczą dla tych ważniaków.

- Siska jest za młoda - stwierdził Rok. - Nie dałaby sobie rady z tak trudnym zadaniem. Poza tym nie mogliśmy ryzykować, że ci dwoje zakochają się w sobie. Indra miała na końcu języka mnóstwo protestów, nie zdołała ich jednak wypowiedzieć, bo zameldowano przybycie nowych gości.

- Och, Bogu dzięki - westchnęła cała piątka jednocześnie.

Wszyscy patrzyli w stronę drzwi, Reno z uwagą, ubrani na białe starcy bardzo, bardzo chłodno z pogardliwymi minami. Nie oczekiwali niczego wyjątkowego...

Ale wkrótce unieśli w górę brwi. Zdumieni przyglądali się czworgu wchodzącym do pokoju.

Strażnik Góry był Obcym. Wiedzieli, że nie mają się czego obawiać z jego strony, ponieważ Atlantydzi znajdowali się pod opieką Obcych i znali ich z wielkiej tolerancji. Ten jednak był bardzo zagniewany, wszyscy to widzieli.

Poza tym przybył pewien młody człowiek, nie tak wysoki jak dwaj pozostali mężczyźni, ale piękny niczym bóg z całkiem czarnymi oczyma i czarnymi lokami wokół bladej twarzy.

Za nim szła kobieta tak urodziwa, tak zagadkowo daleka i eteryczna, że wprost

trudno było się zorientować, kim jest.

Ale dopiero czwarta postać sprawiła, że pootwierali usta i gapili się, nie zważając, że wyglądają bardzo nieładnie i tracą wiele ze swojej godności.

Nie ulegało najmniejszej -wątpliwości, że to właśnie jest ów książę Czarnych Sal.

Było też jasne, że i on plonie gniewem.

Młody Reno cofnął się parę kroków, szukane opieki u starców, z których tak często sobie drwił. Patrzył jednak na przybyszów pogardliwie, nie okazywał im żadnego zainteresowania.

Pierwszy zabrał głos Strażnik Góry:

- Jakim prawem odnieśliście się tak lekceważąco do mojego syna?

Marco dodał:

- I do mojej kuzynki Indry?

- A także do trojga wysoko postawionych Lemurów - powiedział Dolg swoim łagodnym głosem, w którym jednak teraz pobrzmiwała groźba. - Dwaj z nich to czołowi Strażnicy w Królestwie Światła!

Starcy drgnęli, ale natychmiast się opanowali. Głos zabrał Najbielszy ze

Wszystkich:

- Rzecz polega na tym, iż nie mieliśmy jeszcze czasu obejrzeć, jakie dary oni z sobą przynieśli w ramach rekompensaty za to, że wychowaliśmy ten drogocenny skarb - rzekł wyniośle. - Jestem pewien, że sprawią nam one przyjemność i tym samym to niewielkie nieporozumienie zostanie wyjaśnione.

- Prosilicie też o to, by pozwolono wam zobaczyć święte kamienie Królestwa Światła - przerwał mu Strażnik Góry.

Najbielszy ze Wszystkich nabożnie złożył swoje wyszorowane do czysta ręce.

- Tak, chcieliśmy zdecydować, który z nich sprawi nam największą radość.

Zresztą myśleliśmy o obu. Za obrazę, której, jak sądziliśmy, dopuszczono się wobec nas, ponieważ nie przybyli tutaj osobiście Obcy. Bo my nie prowadzimy rozmów z podporządkowanymi.

- Tych pięcioro, których -wysłaliśmy tutaj, to zaufani i w pełni godni nasi

reprezentanci - odparł cierpko Strażnik Góry. - To było pierwsze zadanie mojego syna, nie oczekiwałem takiego traktowania z. waszej strony. Kamienie natomiast zostaną u nas, nigdy nie mieliśmy zamiaru nikomu ich dawać. Ale przynieśliśmy je tutaj, byście mieli okazję je obejrzeć.

Czterej starcy pochylili razem głowy i mamrotali coś do siebie cicho. Tymczasem nowo przybyli zobaczyli chłopca. Był on teraz bardzo spokojny, prawie grzeczny. W końcu zdaje się biali osiągnęli porozumienie. Najbielszy ze Wszystkich powiedział:

- Pragniemy zobaczyć, co wasi wysłannicy przynieśli jako dary.

- To nie są dary, to zapłata za to, że wychowaliście wybranego - odparł Strażnik Góry. - Proszę bardzo, kufry stoją tam.

Chłopiec niemal cały wszedł do skrzyni, ale Najbielszy ze Wszystkich zaraz go stamtąd wyciągnął. On chciał obejrzeć pierwszy.

Marco, którego ciemna postać ostro kontrastowała z olśniewająco białymi ubraniami starców, patrzył z niezgłębionym wyrazem twarzy, jak pożądlive palce Najbielszego ze Wszystkich wyciągają kolejne przedmioty z kufrów. Ów rzeczywiście najbardziej na biało ubrany odkładał z niezadowoloną miną aparaty, które wprawilyby w zachwyty nowoczesnych ludzi na zewnętrznym świecie, ale Najbielszy ze Wszystkich nie chciał instrumentów muzycznych ani skomplikowanych technicznych wynalazków. On pragnął złota i lśniących kamieni. Bogactwa!

Ram próbował mu wytłumaczyć, do czego służą różne aparaty. Podkreślał, że mogłyby mieć wielkie znaczenie dla ludności, dając jej możliwość korzystania z wspaniałych rezultatów badań medycznych, a liczne urządzenia mogłyby uczynić ich życie łatwiejszym. Ram nie powiedział, że widzieli, jak ciężko ludzie muszą pracować na roli.

Najbielszy ze Wszystkich prychnął głośno.

- Ludzie nie mogą żyć zbyt wygodnie. Powinni być trzymeni w cuglach, w przeciwnym razie zaczynają się problemy. Pojawiają się żądania, nikt nie chce

znać swego miejsca. Spójrzcie tylko, jak perfekcyjnie zarządzany jest ten kraj! A do czego by, waszym zdaniem, doprowadziło to, gdyby ludzie dostawali wszystko, czego chcą? Zapanowałby chaos, taki sam jak w Królestwie Światła! Sami przecież wiecie, jakie okropne jest tam życie!

Indra nie wierzyła własnym uszom. Teraz nareszcie zaczynała się domyślać, co w gruncie rzeczy oznacza to władztwo starców. Wymieniła spojrzenia z Ramem i stwierdziła, że on też wie. A przynajmniej domyśla się, co się tutaj dzieje.

To państwo dyktatury. Zbudowane na perfekcjonizmie i władzy wojskowej. Potworne połączenie.

Ponieważ nie mogła okazywać, że rozumie, co powiedział Najbielszy ze Wszystkich, powstrzymała się z protestami słysząc jego horrendalne twierdzenie o bałaganie panującym w Królestwie Światła. Zauważyła jednak, że i Marco, i Dolg mówią językiem Atlantydów. To, że Strażnik Góry zna ten język, nie dziwiło jej. Ze Marco, też nie bardzo, on chyba umie naprawdę wiele. Ale Dolg...?

Może zawdzięcza to swemu długiemu pobytowi w królestwie elfów? Może uzyskał tam zdolność posługiwania się wszystkimi językami? Niewykluczone.

Bardzo dawno temu Indra spoglądała na Marca i Dolga jako potencjalnych kochanków. Teraz była szczerze rada, że ma w nich przyjaciół. Napełniała ją szczęściem świadomość, że może do nich pójść kiedy chce, jeśli zapragnie porozmawiać o ważnych sprawach, a oni wysłuchają ją życzliwie i będą sobie cenić to, że przyszła.

Lepszych przyjaciół mieć nie mogła.

Ram i Rok też byli przyjaciółmi. Podczas gdy czterej biali starcy pożądliwie przeglądali dary, ona przyjrzała się wszystkim swoim towarzyszom z Królestwa Światła.

Jacy oni piękni, wszyscy co do jednego! Jaka niezwykła wspólnota łączy mieszkańców jej nowej ojczyzny! Cieszyła się, że podczas tej wyprawy zbliżyła się bardzo do tajemniczego Armasa, tym bardziej że w grupie młodych przyjaciół właśnie on zachowywał największą rezerwę. Vida okazała się fantastyczną istotą,

taka prosta, a mimo to tak niewiarygodnie uzdolniona. I nigdy tymi swoimi uzdolnieniami nie chwaliła się przed innymi. Nieoczekiwanie Indra napotkała lekko zdziwione, żartobliwe spojrzenie.

Sol...

Co ona tu robi? myślała Indra. Dlaczego ona tu jest? Moja krewna, jeśli wolno tak nazywać kogoś, od kogo dzieli człowieka piętnaście pokoleń. Ale Ludzie Lodu zawsze odczuwali więź rodzinną, nie bacząc na różnicę czasu. Marco, na przykład. On też nie był blisko spokrewniony z Indra, ale zarówno ona, jak Marco i Sol odczuwali to samo: należę do nich. Jesteśmy częściami jednej rodziny.

Indra bardzo chciała porozmawiać trochę z Soi, bo jakoś dotychczas nie było po temu okazji, ale przeszkodziły im w tym syczące glosy starców.

Biorąc pod uwagę wygląd dyktatorów, to naturalnie nieporozumieniem jest nazywać ich starcami. Nikt tym mianem nie określa sześćdziesięciolatek. Tyle tylko, że tutaj nikt nie wierzył, iż mogliby liczyć sobie właśnie tyle. Musieli żyć setki lat, może nawet tysiące, nikt nie wie dokładnie. I mimo swego stosunkowo młodego wyglądu sprawiali wrażenie starców, przede wszystkim świadczyły o tym ich ruchy oraz przestarzałe poglądy, a także brak zdolności do przyjmowania i akceptowania rzeczy nowych.

Kiedy już Przyjaciele Porządku obejrzeliby dokładnie dary, zwrócili się ku gościom.

- Nie jesteśmy zadowoleni - stwierdził wyniośle Najbielszy ze Wszystkich. - Nic mniej wartościowego niż święte kamienie nie może być plastrem na nasze rany po wielu latach z wybranym.

- Aż taki był nieznośny? - mruknął Marco. - Ale dobrze, podyskutujmy o tym w spokoju! Indra, Armas, siadajcie na swoich miejscach!

- Na jakich miejscach? - zapytała Indra.

Na te słowa w oczach Strażnika Góry ponownie zapłonął gniew.

- Czy Wasza Wysokość potwierdzi, że pozwoliliście swoim gościom stać przez cały czas? Jak jakimś służącym? Chodźcie, przyjaciele! Opuszczamy ten kraj, nie mamy o czym z nimi dyskutować!

- Nie, zaczekajcie, zaczekajcie! - zawołał Najbielszy, machając rękami. - Musicie przecież wziąć wybranego! I nie zabierzecie chyba z powrotem waszych darów, to przecież nie...

- Aha, więc jednak je chcecie? I chcecie też pozbyć się chłopaka? Dobrze, w takim razie powinniście zachowywać się przyzwoicie. Pozwoliliśmy wam kierować krajem tak, jak wam się podoba, i przez wszystkie te lata dawaliśmy wam ochronę. Ale wy odplaciliście się nam marnie, a jeszcze gorzej zarządziliście tym krajem. Przedstawimy waszą sprawę na posiedzeniu Wielkiej Rady, w której skład wchodzi Ram, Rok, a także i ja, Marco i Dolg. Jak widzicie, Królestwo Światła przysłało wam swoich najlepszych obywateli. Z waszej strony oczekiwaliśmy trochę więcej szacunku!

Najbielszy ze Wszystkich łaskawie uniósł rękę.

- Spokojnie, Obcy! Po prostu przedstawiliśmy nasze zasady, nie chcieliśmy oddawać najdroższego, co mamy byle komu. Podyskutujmy teraz i pokażcie nam w końcu szlachetne kamienie! Mówiliście, że będzie z wami opiekun kamieni. Kto to jest?

Strażnik Góry wskazał na Dolga, wciąż jeszcze z twarzą wykrzywioną gniewem na bezwstydne przyjęcie, jakie tutaj zgotowano jego synowi.

- On? - spytał Najbielszy ze Wszystkich z niedowierzaniem. - Ale to przecież tylko mały Lemur!

- Błąd - odparł Strażnik Góry krótko. - I nie wypowiadaj się pogardliwie o Lemurach! Jeśli chodzi o szlachetne cechy... Zresztą, dość o tym! Usiądźmy teraz i porozmawiajmy.

Indra domyśliła się, że walka o prestiż wciąż jeszcze jest przed nimi. Atlantydzi patrzyli z góry na wszystkich, z niewielkim wyjątkiem dla Obcych, których jednak również próbowali upokarzać, choć nie mieli odwagi czynić tego otwarcie.

Nie dowiedziała się jednak, jak się zakończy próba sił, ponieważ nagle wydarzyło się coś tak zaskakującego, że nawet czterech białych starców się skuliło.

W pokoju rozległ się jakiś dziwny, metaliczny głos.

- Co to znowu za zabawa - warknął ponuro, z irytacją. - Dlaczego marnujecie czas? Chcę je zobaczyć!

Ubrani na biało mieli posępne miny. Dwóch się zarumieniło.

- Naturalnie, Wasza Niepokalana Wysokość - odparł Najbielszy ze Wszystkich nerwowo. - Natychmiast wyślemy ich na górę. Całą dziewiątkę. Wasza Wysokość?

- Nie, nie, nie, nie miałem na myśli tych nic nie znaczących kreatur. Chodzi mi, rzecz jasna, o kamienie! One są moje!

Na sekundę zaległa cisza. Twarze białych wydłużyły się. Tamtemu pachniały kamienie!

- Nie dostaniecie ich - rzekł Strażnik Góry krótko.

- Co? Ja nie dostanę? W tym kraju ja decyduję, co kto może mieć. - Wściekłość dosłownie tryskała z megafonu. Potem rozległy się trzy krótkie słowa: - Schodzę na dół.

Po nich zapanował ogólny chaos.

- Jego Najdoskonalsza Niepokalaność schodzi na dół -jęknęli czterej biali i zaczęli biegać bezradnie po pokoju.

- Stójcie prosto! - zawołał Najbielszy do gości. - W równym szeregu! Ram, twój oddział jest niepoprawny, pojęcia nie ma o dyscyplinie. Nie, Wasza Wysokość Reno, wy stójcie tutaj. Przy nas. Straże! Straże! Zaprowadzić porządek wśród gości! Straże!

Żaden z gości się nie poruszył. Spokojnie obserwowali bezładne poczynania gospodarzy. Strażnicy weszli do środka i zmusili grupę z Królestwa Światła, by ustawiła się w równych szeregach, klęli, że znowu jest ich nieparzysta liczba, któryś zdmuchnął jakiś pył z ramienia Roka i skrytykował niekonwencjonalny strój Sol, poszturchując ją przy okazji, aż musiała trzepnąć go po ręce.

Strażnik wrzasnął głośno i przerażony przyglądał się swojej dłoni. Pojawiły się na niej rozległe oparzenia. Reno zareagował na to pełnym przejęcia chichotem, wi-

docznie mu to zaimponowało.

Zamieszanie ucichło natychmiast, bo wszyscy teraz patrzyli na Sol, która z rozplomienionymi oczyma Ludzi Lodu podeszła do czterech białych wysokości.

- Jeśli nadal będziecie się zachowywać jak gromada kur, które zamierzają znieść jajka, to przemienię was właśnie w takie kury. Ładnie to będzie wyglądać, gdy przyjdzie tu ten stary zrzęda z megafonu, prawda? Jaką rasę wolicie? Angielską czy włoską białą?

Ram zapomniał poprosić Soi, by była ostrożna z aparatami mowy. Miała je na sobie oba, również ten, który sprawiał, że przeciwnicy rozumieli, co mówi, chociaż wygłaszała swoją tyradę w staronorweskim.

W tym momencie z głuchym łoskotem zatrzymała się winda i zaraz otworzyły się drzwi.

Dwie kobiety wydobyły z windy i postawiły na podłodze mężczyznę, którego trzymały pod pachy i za kolana, unosząc go nieco nad ziemię. Pozostawał ciągle w pozycji przypominającej literę Z, widocznie nie był w stanie utrzymać się na własnych nogach. Obie kobiety podały mu dyskretnie ręce i w końcu zdołał się wyprostować.

Był potwornie stary. Jego twarz pokrywała żółtobiała skóra, pomarszczona tak, że właściwie nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Prawie nie widziało się jego oczu, a kąciki ust karykaturalnie zwisały. Nos i uszy miał bardzo długie, tak jak to bywa u starych ludzi, tutaj jednak osiągnęło to stan ekstremalny. Kilka brudnobiałych kępek włosów „upiększało” czaszkę.

- Przystojny - mruknęła Indra.

- Co ona powiedziała, co ona powiedziała?

- Ona was pozdrowiła, panie - odparł Ram.

- Nie wydałem rozkazu, by mnie pozdrawiać. I niech nikt się nie waży zwracać do mnie bez wymieniania mego tytułu!

Mężczyzna, który w chwilach pychy nazywał siebie bogiem, rozglądał się podejrzliwie wokół. Jego podwładni stali w nienagannych pozycjach, starannie



ubrani. Wartownicy dawali poczucie bezpieczeństwa, gorzej miały się rzeczy z gośćmi. Wartownicy musieli powstrzymać Indrę, by sobie nie poszła. „Ten przeklęty starzec śmierdzi, czy nie ma tu nikogo, kto mógłby mu zmieniać pieluchy?” - syknęła w pewnym momencie. Ram bardzo się starał zachować poważną minę.

- Dlaczego ta kobieta coś mówi? Co ona mówi? - irytował się starzec.

Ram przetłumaczył:

- Ona nie oczekiwała, że będzie mogła was zobaczyć, Wasza Niepokalana Wysokość. Nie spodziewała się też... że wyglądacie tak, jak wyglądacie.

Koszmarly starzec uznał to za pochlebstwo i najwyraźniej wybaczył Indrze.

Natomiast on również zabrał się do krytykowania stroju Sol i uczynił chwiejny krok w jej stronę.

Wszyscy Atlantydzi wykrzyknęli ostrzegawczo.

- Ona jest niebezpieczna, Wasza Niepokalaność - wyjąkał Bielszy. - Ja nie wiem, dlaczego poważyli się sprowadzić ją tutaj, ale ta kobieta posiada czarodziejską siłę!

Starzec gapił się na Sol.

- Nie podoba mi się to, nie podoba, Ram, twoja opinia bardzo straci na tym, że przyprowadziłeś tę czarownicę!

Nasza opinia nigdy tutaj nie była przesadnie dobra, pomyślała Indra.

Jego Niepokalana Wysokość najwyraźniej uznał, że Sol jest niebezpieczna, i zaatakował znowu Indrę:

- Nikt nie odzywa się bez pozwolenia w mojej obecności. Kamienie, Ram, ty Lemurze z byle jakiego rodu! Kamienie! Chcę je zobaczyć.

Ram zwrócił się do Strażnika Góry, który przez zaciśnięte zęby wydał rozkaz, by wszyscy odsunęli się od Dolga, bo on wyjmie teraz szlachetne kamienie.

- A to dlaczego? - zdziwił się Najbielszy.

- Dlatego, że Dolg jest jedynym, który ma prawo ich dotykać - wyjaśnił Strażnik Góry. - One nikogo innego nie uznają. Dlatego nie możecie ich dostać.

- Nonsens! Mnie naturalnie uznają. Zwłaszcza że chyba nie ma w moim królestwie nikogo bardziej godnego. A poza tym... Co to za głupstwa próbujesz mi wmawiać, Obcy? Kamień nie ma przecież uczuć, jesteś taki głupi, czy...? Strażnik Góry miał szlachetniejszy charakter niż Jego Niepokalaność. Nie skomentował bezwstydnym słów starca.

- Dolg, połóż farangil i niebieski szafir tam na stole! Ja będę pilnował, żeby nikt się do nich nie zbliżył.

Powoli Dolg wyjął swego przyjaciela, szafir, z walizki i trzymał go przez chwilę w górze. Kamień mienił się leciutko, jakby nie czuł się zbyt dobrze w tym pokoju.

Atlantydzi wydali z siebie stłumiony jęk.

- Muszę go mieć! - zapiszczał stary. - A teraz ten drugi! Muszę zobaczyć ten drugi! Czuł się tak, jakby był tutaj sam. Czterej biali, wybrani, żołnierze, kobiety, nikt nic nie znaczył. A już najmniej goście, rzecz jasna.

Dolg odłożył szafir i powiedział w języku Atlantydwów:

- Bardzo was proszę, byście odsunęli od siebie wszelkie agresywne lub negatywne myśli. Bo jeśli tego nie zrobicie, może się to dla was skończyć bardzo źle. Strażnikowi Góry, nie chciałbym jednak wyjmować tutaj farangila. W tym pokoju jest mnóstwo negatywnych reakcji.

- Wiem o tym - odpowiedział Strażnik Góry. - Wasza Niepokalana Wysokość, jak słyszeliście, Dolg odradza wyjmowanie drugiego kamienia.

- Negatywne wibracje? - krzyknął starzec. - No dobrze, odeślij stąd swoich towarzyszy!

- To nie o nich chodzi.

Stary zaczął się niecierpliwić.

- A więc niech wyjdą wszyscy! Wynocha!

- To nie wystarczy - rzekł Strażnik Góry wieloznacznie.

- Co? Dajesz do zrozumienia, że ja, Najczystszy na Świecie, miałbym...? Skończ już z tymi głupstwami i pokazuj drugi kamień!

Dolg wahał się długo. W końcu westchnął i uniósł w górę farangil.

Głęboko czerwone, pulsujące światło wypełniło pokój, wszystko przybrało teraz ciemnoczerwoną barwę. Farangil był tak piękny, że Indrze napłynęły łzy do oczu. Szafir nadal miał stłumioną barwę, tak że czerwień zdominowała wszystko.

Pięciu starców oszalało z żądzы posiadania, strażnicy również gapili się wytrzeszczonymi oczyma na te fantastyczne kosztowności.

- Ten jest mój! - zawołał Jego Niepokalaność.

Dolg ujął pośpiesznie farangil, by ponownie złożyć go w walizce, ale uczynił to za późno. Dziesięcioro pożądlivych rąk wyciągnęło się w stronę klejnotu.

- Uważajcie! - zawołał Ram.

Mieniący się farangil jakby zapłonął. Dolg próbował go ochraniać, ale czterej biali, którzy poruszali się szybciej niż starzec, już podbiegli do stołu. Najblijszy ze Wszystkich jako pierwszy wyciągnął ręce, by chwycić nieprawdopodobny kamień, i to na niego padły intensywne wiązki promieni.

W jednej sekundzie został przemieniony w małą kupkę popiołu na podłodze.

Wszyscy cofnęli się przerażeni. Niektórzy wartownicy uciekli. Ale starzec szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- On był zbyt pożądlivy - oznajmił chłodno. - Ja wezmę kamień!

- Nie - odparł Dolg. - Kamień nie chce mieć z wami do czynienia. Z nikim z was! Sol, pomóż mi schować oba klejnoty.

- Co? - pisał starzec. - Czy jakaś wiedźma ma być lepsza ode mnie?

- Bez wątpienia - odparł Dolg sucho.

- Nie bądź bezczelny! Ale ten niebieski jest mój, chcę go mieć - upierał się Jego Niepokalana Wysokość. - Możecie sobie zachować ten czerwony, nie wygląda on zabawnie, przestał mnie obchodzić. Ale szafir jest mój.

Dolg zatrzymał się.

- Nie sądzę, by farangil na to pozwolił. Teraz, kiedy już zobaczyliście kamienie, może moglibyśmy się skoncentrować na rozmowach?

- Daj mi szafir, to wszyscy będziecie mogli odejść i zabrać ze sobą wybranego młodzieńca, on mnie już nie interesuje. Proszę szafir!

- Czy Wasza Wysokość naprawdę życzy sobie pójść tą samą drogą, co Najbielszy ze Wszystkich? - zapytał Dolg.

- Nie, naturalnie, że nie, ale przecież mnie się nic nie stanie. Chociaż jak chcecie: my zatrzymamy Reno, nasz najdroższy skarb, dopóki nie wrócicie tutaj z samym szafirem. Bez towarzystwa tego okropnego farangila.

- Dość tego! - przerwał mu Strażnik Góry. - Nie chcę słyszeć więcej żadnych głupstw. Jeśli nie chcecie naszych wspaniałych urzędów, które wam przynieśliśmy jako zapłatę za to, że wychowaliście chłopca najlepiej jak to możliwe, chociaż tego nie zrobiliście, to zabieramy wszystko z powrotem. I, rzecz jasna, bierzemy chłopca. No?

Stary nareszcie zmienił poglądy. Oczywiście, mogą przyjąć te rzeczy, skoro przebyły już taką długą drogę. I zabierzcie sobie tego chłopca, po to przecież był tutaj wychowywany, a o szafirze możemy porozmawiać później.

Indra nie słuchała go już. Stała i przyglądała się chłopcu. Wybranemu. On zaś pochylał się nad kupką popiołu stanowiącą ziemskie resztki Najbielszego ze Wszystkich. Zadrżała, widząc zafascynowaną twarz chłopca, jego niepojęte okrucieństwo.

I to nim mam się zajmować, pomyślała. Wiecie co, chłopcy? To będzie dla mnie przyjemność!

Teraz wiedziała, dlaczego wybrano właśnie ją. Nikt nie potrafił tak jak ona osadzić człowieka na miejscu kilkoma łagodnymi, chociaż morderczymi słowami!

Ale wciąż nie chciało jej opuścić uczucie, że coś innego, coś nieznanego się z nią dzieje. Wokół niej i w niej samej.

Nie mogła tego zrozumieć.

8

Trzej Przyjaciele Porządku nie mieli już czasu dla gości.

- Ja będę teraz, rzecz jasna, Najbielszym ze Wszystkich - oznajmił Najbielszy zadowolony.

- A ja Najbielszym - wtrącił Bielszy pośpiesznie.

**60**

- A ja Bielszym - zareplikował Biały.

Nowo mianowany Najbielszy ze 'Wszystkich podszedł do resztek swego poprzednika.

- Szkoda, że wszystkie jego pontyfikalia poszły z dymem - mruknął. - Mógłbym teraz...

Z dawnego Najbielszego ze Wszystkich został tylko popiół. Jakiś służący zmiotł go dyskretnie.

- Bogu dzięki, że nie zrobili tego za pomocą odkurzacza, przynajmniej tyle szacunku mu okazali - powiedziała Indra cicho do Rama. - To by naprawdę była groteskowa scena.

- Czy wszyscy nie mogą milczeć, kiedy ja mówię? - syknął Jego Wysokość. - Powiedziałem, że żądam niebieskiego szafiru, i to w najbliższym czasie.

Ram rozzłościł się na poważnie.

- Oto umarł człowiek! A wy stoicie tutaj i kłócie się o nieważne sprawy. Czy nie macie szacunku nawet dla śmierci? Czy nie żałujecie swego przyjaciela?

Trzej ubrani na białło złożyli pobożnie ręce.

- Naturalnie - odparł nowy Najbielszy. - On jest niezastąpiony. Próbuje jednak ukryć głęboki żal za prostymi słowami...

- On był żądny władzy i dążył do przejścia mego stanowiska - uciął stary. - Dobrze więc, że stało się tak, jak się stało! Urządźcie mu uroczysty pogrzeb i będziemy go mieli z głowy! I zabierzcie tego nieznośnego chłopaka, chciałbym mieć spokój w swoim królestwie!

Goście bardziej niż chętnie pragnęli opuścić ten kraj. Kiedy jednak służący jeden po drugim zaczęli znosić skrzynie pełne różnych rzeczy, które wybrany miał ze sobą zabrać, Strażnik Góry zaprotestował. Po co chłopcu to wszystko?

Reno odpowiedział osobiście:

- Muszę naturalnie przyjść do Gór Czarnych odpowiednio wyposażony, jestem przecież najważniejszą osobą. Poza tym będzie mi towarzyszyć dwunastu służących i tyłuż żołnierzy. Nie mogę narażać swego życia!

- Cóż za głupstwa - rzeki Strażnik Góry. - Proszę wybrać z tego rzeczy, które będą wam, panie, potrzebne w Królestwie Światła, i nic więcej. Resztą zajmiemy się sami.

- Tak, ale ja, rzecz jasna, będę również tego potrzebował w Królestwie Światła, to oczywiste!

- Absolutnie nie. I nie ma mowy o żadnych służących ani żołnierzach. Proszę zabrać ze sobą najbliższego przyjaciela, by się Wasza Wysokość nie czuł samotny w pierwszym okresie. Ten przyjaciel wróci tutaj, kiedy już poczujecie się, panie, w Królestwie Światła jak w domu.

Reno parsknął niczym wściekły kot.

- Ja się nie przyjażnię z plebejuszami! Atlantyda z moją pozycją nie potrzebuje żadnych przyjaciół.

- Możliwe - mruknął Strażnik Góry.

Wspólnie wybrali rzeczy, które, jak sądzili, będą Reno potrzebne w czasie podróży. Zmieściły się one w niewielkim plecaku. W końcu mogli opuścić stolicę Nowej Atlantydy z kwaśnym jak ocet wybranym.

W tym czasie jednak Jego Niepokalaność już dawno wrócił do swojej wieży, a trzej ubrani na biało zapomnieli o gościach, wdali się w kolejną kłótnię na temat, kto powinien zostać nowym Białym. Wszyscy trzej mieli swoich faworytów, ludzi, którzy podlizywali się właśnie im.

- Ten kraj stał się parodią państwa - rzekł Ram ze złością, kiedy odwożono ich ku granicy rozpadającą się niemal lądową gondolą.

- Moim zdaniem nie powinieneś używać słowa „parodia” - stwierdziła Indra w zamyśleniu i pokazała mu paru przygnębionych ludzi, których mijali po drodze.

- Racja. Musimy problem Nowej Atlantydy przedstawić na posiedzeniu Rady. To nie może dłużej tak trwać.

Spojrzała na niego badawczo.

- Ram, jak to się dzieje, że ty, potężny mąż z ogromną odpowiedzialnością, tak

często zajmujesz się nami? To znaczy naszą grupą.

Ram starał się ukryć uśmiech.

- Dlatego że jesteście najbardziej kłopotliwą grupą w całym Królestwie Światła i trzeba, by ktoś zajmujący odpowiednie stanowisko miał was na oku. Nie, mówiąc poważnie, może ja się dobrze czuję w waszym towarzystwie?

- Naprawdę? - wykrzyknęła Indra uradowana. - A może znowu sobie ze mnie żartujesz?

Ram nie zdążył odpowiedzieć, bo Armas zwrócił im uwagę, że coś się dzieje przy bocznej drodze. Strażnik Góry polecił szoferowi się zatrzymać.

Kierowca gondoli posłuchał, ale niechętnie.

- Nie powinniście się mieszać w nasze sprawy - mruknął. - Jesteśmy już prawie przy granicy, więc...

Dwóch żołnierzy udzielało lekcji jakiejś matce i jej najwyraźniej niezdyscyplinowanemu synowi, potrząsali i poszturchiwali nieszczęśników.

Wszyscy goście wyskoczyli z pojazdu i pobiegli w tamtą stronę.

Podczas gdy Strażnik Góry i Ram ostro upominali żołnierzy, że wytaczają armaty przeciw wróblom, Indra podeszła do kobiety, która stała z boku ze łzami w oczach. Indra włączyła teraz drugi aparacik mowy, nie dbała o to, że zostanie zdemaskowana.

- Ja wiem, że on nie powinien był tego robić - rzekła kobieta, powstrzymując płacz. - Ale to przecież tylko mały chłopiec...

- A co zrobił?

Nieszczęśliwa matka we wzburzeniu nie zauważyła, że Indra mówi jakimś obcym językiem, a mimo to obie się rozumieją.

- On rysował na ścianie domu, tam, i oczywiście nie powinien był tego robić, ale nie zdążyłam go powstrzymać, i nagle pojawili się żołnierze.

Indra obejrzała ścianę. Widziała jakieś niewyraźne kreski, a na ziemi leżał kawałek czerwonej kredy.

- Boże drogi, co za idioci - rzuciła w stronę żołnierzy, którzy bronili się przed

oskarżeniami gości. -Chłopcy, toż to przecież tylko kreda! To natychmiast zejdzcie, wystarczy potrzeć gąbką.

Mały chłopczyk szlochał i pociągał nosem, Indra odprowadziła go do matki.

- Czujecie się dobrze w tym kraju? - zapytała cicho matkę. - Czy to dobre miejsce do życia?

Kobieta rzuciła przestraszone spojrzenie na żołnierzy, którzy teraz badali wykonany kredą rysunek, a potem zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nikt nie chciałby tak żyć. Ale żołnierze...

- Postaramy się, żeby to się zmieniło - obiecała Indra zdecydowanie na wyrost, po czym wszyscy wrócili do gondoli, upewniwszy się najpierw, że żołnierze nie będą już dręczyć tych dwojga.

Gdy Ram pomagał Indrze wsiąść do powozu, powiedział surowo:

- Byłaś nieostrożna! Chodzi mi o aparacik mowy.

- Ale przecież musiałam porozmawiać z matką - broniła się Indra. - dowiedziałam się tego, co chciałam wiedzieć. Posłuchajcie teraz!

- Tak, tak, wszystko w porządku, tylko żołnierze! Oni przecież też zrozumieli, co powiedziałaś. Jeśli dotrze to do ich ciasnych mózgów, to podniosą alarm.

- A czy to teraz ma jakieś znaczenie? Jesteśmy przecież w drodze z ich kraju, a żadne z nas nie pragnie chyba tutaj wrócić.

- Nie, nie pragnie. Jednak niektórzy muszą, jeśli chcemy zaradzić temu stanowczo. Masz rację, teraz w każdym razie znikamy. Chwała Bogu! Ale gdzie się podział chłopiec?

- Jaki chłopiec? Nie, na miłość boską...

Reno zniknął. Podczas zamieszania postarał się umknąć, obrażony, że nie pozwolono mu zabrać swego orszaku, co uznał za brak szacunku i czci.

- Niech to diabli! - syknął Strażnik Góry przez zęby. - Gdzie my jesteśmy?

Odpowiedział Ram:

- Tuż koło bramy. Brama znajduje się po tamtej stronie wzniesienia z budynkiem.

Nagle Indra zorientowała się, gdzie są, rozpoznała okolice. To na tym wzniesieniu



znajduje się budynek, w którym zostali „uwięzieni”.

Byli już gotowi do rozpoczęcia poszukiwań, gdy zjawiała się nieoczekiwana pomoc. Mieszkańców znajdującej się w pobliżu niewielkiej osady najwyraźniej nie zachwyciło to, że Reno będzie biegał po okolicy. Przyszli więc do zatroskanej grupy i opowiedzieli, że ktoś widział, jak chłopiec pokonał wzniesienie i zniknął za nim.

- To znaczy szedł ku granicy - skinął głową przygnębiony Ram. - Rok, pośpiesz do bramy i otwórz ją! My zaś pójdziemy za nim, niejako zapędzając go w pułapkę.

Mieszkańcy osady pomogli im. Gdy Rok zniknął, utworzono gęsty łańcuch, przez który Reno nie mógłby się przedrzeć. Wątpliwości miał tylko kierowca gondoli. Ale też to on będzie musiał wrócić do stolicy i zdać raport z podróży. Marco zajął się nim. Indra słyszała ich przyciszoną rozmowę, słyszała podniesiony, przekonujący głos Marca. W końcu Atlantyda z ulgą skinął głową. Szedł za nimi wolno, by zobaczyć, jak się rzecz zakończy.

Kiedy złożona z mężczyzn tyraliera weszła na wzniesienie, zobaczyli Reno.

Zerwał się spod jakichś zarośli i próbował uciekać w bok, ale wszędzie ktoś na niego czekał.

Gdzie podzieli się żołnierze, którzy byli tutaj ostatnim razem? myślała Indra przestraszona. I tamten metaliczny głos?

Wzniesienia wydawały się jednak wymarłe, trwały w tym bajecznym, ale martwym krajobrazie, biały dom nie odgrywał już żadnej roli. Zapytała o to stojącego w pobliżu mężczyznę, a on wyjaśnił jej z ufnością, nie zastanawiając się nad sprawą języka, że dom na wzgórzach zaludnia się tylko w czasie, kiedy dzieje się coś wyjątkowego. I że ci dwaj żołnierze, którzy chcieli ukarać kobietę i jej synka, są zajęci innymi sprawami, ich strażnica znajduje się w osadzie i żołnierze tam prawdopodobnie teraz przebywają.

Reno został bezlitośnie zmuszony, by posuwał się we właściwym kierunku.

Tymczasem Indra skorzystała z okazji, by wydobyć trochę wiadomości od towarzyszących jej Atlantydów, mężczyzny i młodej dziewczyny, którzy chętnie opowiadali o swoim kraju. Jak wynikało z ich słów, mieszkający w Nowej

Atlantydzie lud niegdyś się buntował, ale już dawno temu przestał stawiać opór. Indra dopytywała się, co się stało z buntownikami. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie wiadomo, oni po prostu zniknęli.

Potem wszyscy troje skoncentrowali się znowu na Reno. Widzieli, jak biega to tu, to tam, przeklinając w swojej bezradności obrzydliwych plebejuszy, którzy go prześladują. W pewnym momencie spostrzegł bramę.

Aha, ratunek, Indra wyobrażała sobie, że tak właśnie pomyślał. Nie zastanawiając się, popędził jak strzała w kierunku bramy i zniknął za nią. Ram i pozostali podziękowali mieszkańcom osady za pomoc, obiecali, że jeszcze tu wrócą, po czym pobiegli w ślad za Reno, a Rok zamknął za nimi bramę.

Znaleźli się teraz w krótkim, wąskim przejściu. Indra, która nie lubiła się niepotrzebnie śpieszyć, przeklinała pod nosem swoje niepraktyczne sandały. Reno mignął jej daleko na przedzie. Mimo że biegł od dawna, wciąż posuwał się szybko i lekko naprzód tak, że nie zdołali go złapać, zanim minął następną bramę. - To moja wina - rzekł Rok zgnębiony. - Nie pomyślałem, że nie należy otwierać obu bram jednocześnie. Powinienem być je jednocześnie zamknąć. To byśmy go już mieli.

- Wkrótce złapiemy go i tak - pocieszał Strażnik Góry.

Ale kiedy znaleźli się w Przełęczu Wiatrów, Reno znowu zniknął.

Indra próbowała wyobrazić sobie, co chłopiec myśli. Tego z pewnością nie oczekiwał. Ciemności musiały być dla niego szokiem. Teraz znajdowali się na stosunkowo równej ziemi w pobliżu Nowej Atlantydy, gdzie dochodziło światło z kraju i panował jedynie półmrok, ale jak Reno to odbiera? Co mógł zrobić, kiedy tutaj dotarł? W jaki sposób odnalazł drogę?

- Nie mogę biegać w tym idiotycznym kostiumie! -zawołała do pozostałych. - Nasze zwykłe ubrania leżą przecież tutaj, przebieram się.

Nikt jej nie odpowiedział. Strażnik Góry był zajęty organizowaniem kolejnego etapu polowania na Reno, dawał wszystkim rozkazy. Indra nie śpieszyła się z przebieraniem. Kiedy była gotowa i wsunęła bluzkę w spodnie, jej towarzysze

rozbiegli się już we wszystkich kierunkach. Nie bała się, że nie znajdzie drogi, znała ją przecież, już pokonała ją po omacku w tamtą stronę, pamiętała wszystkie skały i przejścia.

Postanowiła, że pójdzie za Armasem. Widziała go, jak znika w mroku wprost przed nią. Najbardziej prawdopodobne było to, że Reno poszedł właśnie tą drogą. Poza tym z przyjemnością pomyślała, że znajdzie się sam na sam z Armasem. Całkiem zapomniała, jakie ciemności panują w Przełęczy Wiatrów. Światło z Nowej Atlantydy, które czyniło ich podróż znośną, przy akompaniamencie szumu wiatru i huku wody coraz bardziej ustępowało gęstym ciemnościom. Indra nie miała też kieszonkowej latarki ani...

Niech to diabli! zakłęła pod nosem. Telefon komórkowy zostawiła w torebce, którą nosiła do swojej pięknej sukni.

Zawołała Armasa i nieoczekiwanie zza osypiska kamieni wyskoczyła jakaś nieduża istota. Reno! Nie szkodzi, mogła go przecież złapać sama. Rzutem w bok godnym najlepszego bramkarza zdołała pochwycić chłopca za nogi i powalić go na ziemię. Nie myślała o tym, że ona sama pocierała sobie łokcie i kolana podczas tego futbolowego wyczynu.

- No to mam cię, ty łobuzie - syknęła przez zęby.

- Głupia stara baba! Nie masz prawa dotykać mnie swoimi brudnymi łapami - zawył wybrany. Nagle umilkł. Rozumieją się nawzajem! Chociaż każde mówi własnym językiem.

- No pewnie - rzekła Indra, siadając na leżącym na ziemi chłopcu. - To jeden z wielu pożytków mieszkania w Królestwie Światła. A jest ich dużo, dużo więcej.

- Wcale nie! Ukradliście mi wszystko, nie chcę iść z wami, jeśli mam tam być zwyczajnym człowiekiem.

- Bo jesteś zwyczajnym człowiekiem. Chociaż, oczywiście, wyjątkowo niesympatycznym. Nic dziwnego, że cię nikt nie lubi, nawet twoi niewolnicy z Nowej Atlantydy.

- Nie lubi? A co to znowu za głupstwa? Oni mają mnie wielbić. I ty także, ty

obrzydliwa stara babo!

- Szczeniak.

Nie, konwersacja na tym poziomie nie jest jej godna! Ale smarkacz aż się o to prosi.

Chłopak szarpał się i kopał, chciał się uwolnić. Indra odrzuciła dotychczasową praktykę, spróbowała czego innego.

- Bardzo dobrze się składa, że pójdziesz do Gór Czarnych. Bestie gnieźdzące się w Ciemności pożrą cię na pewno, ty mały, tłusty padalcu, twoje kości będą miażdżone z trzaskiem.

Szczerze mówiąc, chłopak nie był gruby, ale była w stanie powiedzieć mu wszystko.

Tym razem znowu ją zaskoczył. Przestał walczyć i tonem zdradzającym niezdrowe zainteresowanie zapytał:

- One zjadają ludzi?

Indra, choć w ciemnościach nie mogła tego widzieć, mogłaby przysiąc, że oczy płoną mu z podniecenia.

- Jeszcze się pytasz? Takich jak ty pożerają na śniadanie.

- Odczep się ode mnie! Co one jedzą?

- Zjadają takich, którzy są niezadowoleni z Królestwa Światła. Drani rozmaitego rodzaju. Ważniaków, którzy uważają, że są wybranymi. Ludzi żądnych władzy. Wykorzystujemy te bestie jako swego rodzaju czyścicieli śmietników.

To nie była prawda, ale Indra zdołała w ten sposób wzbudzić zainteresowanie chłopca dla swoich makabrycznych opowieści, ciągnęła więc dalej. W równych odstępach czasu wołała swoich towarzyszy, ale nikt jej nie odpowiadał.

- W Górach Czarnych, i po drodze do nich, istnieje mnóstwo strasznych istot. Na przykład Svilowie. Szczury wielkie jak ludzie, które skaczą wokół i napadają na swoje ofiary od tyłu- Marco pewnego razu wytłukł ich wiele.

- Co z nimi zrobił? Wbił w nie miecz, tak że krew tryskała?

Wstrętne małe diabelstwo, pomyślała Indra. Nie powiedziała jednak tego głośno,

zaczęła natomiast snuć historię o ogromnych larwach, które kiedyś chciały pożreć Joriego oraz Tsi-Tsundze. Reno był niebywale przejęty.

Cóż za groteskowa sytuacja, uznała Indra. Siedzę tu przyciskając dziesięciolatka do ziemi, nie, on chyba nie ma jeszcze dziesięciu lat, i opowiadam mu makabryczne historie w świecie pogrążonym w ciemnościach, wypełnionym hukami wiatru i wody, a on po prostu domaga się jeszcze.

- Armas! - zawołała desperacko. - Marco! Ram! Gdzie wy jesteście?

W końcu z bardzo daleko dotarła do niej odpowiedź. Bogu dzięki! Jeszcze jedna taka wstrętne historia, a dostałaby morskiej choroby. Nakazała Reno, by zachowywał się przyzwoicie, to opowie mu o królu, który ścinał głowy wszystkim swoim żonom, a na dodatek o wampirach, ale to później, kiedy grzecznie i spokojnie wejdzie do Królestwa Światła.

Chłopak obiecał, wstali więc i mogli ruszać dalej. Ponieważ jednak Reno nie znał drogi, a poza tym bał się ciemności, poprosił, by Indra szła pierwsza.

Choć to bardzo głupie, dziewczyna wyraziła zgodę. Oczywiście ostrzegła go, by nie próbował uciekać, bo wtedy ona rzuci go bestiom i nikt go już nie uratuje.

Obiecowała mu to bez cienia wyrzutów sumienia. Takie wyrzuty miałyby z pewnością Miranda. Ona nie straszyla nikogo potworami, ponieważ żywiła ciepłe uczucia dla wszystkich stworzeń, także dla najgorszych. Indra tego rodzaju skrupułów nie miała.

Nie zaszła jednak daleko po wijącej się skalnej półce, gdy mały łobuz popchnął ją i zaczął uciekać.

Indra upadła, osunęła się o jakieś półtora metra w dół. To wystarczyło, by chłopak zdążył zbiec, i Indra mogła tylko przeklinać swoją bezmyślność. Czy naprawdę uwierzyła, że zdołała zdobyć zaufanie chłopca po tych kilku zdaniach, jakie ze sobą wymienili? Te zdania były poza tym idiotyczne, zupełnie pozbawione stylu.

Wyczołgała się na górę i ruszyła dalej wąską ścieżką wzdłuż skalnego nawisu.

Uznała bowiem, że chłopak tędy poszedł, wydawało jej się, że słyszała jego kroki.

Pomyliła się jednak. Byłoby zresztą bardziej naturalne, gdyby chłopak próbował

wrócić pod bramę wiodącą do Nowej Atlantydy.

Czy powinna zawrócić?

Nie, teraz słyszała głosy przyjaciół daleko przed sobą, będzie musiała im wytłumaczyć, że miała chłopca w rękach i ponownie go utraciła.

Skalna półka wkrótce się skończyła i Indra znalazła się w jakimś szerokim pasażu. Było tu tak ciemno, że posuwała się do przodu, macając rękami górską ścianę po jednej stronie. Bogu dzięki przynajmniej za to, że zdążyła się przebrać! Wysokie obcasy tutaj...

Znowu zaczęła wołać, ale teraz znajdowała się w obrębie szalejącego wicheru, który porywał i unosił jej głos. Żadnej odpowiedzi nie słyszała.

No trudno, ma przecież ścieżkę, którą dobrze zna, może posuwać się naprzód.

Prędzej czy później powinna...

Ścieżka? Co się z nią, u diabła, stało?

Och, przeklęta ciemność.

Indra nienawidziła całej tej ekspedycji. Nieustannie popełniali jakieś błędy, a to, co stało się teraz to już szczyt niepowodzenia. Wygodne krzesło, albo najlepiej rozkoszne łóżko, które czeka na nią w domu... Och, móc się na nie rzucić z dobrą książką lub krzyżówką, z mnóstwem czekoladowych ciastek pod ręką. Cóż za rozkoszna myśl!

Zamiast tego musiała krążyć po omacku w mrocznym, nieznanym kraju, gdzie żadna żywa dusza nie odpowiadała na jej wołania, a na dodatek zgubiła drogę i wszystko wyglądało inaczej, niż kiedy przechodzili Przełęcz Wiatrów w drodze do tej idiotycznej Nowej Atlantydy.

Potknęła się i rzuciła wiązkę przekleństw godnych ordynarnego kowala, który dotknął palcem rozżarzonego żelaza.

Jestem łagodnym, dobrym i skłonny do współpracy stworzeniem, myślała Indra, ale to wystawia na próbę moją równowagę psychiczną.

- Marco, do diabła, odpowiedz mi! - wrzasnęła pod wiatr. Bez rezultatu.

Nagle poczuła, że stąpa po równiejszym gruncie.

Przystanąła, pochyliła się i rękami badała podłoże.

Ścieżka! Bez wątplenia to ścieżka, dzięki Bogu czy komu tam mam dziękować, bo przecież to nie Boga prosiłam o pomoc.

Dziękuję mimo wszystko, zawsze ktoś przyjmie moją wdzięczność.

Jaka fantastyczna ulga! Długo kluczyła po okropnie nierównym terenie, wspinała się w górę i zjeżdżała w dół, objęła się o skały, ale teraz jest uratowana.

Gdyby tylko wiedziała, w którym kierunku...?

Człowiek kompletnie traci orientację w takim miejscu, w którym nie widzi nic poza ciemniejszymi cieniami na tle mroku. Indra krążyła niczym zabłąkany bumerang.

Trudno, trzeba iść w kierunku, który uważa się za właściwy.

Wkrótce potem, gdy wyszła na otwarty teren, uświadomiła sobie, czując nieprzyjemny dreszcz: szła po prostu inną ścieżką.

Niech to diabli! Stała bez ruchu.

Ram nie powiedział przecież, że w Przełęczy Wiatrów jest więcej ścieżek. Wprost przeciwnie, mówił, że Przełęcz przecina jedna droga, a innych nie ma.

Jakim sposobem można trafić na ścieżkę, która nie istnieje?

Mogłaby przysiąc, że przedtem tędy nie szła. Krajobraz, którego nie widziała zbyt dokładnie, wydał jej się zbyt otwarty, znajdowała się na jakimś płaskim wzniesieniu, na łące, jeśli tak można to nazwać. Bowiem żadnej roślinności w tym ponurym, przewianym pasażu nie było. Podłoże jednak okazało się miękkie, pochyliła się, żeby zbadać je dokładniej. Ziemia. Ale żadnej trawy.

Czegoś takiego w drodze do Nowej Atlantydy zdecydowanie nie mijali.

Indra zabłądziła. I ten przeklęty wiatr, który wyje nad uszami, tak że nie słysząc nic poza tym! Nawet huku fal, a więc nie ma w pobliżu tego wielkiego, szarpanego sztormem morza, którego brzegiem szli.

- Marco! - zawołała tak głośno jak to możliwe. - Ram! Strażniku Góry, Dolg, Rok, Vida! Sol! Armas!

Miała ośmioro towarzyszy, ale żadne z nich nie odpowiadało. Reno by jej i tak w żadnych okolicznościach nie odpowiedział. Chociaż...?

- Reno! Widziałam tutaj żadne krwi stworzenia. Nie zaatakowały mnie. One szukają ciebie.

Niepotrzebne kłamstwo! Chłopak był już pewnie tak daleko, że niczego nie słyszał.

Ruszyła przed siebie po otwartej płaszczyźnie, przygotowując się jednocześnie do przywołania Marca lub Dolga telepatycznie. Wiedziała jednak, że tego nie potrafi. Po prostu nie ma takich zdolności. Trzeba będzie iść po tym, co najwyraźniej stanowiło ścieżkę.

Oczy Indry przyzwyczyły się już do ciemności na tyle, że mogła stwierdzić, czy w pobliżu znajduje się jakaś górską ściana czy nie. Poza tym nie widziała kompletnie nic. Stawiała więc stopy ostrożnie, powoli, wymacując przedtem podłoże.

Ścieżka wciąż tu jeszcze była. Wiodła teraz pomiędzy ciasno obok siebie stojącymi niewielkimi skałami. Wyglądało na to, że prowadzi ku kolejnej górze.

Mogła oczywiście w każdej chwili skręcić w jedną lub w drugą stronę, a wtedy Indra z pewnością dotarłaby do właściwego szlaku.

Tylko że przedtem nie widzieli żadnych krzyżujących się ścieżek. Zresztą widzieć a widzieć! Ram zapalał swoją latarkę tylko w razie niezbędnej konieczności. Och, jakże pragnęła teraz mieć latarkę!

Pang! Indra wyszła wprost na górską ścianę. Uderzyła tak, że rozległo się coś jakby echo.

Co to za dźwięk? Indra uniosła rękę i postukała mocno w skałę. Co to może być? Żadna skała nie wydaje przecież takich dźwięków!

Indra przesunęła dłonią po czymś, co mogło być stalowymi lub żelaznymi drzwiami. Szukała jakiegoś skobla lub zamka, jak one mogły być zamknięte? Na klucz? A może za pomocą elektrycznych kodów takich, jakimi posługują się Strażnicy? Po prostu wpadła po uszy.

Nie, drzwi były zamknięte jedynie na prosty żelazny skobel. Nawet kłódki ani śladu.

Indra rozejrzała się wokół, jakby szukała rady i pomocy swoich towarzyszy, ale



nadal nikt nie odpowiadał na jej regularnie powtarzane nawoływania.

- Gównu! - powiedziała w soczystym norweskim języku i uniosła skobel.

Żelazo zazgrzytało, najwyraźniej nie używane zbyt często. Drzwi, choć ciężkie, rozsunęły się i ukazały czarne ciemności wewnątrz. Było tam ciemniej niż na dworze.

Dlaczego Ram nic o tym nie powiedział? myślała Indra lekko zirytowana. Musi przecież wiedzieć o wszystkich tajemniczych kryjówkach w Przełęczu Wiatrów. A może to jest arsenał broni? I Ram, zagorzały pacyfista, się tego wstydzi. Czy Obcy i Strażnicy boją się wojny z uzbrojoną Nową Atlantydą i przygotowali wszystko na wszelki wypadek? Albo może Ram nie miał pojęcia o tej kryjówce, skoro twierdzi, że nie jest taki bardzo stary.

W tej ostatniej sprawie Indra nie miała zdania.

W każdym razie ktoś w Królestwie Światła musiał wiedzieć o tutejszych magazynach, bardzo źle, że nam tego nie powiedziano, pomyślała.

Indra zobaczyła kamienną podłogę i weszła do środka.

Zdażyła zrobić zaledwie trzy kroki. Wtedy straciła grunt pod nogami i spadła na łeb, na szyję w dół.

Leciała dość długo, ale nie tak długo, by się zabić. Co prawda odczuwała uderzenia, jej ciało było już przecież obolałe po pościgu za Reno i po upadku, kiedy ta mała bestia zepchnęła ją w dół.

Niech to lichu, pomyślała. Cóż to za pułapki Ram zakłada dla swoich •wiernych przyjaciół?

Nagle zeszywniała na swoim miejscu, przestała rozcierać stłuczony łokieć.

Ze znieruchomiałą ze zdziwienia i strachu twarzą nasłuchiwała odgłosów z głębi mroku.

Nie była w tej przepastnej dziurze sama.

Indra nie miała nawet odwagi oddychać. Skądś dochodziły do niej jakieś dźwięki, nie była jednak w stanie ich zlokalizować ani zidentyfikować.

Brzmiało to jak ciche trzaski, słaby stukot i westchnienia oraz inne, trudne do

rozpoznania glosy. Leżała cichutko jak mysz, starając się coś dostrzec, lecz ciemności okazały się zbyt gęste.

Była tak przerażona, że nie potrafiła się nawet zastanowić nad swoją beznadziejną sytuacją, sama w głębokiej dziurze, w kompletnych ciemnościach i z niewidzialnymi istotami tuż obok.

W następnym momencie wrzasnęła krótko i histerycznie. Jakaś ręka chwyciła ją za kostkę.

Na pół żywa ze strachu, próbowała się wyrwać. Ale ręka ściągała ją nieubłaganie ze skały, wkrótce też Indra znowu poleciała w dół.

Nie miała się czego przytrzymać. Spadła na kolejny skalny występ, gdzie z pewnością nie była już sama.

W końcu otrząsnęła się z odrętwienia. Próbowwała kopnąć trzymającą ją rękę i robiła taki hałas, że ktoś, kto ją trzymał, cofnął się. Ale niezbyt daleko.

9

Reno wpadł prosto w objęcia Roka, który poprowadził szamoczącego się chłopca do pozostałych, zebranych na głównej ścieżce.

Tym razem postanowili nie ryzykować, zwiążali małego liną.

- Traktujecie mnie jak niewolnika! - wył malec.

- To będzie dla ciebie zdrowe, zrozumiesz, jak się czują twoi niewolnicy - rzekł

Ram. - Gdzie jest Indra?

- Baba? A skąd ja mam to wiedzieć? - odparł Reno z chichotem, który wzbudził w Ramie podejrzenia. Reno zapewniał jednak, że nic jej nie zrobił, a w ogóle to co on jest winien, że nie mogła za nim nadażyć?

- A więc jednak ją widziałeś?

Reno wzruszył ramionami.

- Czy możemy nareszcie wyjść z tego mroku? Zimno mi! Ale u was w tym niedorozwiniętym kraju pewnie zawsze tak jest?

Przestali się nim zajmować, zaczęli szukać Indry. Również oni znajdowali się w centrum huczącej wichury, i wszelkie krzyki zagłuszał wiatr.

Nigdzie ani śladu zaginionej.

- Ona została na placu przed bramą - przypomniał sobie Armas. - Zęby się przebrać. A potem słyszałem, że szła za mną.

- Nie mogłeś się zatrzymać i poczekać na nią? - zapytał Ram z naganą w głosie. Zaczynał się poważnie martwić o dziewczynę. Coś takiego nie powinno się było wydarzyć na tak niewielkim terytorium.

Armas nie potrafił odpowiedzieć. Czy miał im wyznać, że nie chciał, by ta tajemnicza Indra z nim szła? Nigdy przecież nie potrafił zrozumieć jej ironicznego wyrazu twarzy ani śmiechu czającego się w jej głosie.

- Musimy wykorzystać inne sposoby - stwierdził Marco. - Zastanówmy się, na co nas stać? Indra nie jest wrażliwa na telepatię. Jakie instrumenty wzięłeś ze sobą, Ram?

Najwyższy Strażnik Królestwa Światła westchnął. Nie byli zbyt dobrze wyposażeni, planowali przecież spokojną podróż w gronie przyjaciół. I wszyscy mieli bogate doświadczenie.

W ciemnej grocie, do której wpadła Indra, rozlegały się jakieś kroki. Jak daleko mogła się znajdować od wyższego poziomu i od drzwi? Sześć, może osiem metrów? A tu jeszcze ten występ, z którego spadła. Nie była w stanie określić odległości, straciła też rachubę czasu, a przed nią czaiło się niebezpieczeństwo. Cofała się, aż plecami dotknęła skały. Ram zapewniał, że w Przełęczy Wiatrów nie ma nikogo żywego. W takim razie co to zbliża się do niej tak ostrożnie, jakby z lękiem?

Z góry nie padało najśłabsze nawet światło, drzwi zatrzęsły się i wszystko utonęło w smolistych ciemnościach.

Czym mogłaby się bronić? Czy te istoty ją widzą? Tak, bo musiało ich być wiele, tyle zdołała sobie uświadomić, słysząc skradające się kroki. Teraz przystanęły, ze dwa metry przed Indrą. Czy udałoby się gdzieś ukryć?

W tym momencie jakiś męski głos przerwał ciszę, a Indra drgnęła gwałtownie.

- Kim jesteś? - padło pytanie w języku Atlantydów.
- Dlaczego oni cię tutaj przysłali? Indra odetchnęła głęboko.
- Jestem Indra z Ludzi Lodu, pochodzę z Królestwa Światła, miałam pecha i spadłam na dół. A wy jesteście przyjaciółmi czy wrogami? Wokół słychać było pełne zaskoczenia szepty.
- Z Królestwa Światła? Ona mówi jakimś obcym językiem, a mimo to ją rozumiemy!
- Indra nie traciła czasu na wyjaśnienia.
- No więc spadłam na dół - powtórzyła stanowczo.
- Myślę, że właściwe pytanie powinno brzmieć: Kim wy jesteście i co robicie tutaj w tym ciemnym lochu? Dlaczego nie zapalicie światła? Dlaczego nie wyjdziecie na powierzchnię?
- Jeżeli naprawdę pochodzisz z Królestwa Światła, to się ciebie nie boimy, chociaż bardzo nas dziwi wasza obojętność wobec naszego losu. Jesteśmy strażnikami, ta czwórka, która przy tobie stoi.
- Tutaj też są strażnicy? - zapytała Indra. - Ale nie odpowiedzieliście na moje pytania.
- Dlaczego nie palimy światła? Musimy oszczędzać to, czym dysponujemy. A drzwi są zawsze zamknięte na klucz.
- Teraz nie. Ale kim jesteście? Pozwólcie, że spróbuję zgadnąć. Jesteście Atlantydami, którzy nie spodobali się Ich Wymytnym Wysokościom, Przyjaciołom Porządku, prawda? Wobec tego wrzucili was w najgłębszą ciemność, i to dosłownie.
- Częściowo masz rację. Ale co robiłaś w Przełęczu Wiatrów.
- Zabraliśmy tego małego łobuza, wybranego. Tamci półgłosem dyskutowali nad jej odpowiedzią. W końcu ktoś odezwał się władczy tonem:
- Chodź z nami! Traktuj to wszystko ze spokojem, jesteśmy przyjaciółmi!
- Ale co będzie, jeśli brama znowu zostanie zamknięta na klucz? Jeśli zamknie się sama z siebie, chciałam powiedzieć.

- I tak nie wydostaniemy się na górę. Chodź już!

Bez dalszych wahań Indra podążyła za Atlantydami. Poczula dotyk czyjejś ręki i pozwoliła się prowadzić w ciemność.

Towarzyszyli jej wszyscy z wyjątkiem jednego. Szli przez coś, co sprawiało wrażenie ciasnego korytarza. In-dreń niepokoiło to, że oddalają się •wciąż dalej i dalej od jej przyjaciół, ale z drugiej strony, była też bardzo ciekawa.

W końcu weszli do ogromnej groty, w której pośrodku płonęło ognisko, tak że Indra wreszcie mogła cokolwiek zobaczyć. Jej nowi towarzysze, chociaż nie tak do czysta wyszorowani i nie tak wspaniale ubrani jak ich ziomkowie z Nowej Atlantydy, byli bez wątpienia Atlantydami. Na ich twarzach i w całych ich postaciach wyraźnie odbiły się głód i cierpienia oraz prymitywne warunki bytowania. Indra poczuła ból w sercu, widząc, jak zostali odarci z wszelkiej ludzkiej godności. Przesunęła wzrokiem po olbrzymim sklepieniu. Zobaczyła, że dym z paleniska wypływa na zewnątrz przez wąską szczelinę w dachu, tamtędy też sączyło się blade światło z Przełęczu Wiatrów. Raczej się go domyślała, niż je dostrzegala. Bo przecież na zewnątrz też go właściwie nie było, więc ani trochę nie rozjaśniało groty. Od sufitu schodziła w dół szeroka rura przymocowana do skalnej ściany. Indra nie widziała, gdzie się kończy, przesłaniało ją zbyt wiele osób. Atlantydów było tu niewiarygodnie dużo. Czyżby wszyscy dopuścili się przestępstwa wobec tamtego znakomicie zorganizowanego społeczeństwa? I na czym te ich przestępstwa polegały? Może poplamili sobie koszule? Albo ktoś zapomniał usunąć pyłek kurzu z podłogi?

Nie zdążyła zapytać, bo poprowadzono ją do niewielkiej grupy, która siedziała pod ścianą na wyniesionej w górę podłodze groty. Przewodnik, który poprowadził ją tam za rękę, pochylił głowę i powiedział:

- To jest Indra z Królestwa Światła, Wasze Wysokości W wyniku nieszczęśliwego wypadku spadła do naszej groty.

Indra przyglądała się małej gromadce mężczyzn i kobiet. Dobry Boże, jakież oni mają szlachetne twarze! Stare, bardzo stare, smutne, ale tyle w nich godności, że

Indra z czystego zdumienia ugięła przed nimi kolana. Indra, ta cyniczna dziewczyna...

Nie ulegało wątpliwości, że to oni stanowią elitę wśród mieszkańców grot.

Wyglądało na to, że wszyscy pozostali ich podziwiają, co zresztą nietrudno było zrozumieć.

- Podejdź bliżej, przedstawicielko ludzkiego rodu - poprosiła jedna z kobiet łagodnym głosem. - Mówisz, że przychodzisz z Królestwa Światła. Dlaczego nigdy nie otrzymaliśmy od was pomocy?

- Nikt z nas nie wiedział o waszych cierpieniach, Wasze Wysokości - odrzekła Indra bliska szoku. - Gdyby ktokolwiek choćby się tego domyślał, otrzymalibyście pomoc dawno temu.

Kobieta kiwała głową ze smutnym uśmiechem.

- Ale teraz ty tutaj jesteś, dziewczyna, mówiąca językiem, którego nigdy nie słyszeliśmy, a który mimo to rozumiemy. I znalazłaś się w więzieniu, w tej samej pułapce co my.

- To nie jest takie pewne, Wasza Wysokość. Ja nie przyszłam tu sama. Moi przyjaciele będą mnie szukać.

- Ale cię nie znajdą.

- Oni mają wielkie możliwości. A poza tym zostawiłam drzwi otwarte.

- Ach, na co się to zda? I tak nie wydestaniemy się na górę. A drzwi są ukryte. Indra zawahała się.

- Czy mogę zadać jedno pytanie? Starzy skinęli głowami.

Indra wahała się w dalszym ciągu, lękała się utraty ich zaufania.

- Czy wy... jesteście tymi pierwszymi Atlantydami? Tymi, którzy przyszedli tutaj do centralnego punktu Ziemi z zewnątrz? Wasza szlachetność jest owiana legendą, dlatego myślę, że to wy.

- To my - odparła kobieta. - Sama więc widzisz, że czekaliśmy bardzo długo. Ale teraz nasz czas dobiega końca. Nie jesteśmy nieśmiertelni.

Czekać setki lat w poniżających warunkach w tej grocie? Już sama myśl o tym

wydała się Indrze tak straszna, że serce jej się krajało nad losem nieszczęśników. W grocie panowała wielka, wymowna cisza. Potem odezwał się jakiś mężczyzna i Indra uświadomiła sobie, że ma do czynienia z najwyższym przywódcą.

- Inni przybyli tutaj później. Zostali zrzućeni do lochów z powodu błahych naruszeń prawa.

- Wiem - Indra skinęła głową. - Właśnie wracamy z Nowej Atlantydy i jesteście wstrząśnięci tym, co się tam dzieje! Podejmiemy bardzo stanowcze kroki. Ale nie rozumiem, jak zdołaliście tu przeżyć?

Mężczyzna wskazał ręką rurę przytwierdzoną do ściany i rzekł z goryczą:

- Nasi krewni okazali nam wyjątkową życzliwość i karmili nas raz w tygodniu czymś w rodzaju zupy. Poza tym jest naturalnie winą Słońca, że nadal żyjemy.

- Winą?

- Tak jest. Czy ty nie sformułowałaś tego właśnie w ten sposób? Po setkach lat spędzonych w tej prymitywnej dziurze?

- Owszem - przyznała Indra wstrząśnięta. - Ja też tak bym powiedziała.

Zaczęła wreszcie rozumieć negatywne aspekty działania Świętego Słońca. I oto teraz te fantastyczne istoty miałyby się poddać? Ich czas zbliża się do końca?

To nie może się stać, nie wolno do tego dopuścić! Muszą jeszcze pożyć przez jakiś czas! W świetle i słońcu, w ciepłe i pięknych krajobrazach, otoczeni miłością. W Królestwie Światła!

Indra zrozumiała, że ma do spełnienia misję. Musi uratować tych prastarych Atlantydów i wszystkich pozostałych więźniów. Czują teraz na sobie ich skupione spojrzenia.

Władczy przywódca mówił dalej:

- Twoi przyjaciele z Królestwa Światła mają wiele możliwości, tak powiedziałaś? Ale przecież niełatwo jest odnaleźć drzwi. Ty musiałaś na nie trafić absolutnie przypadkowo.

- Wiedzie do nich ścieżka.

Jeden z mężczyzn w dolnej części groty przyświadczył:

- Tak. Wiedzie tu ścieżka z Nowej Atlantydy. To my, więźniowie, ją wydeptaliśmy, kiedy nas tu prowadzono.

- Z pewnością kompletnie zablądziłam, zanim w końcu na nią trafiłam - przyznała Indra w zamyśleniu. - Drogę tutaj niełatwo jest znaleźć, o, nie.

Musiała teraz wyjaśnić, że ona i jej przyjaciele zamierzali sprowadzić do Królestwa Światła wybranego chłopca. Opowiedziała, jak bardzo byli wstrząśnięci losem Atlantydów, i o tym, że chłopiec im uciekł, a Indra musiała go gonić.

- Wspomniałam o możliwościach moich przyjaciół. Chodzi tu o umiejętności większe niż te, które posiadają zwyczajni ludzie. Niestety, mnie to nie dotyczy, więc to się pewnie nie uda.

- Wytłumacz nam dokładniej!

Indra starała się im wyjaśnić, na czym polega telepatia, ale oni słuchali z uśmiechem niedowierzania. W końcu stwierdzili, że takimi sprawami zajmują się półszaleńcy. Siła Atlantydy była oparta na kulturze i duchowej doskonałości.

Indra wiedziała o tym.

- Jak to się jednak stało, że wasza wysoka kultura została tak wypaczona przez kolejne generacje?

Więźniowie potrząsali tylko głowami, oni też tego nie pojmowali. Również dla nich była to największa zagadka.

Jakiś mężczyzna z dolnej części groty powiedział:

- Ja jestem tutaj nowy. I wierz mi, czujemy się w gruncie rzeczy lepiej w tym ponurym więzieniu niż w Nowej Atlantydzie z panującymi tam restrykcjami.

Indra mogła go w pewnym stopniu zrozumieć.

- Teraz znajdujecie się wśród przyjaciół, pojmuję to, ale czy naprawdę nie możecie dostać się do drzwi?

- Czy myślisz, że nie próbowaliśmy? Są za wysoko, a poza tym zawsze były zamknięte na klucz - odparła stara, piękna kobieta.

Inna kobieta na podium westchnęła.

- Tak więc możemy liczyć tylko na twoich przyjaciół. Boję się jednak, że oni



zrezygnują z poszukiwań. Indra skinęła głową.

- Tak, mogą pomyśleć, że wpadłam do morza, i zakończą poszukiwania.

Trzymała się jednak resztek nadziei niczym źdźbła trawy.

- Zaczekajcie, chciałabym podjąć desperacką próbę. Jak mówiłam, nie mam zdolności pozwalających na wymianę myśli. Ale przecież nie można rezygnować całkiem z czegoś, czego się nie spróbowało.

Otrzymała pozwolenie Atlantydów i podjęła próbę nawiązania kontaktu z grupą z Królestwa Światła, jednak w oczach nieszczęsnych więźniów nie dostrzegала cienia nadziei.

Nie przestawała jej dręczyć myśl, że sobie z tym nie poradzi, ale usiadła na kamiennej ławce i zamknęła oczy, próbując się skoncentrować.

Do diabła, Mirando, jak ty to robisz?

Najbardziej rozpraszało ją wciąż dające o sobie znać poczucie czegoś nieznanego. Przekonanie, że coś się dzieje z nią samą.

Nie mogła się pozbyć tego wrażenia, przerażało ją to swoją tajemniczością.

10

Ram i jego przyjaciele zaczęli się poważnie niepokoić. Przeszukali dokładnie okolice ścieżki, ale nie znaleźli nawet śladu Indry.

- Musimy iść dalej - rzekł Ram. - A to nie będzie łatwe. Nie chciałbym, żebyśmy się rozproszyli. Przełęcz Wiatrów jest trudna do przebycia, pełno w niej skał i nawisów.

Marco poprosił, by poczekali. Chciał spróbować odnaleźć Indrę poprzez swoją mentalną siłę.

- Ona jest kiepskim medium - powiedział. - Ale decyduje siła wysyłającego informacje. Może zechcecie mi pomóc, wszyscy, którzy to potrafią. Dolg? Strażnik Góry? Armas, potrafisz?

- Spróbuję. Właśnie prowadzę trening.

- Znakomicie! Sol, z tobą trochę poczekamy. Ty możesz przenikać przez różne rzeczy, więc twoje możliwości wykorzystamy, kiedy już zlokalizujemy Indrę.

**81**

- Świetnie - uśmiechnęła się Sol szeroko. - Bardzo chciałabym być pożyteczna. Nikt nie przejmował się teraz wybranym chłopcem. Skrępowano mu ręce i przywiązano do Roka, tak że musiał towarzyszyć Strażnikowi, gdziekolwiek ten się ruszył. Reno, obrażony i zły, dziwił się całemu temu zamieszaniu wokół zwyczajnej, prostej kobiety, która zniknęła. To jacyś szaleńcy, czy to nie jego osobą powinni się zajmować? A on, nieszczęsny, oczekiwał triumfalnego pochodu!

Tymczasem żadnej wspaniałej eskorty złożonej z żołnierzy i służących, niosących skrzynie z jego skarbami. A w zamian to! Reno wściekał się w duchu z powodu upokorzenia, przywykł przecież, że wszyscy go podziwiają i noszą na rękach. Ale on się zemści! Mógłby przebijać nożem tych wszystkich ludzi, a potem stać i z rozkoszą patrzeć, jak...

Oświeciłaby ich kieszonkową latarką i śmiał się w szalonym triumfie!

Marco, Dolg i Strażnik Góry z synem usiedli na kamieniach i koncentrowali myśli na Indrze. Reszta przyglądała im się w milczeniu. Czas mijał.

- Ja marznę - powiedział Reno z wyrzutem.

- Ciii - szepnęli równocześnie Ram, Rok i Vida. Sol podeszła do chłopca i ze złośliwym uśmiechem otoczyła jego barki ramieniem.

- Teraz lepiej?

Reno jęknął, czując straszne gorąco spływające na niego z ramienia czarownicy. Zanim jednak zdążył się wyrwać, Sol odeszła. Od tej chwili przestał narzekać. Czterej siedzący na kamieniach mężczyźni spoglądali po sobie. Pytająco, ze zdziwieniem.

Żadnej odpowiedzi od Indry. Ponownie ujęli się za ręce i próbowali raz jeszcze skupić swoje myśli. Cichutko szeptali: „Indra, Indra, słyszysz nas?”.

Sytuacja stawała się bardzo nieprzyjemna. Czyżby ona nie żyła? Może wpadła do wzburzonej wody i utonęła? Może zbyt krótko żyła w blasku Świętego Słońca?

- Mam wrażenie, jakby coś do mnie docierało - mruknął Dolg.

- Czasami wydaje mi się, że już, już nawiązuję kontakt, ale jest coś, co mi

przeszkadza.

- Sol, chodź tutaj - poprosił Marco. Natychmiast usiadła między nim a Dolgiem i ujęła ich za ręce.

- Pomogło - szepnął Strażnik Góry.

Skulona na kamiennej ławce Indra wydała jęk.

Coś przepływało przez jej świadomość, jakiś strumień energii z innego źródła.

Odbieram sygnały, pomyślała z egzaltacją. Mirando, ja potrafię, mogę odebrać sygnał!

To, że nie ona wysyła te sygnały, zrozumiała z wiadomości, jaka do niej dotarła: „Indra, Indra, słyszysz nas?”.

- Tak! - zawołała głośno.

Wszyscy zebrani w grocie spojrzeli na nią zdziwieni.

„Gdzie jesteś?” dotarło do niej znowu.

Och, co ja zrobię, jak ja im to wytłumaczę? myślała gorączkowo. Ile oni są w stanie pojąć?

„W grocie”, odparły jej myśli. „Poszłam niewłaściwą ścieżką”.

„W grocie, znakomicie! To góra utrudniała kontakt. Gdzie?”

Teraz bądź precyzyjna, Indro, upomniała sama siebie.

„Zabłądziłam. Pamiętam, że szłam po jakimś otwartym płaskowyżu. Potem znalazłam się w prawdziwym labiryncie małych, ale dość wysokich skał, jeśli rozumiecie, co mam na myśli”. (Nie, uff, nie mogę tracić energii na niepotrzebne gadanie). „I wpadłam wprost na górską ścianę, w której były metalowe drzwi. Nie widziałam nic, bo Ram nie dał mi latarki...” (Uff, znowu plotę bez sensu!) „I zaraz potem spadłam na dół”.

„Głęboko?”

„Tak. Uważajcie!”

Chciała jeszcze opowiedzieć im o uwięzionych Atlantydach, ale Marco, czy kto to teraz był, przerwał jej:

„Nie mów nic więcej! Zaczynamy szukać. Skontaktujemy się z tobą znowu, jeśli

będzie trzeba".

Z uczuciem niewypowiedzianego triumfu patrzyła na zebranych w grocie ludzi. W ich twarzach czytała zarówno sceptycyzm, jak i podziw oraz troszeczkę bardzo niepewnej nadziei.

- Są w drodze do nas - oznajmiła spokojnie, bo chyba nie warto przesadzać z uczuciami triumfu.

Nagle drgnęła.

Obok niej stała Sol, wszyscy Atlantydzci cofnęli się niepewnie na widok tej nieoczekiwanej zjawy.

- Sol? Skąd się tu wzięłaś?

Najbardziej znana wiedźma Ludzi Lodu śmiała się z diabelską radością.

- Zlokalizowaliśmy cię, a ja przeszłam przez wszystkie przeszkody, bo przecież mogę się przenosić w czasie i przestrzeni. To są właśnie korzyści z tego, że jest się duchem. Albo marą, jeśli wolisz.

- Nie jesteś żadną marą, Sol! Jesteś całkiem realnym duchem i za to cię kocham.

A gdzie reszta? Gdzie oni są?

- Wciąż cię szukają. Pójdę teraz, żeby im wskazać drogę. Chciałam tylko zobaczyć, gdzie jesteś. A kim są ci ludzie? Więźniami?

Indra wyjaśniła. Soi rzuciła parę brzydkich słów na temat Nowej Atlantydy, po czym zniknęła. Najpierw w grocie zapanowało milczenie.

- Co to było? - zapytał wreszcie wódz bezbarwnym głosem.

- Jak powiedziałam, dysponujemy wielkimi psychicznymi możliwościami. To była moja kuzynka, Soi z Ludzi Lodu. Wkrótce przyjdą także inni. Jesteście uratowani. Obiecywała może trochę na wyrost, ale ślepo ufała swoim przyjacielom. Marcowi i Dolgowi, rzecz jasna, lecz także Strażnikowi Góry i Ramowi, Rokowi i Ar-masowi. I Vidzie. Wszyscy oni byli wspaniałymi istotami, również Sol, która przecież w niczym nie przypominała anioła.

Widocznie jednak nie trzeba być aniołem, by postępować jak porządny człowiek.

Atlantydzci nie wiedzieli, co o tym wszystkim myśleć. Zdecydowali, że poczekają i

zobaczą. Siedzieli w milczeniu. Najwyraźniej zachowywali rezerwę, a niektórzy po prostu zwątpili.

No to teraz zobaczycie coś naprawdę niezwykłego, pomyślała Indra. Uznała, że następny ruch należy do niej.

- Może powinniśmy pójść do strażnika, by pokazać moim przyjaciołom drogę? - zaproponowała nieśmiało.

Uznano pomysł za słuszny, ale ponieważ wszyscy chcieli jej towarzyszyć, wódz musiał dokonać wyboru. Z Indra poszło dwanaście osób, wśród nich sam wódz i ta władcza kobieta, która pierwsza zabierała głos, prawdopodobnie jego małżonka. Trudno im było się poruszać, ale natychmiast wyciągnęły się do nich pomocne ręce podwładnych.

Kiedy posuwali się wąskim korytarzem, nikt nic nie mówił. Milczeli, dopóki nie znaleźli się w zewnętrznej grocie. Była ona teraz oświetlona pochodniami, które ze sobą zabrali, i Indra mogła zobaczyć występ, z którego spadała. Znajdował się zaledwie dwa metry ponad grotą, więc rzeczywiście można było unieść rękę i ściągnąć kogoś, kto się tam znajdował, w dół. Ale już do poziomu, na którym znajdowały się drzwi, było strasznie daleko.

Czy ja rzeczywiście przeżyłam ten upadek? myślała Indra zdumiona. I to tylko kosztem otarcia skóry i lekkiego skręcenia kostki? Niepojęte!

Przypomniała sobie jednak, że na niższym poziomie znajduje się miękka ziemia. To chyba jedyne wytłumaczenie, czemu nie zabiła się, spadając.

Teraz też zrozumiała, że nikt nie był w stanie wspiąć się na górę do drzwi. Chyba żeby stanęli jeden drugiemu na ramionach jak grupa cyrkowa. Tylko co miałby zrobić najwyżej stojący akrobata? Drzwi były przecież zawsze zamknięte. Z zewnątrz.

Ale teraz są otwarte. Kiedy jednak spojrzała na zmęczone, wyniszczone twarze Atlantydwów, zrozumiała, że nie mieli oni ochoty ani siły na ekwilibrystyczne sztuczki.

Żeby tylko przyjaciele nadeszli jak najszybciej! Inaczej mieszkańcy groty gotowi

stracić do niej zaufanie. Nie była tak całkiem pewna, czy Sol zdoła ich tu sprwadzić. Może potrafiła tylko zlokalizować Indrę mentalnie i przyjść do niej poprzez kamienie i wodę? Ale czy Sol wie również, gdzie Indra znajduje się fizycznie? Ufała, że tak. W przeciwnym razie ta jej niezwykła wizyta nie miałaby żadnego sensu.

- Hop, hop! - zawołała tak głośno, że aż wszyscy Atlantydzcy podskoczyli. - Tutaj jestem!

Natychmiast też w jej świadomości pojawiła się jakaś obca myśl: „Idziemy do ciebie, Indro. Sol uważa, że teraz, kiedy cię widziała, znajdzie drogę”.

Bogu dzięki! Indra odetchnęła. „Ale pośpieszcie się, moje wybitne talenty są na wyczerpaniu”, pomyślała.

Minęło może z dziesięć minut, Atlantydzcy zaczęli się kręcić niespokojnie, ponurzy i trochę zirytowani.

I wtedy usłyszała dochodzące z góry wołanie. Jeszcze z bardzo daleka, ale wyraźne!

- Idą - szepnęła. - Wołajcie o pomoc! Wszyscy!

- A skąd mamy wiedzieć, że to nie jest zasadzka? - zapytał jeden z mężczyzn z przekąsem. - Skąd mamy wiedzieć, że to nie nadchodzą Atlantydzcy?

- Nie bądźcie, do cholery, tak negatywnie nastawieni! - wykrzyknęła Indra niecierpliwie. Zaczęli działać jej na nerwy. - Wołajcie, do diabła! Hop, hop! Marco! Ram!

Tamci odpowiedzieli, teraz znajdowali się wyraźnie bliżej. Niedowierzenie Atlantydców zniknęło niczym rosa w blasku słońca. Wszyscy krzyczeli, w różnych tonacjach, różnymi słowami, ale z tą samą desperacją w głosie.

I oto drzwi się otworzyły.

Wysoko w górze ukazało się światło nocy. Jeśli w ogóle można mówić o świetle...

- Słyszę, że jest was wielu - rzekł Ram.

- Bardzo wielu - uściśliła Indra. - Czy masz ze sobą sznury elfów?

- Zawsze je noszę przy sobie. Teraz mam dwa. Po wnętrzu groty przesuwano się

światło jego silnej latarni. Widząc przemieszczającą się jasną smugę więźniowie odskakiwali w tył.

- To nie może być prawda - rzekł Ram z niedowierzaniem.

- Och, jest nas dużo więcej - odparła Indra, która nagle poczuła się widocznie jedną z Atlantydów. - Wewnętrzna grota jest pełna! Znajdują się tam więźniowie, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, ale których Przyjaciele Porządku nie mogli się pozbyć z uwagi na działanie Słońca. A jest takich wielu. Ram, może nie uwierzysz, ale są tutaj także najstarsi! Ci wspaniali, pierwsi Atlantydzi. Widzisz tamtego mężczyznę? I tę kobietę?

Ram przesunął latarkę.

- O, Święte Słońce - wyszeptał.

Spuszczono na dół liny, najpierw jedną, a potem drugą, dokładnie takie długie, jak trzeba, ku wielkiemu zdumieniu więźniów. Liny miały supły na całej długości, by można się ich było mocno trzymać. Niektórzy z uwięzionych byli tak słabi, że ktoś musiał im pomagać w wydostaniu się na górę. Wciąż napływali kolejni Atlantydzi z wewnętrznej groty. Wielu płakało, sądzili, że oto zjawili się bogowie. Inni bali się, że nie zostaną zabrani albo że nieoczekiwanie pojawią się strażnicy i odkryją, co się dzieje, nikt jednak nie próbował wejść do kolejki przed innymi. Indra ustawiała ich w szeregu i bardzo była zadowolona ze swojej funkcji organizatora i miłosiernej Samarytanki.

Teraz powinna mnie widzieć Miranda, pomyślała i ogromnie zdumiona uświadomiła sobie, jak bardzo często godziła się na to, że żyje w cieniu swojej dzielnej siostry. Ja też przecież jestem dzielna, ja też, myślała teraz, ale w inny sposób. Bardziej w mowie. Miranda jest stworzona do działania.

Bardzo jej się podobało to nowe zajęcie!

Kiedy pozostała jeszcze tylko garstka więźniów, Ram osobiście zszedł na dół, by pomóc Indrze, która wychodziła jako ostatnia. Uściskał ją i podziękował serdecznym pocałunkiem w policzek.

Indra była tak zaskoczona, że nie zdążyła wymyślić żadnej złośliwej uwagi.

Jedyne, co z siebie wykrztusiła, to raczej mało inteligentne westchnienie: „Jezu!”  
Potem znalazła się w ramionach Rama i została uniesiona w górę. Tuż przy swojej twarzy miała niezwykłą twarz Lemura, a jego bliskość sprawiła jej taką przyjemność, że oszołomiona musiała sobie przypominać, iż przecież zamierzała uwodzić Armasa.

Cokolwiek bez związku z tą sytuacją pomyślała: „Ale Tsi-Tsungga też przecież jest mieszkańcem, pochodzącym zarówno od elfów ziemi, jak i od Lemurów. A Dolg jest synem ludzi i Lemurów. Armas natomiast ma w sobie krew ludzi i Obcych”.

Znalazła się na górze i zakłopotanie natychmiast ustąpiło. Promiennie roześmiała się do Marca:

- Największe osiągnięcie leniwej Indry, prawda?

- Niewątpliwie - potwierdził Marco sucho. - Opowiedz nam teraz, jak doszło do tego, że się zgubiłaś? - Ale uśmiechał się do swojej młodej kuzynki. Więc widocznie był też z niej odrobinę dumny.

Indra tymczasem myślała o czym innym.

To nieznane zaczynało nabierać kształtów.

To przerażające, niepojęte.

11

Wielu było tak umęczonych, że Strażnik Góry pozwolił im odpocząć przez chwilę w Przełęczy Wiatrów. Wyjaśnił Atlantydom, że nie będą mogli osiedlić się w Królestwie Światła na stałe, jest ich bowiem zbyt dużo. Pomieszkają tam jednak jakiś czas, zanim nie doprowadzi się do porządku sprawy zarządzania ich krajem. Wtedy będą mogli wrócić do swoich domów.

Dziękowali mu serdecznie.

Kiedy dochodzili do siebie po wyczerpującej wspinaczce, ich najwyższy wódz opowiedział, co się stało wtedy, bardzo dawno temu. On nosił wówczas imię Księcia Słońca, sprawy w Nowej Atlantydzie układały się bardzo pomyślnie.

Zaczęły się psuć dopiero w okresie, kiedy dorosło czwarte pokolenie. Paru zadufanych w sobie młodzieńców, wszyscy ze sobą spokrewnieni, zaczęło



krytykować łagodny, przyjazny stosunek władz do ludu. Mieli oni swego przywódcę, tego człowieka, którego z czasem zaczęto nazywać Jego Niepokalaną Wysokością.

- O, do diabła - mruknęła Indra. - To ten drań jest taki stary? No, właściwie można się było domyślać.

- Jego Niepokalana Wysokość dokonał czegoś, co określiłbym jako zamach stanu. Nie poradziłby sobie z tym sam, miał jednak wielu przyjaciół, czy raczej podlizujących mu się lokai, wśród których cieszył się wielkim autorytetem.

- Początkowo my, rządzący, niczego nie zauważyliśmy - tłumaczył Książę Słońca.

- To wszystko zresztą rozgrywało się w ciągu bardzo długiego czasu, przez wiele pokoleń.

Indra zaczęła obliczać. Jeśli przyjąć, że Atlantyda zapadła się w morze dziesięć tysięcy lat temu... to by oznaczało około ośmiuset lat w Królestwie Światła. Minęło więc wiele pokoleń. Załóżmy, że Jego Niepokalana Wysokość zaczął swoją działalność jakieś pięćset, sześćset lat temu. To nie tak znowu strasznie dawno, w każdym razie mniej niż dziesięć tysięcy lat!

Książę Słońca mówił dalej:

- Z czasem jednak odkryliśmy, że nasza władza jest powoli ograniczana w jakiś bardzo nieprzyjemny sposób. Zresztą władza to niewłaściwe słowo, ponieważ zawsze staraliśmy się, by wszyscy w naszym państwie mieli się dobrze, za wszelką cenę unikaliśmy wywierania jakiegokolwiek nacisku na nasz naród. Ale buntownicy zdołali wprowadzić w życie swoje idee i plany podstępem, tak że cała struktura państwa ulegała powolnym przemianom. Wcześniej Nowa Atlantyda była częścią Królestwa Światła. Teraz znaleźliśmy się w izolacji.

Strażnik Góry, jako najwyższy tutaj przedstawiciel Królestwa Światła, dołączył własne wyjaśnienia:

- Atmosfera stała się tak nieprzyjemna, że obie strony pragnęły oddzielić się od siebie. Dlatego wybudowano przejście. Nie mogliśmy jednak przewidzieć, że przyniesie to takie fatalne skutki.

Armas zaprotestował:

- Ale jak to się stało, że Jego Niepokalana Wysokość mógł sobie tak poczynąć? Urodził się przecież pod Świętym Słońcem! Czy nie powinien w związku z tym być dobrym człowiekiem?

Księżę Słońca uśmiechnął się z takim smutkiem, że cała jego stara twarz stała się jeszcze bardziej pomarszczona.

- Niektórzy ludzie rodzą się pedantami, nic nie mogą na to poradzić. Są noworodki, które na każdą niedogodność reagują histerią lub nawet chorobą. Jego Niepokalana Wysokość był właśnie takim dzieckiem i Słońce jeszcze wzmocniło jego cechy. Wszyscy, którymi się otoczył, mieli jakiś psychiczny defekt, który Słońce jeszcze pogłębiło. Wkrótce odkryto też, jak efektywną metodą sprawowania władzy jest fanatyczna dbałość o zachowanie porządku. Bo oni dążyli do władzy, zarówno Niepokalany, jak i jego poplecznicy. Czterech najbliższych mu ludzi cierpiało właśnie na tę psychiczną dolegliwość: pragnienie władzy.

- Uff, mieliśmy okazję ich spotkać - powiedziała Indra. - Zresztą teraz jest ich już tylko trzech.

- Tylko trzech? - zawołał zdumiony Księżę Słońca. - Jak do tego doszło, co się stało?

- Jeden został unicestwiony przez czerwony farangil - odparł Ram.

- Co? To farangil się znalazł? A szafir, co z szafirem?

- Także do nas wrócił. - Ram wskazał ręką Dolga. - To jest człowiek, który odnalazł kamienie. A także Święte Słońce.

Stary człowiek wstał, położył dłoń na piersiach i skłonił się głęboko przed Dolgiem, który uśmiechał się zadowolony.

-•No więc mamy farangil - rzekł Księżę Słońca i ponownie usiadł. - W takim razie moglibyśmy... nie, wybaczcie mi niegodne myśli! Na czym to skończyłem? Ach, tak, pewnej nocy my wszyscy, przedstawiciele najstarszej generacji, zostaliśmy wyłapani i wrzuceni do lochu.

- Nigdy nie wiedziałem o żadnym systemie grot w Przełęczy Wiatrów - rzekł Ram.
- Ale też ja nie jestem taki bardzo stary.

No właśnie, ile ty możesz mieć lat? zastanawiała się Indra w duchu.

- Od czasu do czasu dodawano nam kogoś do towarzystwa - mówił Książę Słońca. - W ostatnich czasach było wciąż gorzej i gorzej. Pojawiało się coraz więcej nowych więźniów, przybywali coraz częściej.

- W Nowej Atlantydzie panuje prawdziwa dyktatura - wyjaśnił Rok. - Nie widzieliśmy jeszcze czegoś podobnego. Zastanawiam się, po której stronie stoją żołnierze.

- Prawdopodobnie zostali poddani praniu mózgu albo też są wysoko opłacani - powiedział Strażnik Góry.

- Ale jeśli zdołaliście już zebrać siły, to najlepiej będzie, jeśli opuścimy to przejście. Nigdy nie wiadomo, co może nas spotkać ze strony Nowej Atlantydy.

Rozpoczął się więc długi marsz śmiertelnie zmęczonych ludzi poprzez nierówną, pokrytą skałami okolicę, i to w bliskim sąsiedztwie huczącej wody. Zabrało to sporo czasu, ale wysłannicy Królestwa Światła byli zdecydowani doprowadzić te nieszczęsne istoty do Słońca, do miejsca, w którym panuje dzień i jasność.

Niestety, Ram miał ze sobą tylko zwykłą, aczkolwiek bardzo silną latarkę, i jej światło nie docierało do końca długiego szeregu ludzi.

Ale Marco i Dolg rozwiązali ten problem na swój sposób. Dolg uniósł wysoko w górę szafir, tak że strumień światła padał na skały i na ziemię, a Marco... Marco postąpił tak, jak kiedyś w przeszłości, jeszcze pod postacią Imrego, gdy wyprowadzał Mali i Andre z lasów w Dalarna w Szwecji. Mianowicie zaczął się cały świecić. Tym sposobem liczący kilkaset metrów rząd ludzi, którzy z trudem przeprawiali się przez Przełęcz Wiatrów, nie musiał iść po ciemku.

Indra niemal desperacko trzymała się w pobliżu Armasa. Flirtuj ze mną, chłopcze, pozwól, bym się tobą interesowała, tak jak to było na początku naszej wyprawy! Jesteś przecież bardzo pociągający, dlaczego nie miałabym ci ulec? Potrzebuję tego, Armas, muszę znowu odzyskać równowagę.

W miejscach, gdzie ścieżka była wystarczająco szeroka, obok niej kroczyła Vida. Wspólnie pomogły jakiejś kobiecie podnieść się na nogi. Czuły obie, jakie chudziutkie są ręce tej nieszczęśnicy. Tylko skóra i kości. Tak to jest, kiedy nie można umrzeć, pomyślała. Indra. przygnębiona. Ciało ulega niemal całkowitemu wyniszczeniu, ale człowiek żyje nadal.

- Powiedz mi, Vido... - zaczęła z wolna. - Powiedz mi - musiała natężyć głos, bo zagłuszał ją wiatr - ile wy właściwie macie lat? Ty i Rok, i... Ram?

- No, ja, mówiąc szczerze, nie jestem taka stara, urodziłam się chyba jakieś trzysta ziemskich lat temu.

Trzysta podzielić na dwanaście, ile to będzie? Dwadzieścia pięć lat. No tak, tak może być.

- Rok jest ode mnie starszy, ale wiesz, wszyscy tutaj zatrzymują się na trzydziestym, trzydziestym piątym roku, więc to nie ma znaczenia.

Czy powie coś więcej? Indra czekała, w końcu jednak musiała znowu zapytać.

Słowa zabrzmiały cierpko, niemal gniewnie:

- A Ram?

- Ram? Tego nie wiem. Wiem tylko, że jest starszy od Roka, ale nie bardzo, tak w każdym razie sędzę. Pierwsze swoje zadanie otrzymał w czasie, kiedy przybyła rodzina Czarnoksiężnika.

Rodzina Czarnoksiężnika? To było gdzieś około roku 1740. A który właściwie rok jest teraz w świecie zewnętrznym?

Zadrzała. Nie miała ochoty się tego dowiedzieć. Ona sama przybyła tutaj w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i mieszkała w Królestwie Światła od kilku lat. Według tutejszej rachuby czasu. Tymczasem na powierzchni Ziemi minęło dużo więcej lat, ponieważ każdy rok w Królestwie równał się dwunastu latom tam. Uff!

- On rzeczywiście bardzo szybko zdobywał coraz wyższe stopnie w karierze - mówiła dalej Vida. - Ale też on jest kimś wyjątkowym. Niewiarygodnie zdolny. Całkowicie poświęca się swojej pracy.

- Słyszałam, że miał kiedyś jakąś przyjaciółkę, która pracuje w ratuszu - mruknęła Indra zawstydzona. To nieładnie w ten sposób wyciągać wiadomości od Vidy.

- W ratuszu? Ach, ona!

Huk wichru sprawił, że Indra nie pojęła, co Vida miała na myśli. Jak należy sobie tłumaczyć owo „ach, ona”?

Ścieżka znowu zrobiła się węższa i miały problemy ze swoimi „podopiecznymi”, tak że nie mogły dłużej rozmawiać.

„Ach, ona!”

W końcu wszyscy znaleźli się w obrębie jaśniejącego w Królestwie Światła blasku. Atlantydzki rozglądali się wokół na wpół oślepieni.

-Jak pięknie - rzekła małżonka Księcia Słońca ze łzami szczęścia w oczach. - jak boleśnie, jak nieprawdopodobnie pięknie!

Jakaś bardzo stara kobieta uklękła i głaskała trawę, inna otoczyła dłońmi mały kwiatek, lękała się jednak dotykać tego cudu w obawie, że mu zaszkodzi.

Przecież wszystko powinno móc żyć.

Jeden z mężczyzn głaskał pień drzewa z łagodnym uśmiechem na wargach.

Młody chłopiec, który pewnie urodził się w grocie i znał jedynie ciemności oraz przejmujące zimno, spoglądał w niebo, zadzierając głowę tak, że o mało się nie przewrócił. Śledził lecącego ptaka, a z jego gardła wydobywały się jakieś nieartykułowane dźwięki.

I światło, światło! Wielu ludziom płynęły z oczu łzy, niektórzy głośno szlochali, inni, uwięzieni w grocie później, śmiali się uszczęśliwieni.

Tylko Reno, wybrany, stał z bardzo niezadowoloną miną i z pogardą myślał o panującym w Królestwie Światła bałaganie. A przecież widział łąki, które wyglądały niczym morze kwiatów, i niewielki zagajnik w oddali... Drzewa jednak nie stały tutaj symetrycznie, kwiaty też nie, i to właśnie napawało go obrzydzeniem.

Precyzja, władza i dyscyplina, to jego nauczyciele wbili mu do głowy. Tego rodzaju nauk nie da się wyrzucić z umysłu ot, tak sobie.

Indrze przychodziły do głowy straszne myśli. Powinieneś być skierować farangil na nich wszystkich, Dolg, kiedy już zaczął działać. Przeciwno wszystkim czterem białym i przeciwno ich wstrętnemu przywódcy, temu śmierdzącemu starcowi, któremu władza i arogancja zmały umysł. Powinieneś skierować krwistoczerwone promienie farangila na jego pieluchy, nawet gdyby miało to strasznie śmierdzieć, byleby tylko Nowa Atlantyda się go pozbyła. W jaki sposób teraz zdołamy wyeliminować tych czterech, którzy jeszcze zostali, plus prawdopodobnie wielu ulepionych z tej samej gliny? Przegapiłeś szansę, Dolgu! Kiedy jednak spojrzęła na urodziwego, jakby nie z tego świata pochodzącego syna Czarnoksiężnika, uświadomiła sobie, że on nie został stworzony po to, by przerywać życie.

Tylko że ci przekłeci starcy żyli już dostatecznie długo. Można powiedzieć, że przeżyli samych siebie.

Głos zabrał Strażnik Góry:

- Teraz wszyscy zostaniecie poddani intensywnemu działaniu Słońca, tak że z pewnością odzyskacie siły i prawdopodobnie również młodość. Tymczasem my, mieszkańcy Królestwa Światła, przygotowujemy wyprawę do Nowej Atlantydy. Nie będzie to wyprawa zbrojna, mamy inne możliwości. Wy cierpieliście bardzo, ludzie, którzy tam pozostali, cierpią nadal, najwyższy czas położyć kres temu szaleństwu. Tak, bo to władza szaleńców, nawet jeśli w całej Nowej Atlantydzie panuje idealny porządek. A właściwie właśnie dlatego!

- Oni z pewnością bardzo szybko odkryją, że znaleźliście grootę - rzekł Książę Słońca. - A wtedy może dojść do wojny!

- Tak, musimy się śpieszyć - odparł Strażnik Góry w zamyśleniu.

Indra rozglądała się za Ramem, ale on znajdował się w przedzie długiego pochodu. Podeszła do grupy, którą prowadził Marco. Daleko za sobą miała wspaniałe niebieskie światło szafiru, dzięki któremu Dolg prowadził ostatnie grupy. Na samym końcu szli Strażnik Góry i Rok, bacząc, by nikt nie zostawał w tyle. Wszystkim pomagano w przejściu trudnego pasażu.

Indra chodziła tam i z powrotem, „by patrzeć, czy nikt nie potrzebuje pomocy”, jak przekonywała samą siebie. W pewnej chwili jej wzrok spoczął na pełnej godności postaci Lemura, Rama. Wysoki, z czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Oczy, równie czarne, obserwowały grupę Atlantydw. Spostrzegła, że Ram jest zmartwiony, zresztą bardzo dobrze to pojmowała. Do niego przecież należało rozlokowanie tych wszystkich ludzi w Królestwie Światła.

Nos miał całkiem płaski, usta wydatne, zmysłowe i wrażliwe, wysokie czoło ginęło we włosach. Profil prezentował się wspaniale, jakby należał do zwierzęcia z bardzo szlachetnej rasy, rasowego konia lub rasowego psa. Wszystko było doskonale.

Ale człowiekiem on niestety nie jest!

Oczywiście nie jest też zwierzęciem. Jest Lemurem, ogniwem pośrednim między ludźmi a Obcymi.

Nie spojrział na nią ani razu, zresztą dlaczego miałby to robić? Indra jest przecież jedną z wielu mieszkanki Królestwa Światła, co prawda należy do grupy, którą on, jak oświadczył, uważa za najbardziej kłopotliwą w całym państwie, ale akurat to nie stanowi najlepszej referencji. Indra jest zwyczajną dziewczyną, którą on przypadkiem pocałował w policzek.

Dlaczego to zrobił? Armas, gdzie jesteś? Pozwól mi się do siebie zbliżyć! Nie jestem taka głupia, chyba rozumiesz. Moglibyśmy być świetną parą. Armas, ratunku!

12

Najpierw chcieli ulokować wybranego u Indry, „żeby mogli się lepiej poznać”, ale ona przeciwstawiła się temu stanowczo. Dwojga ludzi, którzy do tego stopnia nie ufają sobie nawzajem, nie powinno się zmuszać, by nieustannie przebywali pod jednym dachem. Przynajmniej nie przez całą dobę. Poza tym chciała mieć spokój w swoim mieszkanku. Chciała jeść słodczyce, kiedy zechce, wyciągnąć się na łóżku i drzemać lub układać pasjansy, i żeby nikt nie wygłaszał z tego powodu głupich komentarzy.

95

Postanowiono zatem, że Reno zamieszka w pobliżu, razem z małżeństwem z Nowej Atlantydy. Tym ludziom również powierzono opiekę nad chłopcem. On sam traktował ich jak niewolników. Pozwalali mu trwać w przekonaniu, że tak właśnie jest, bo wtedy łatwiej było nim kierować. Obiecywali sobie jednak, i wielu innych wraz z nimi, że wkrótce na serio zabiorą się za jego wychowanie.

Indra przychodziła do ich domu dwa razy dziennie, by przygotowywać chłopca do wyprawy w Góry Czarne. Jej zadanie polegało na tym, by zrobić porządnego człowieka z tego rozpuszczonego niczym dziadowski bicz małego drania.

Już pierwsze godziny okazały się kompletną katastrofą. Indra zapytała co prawda bardzo ostrożnie, ale z irytacją w głosie:

- Czegoś ty się właściwie uczył na temat swego zadania?

- Ze mam się zachowywać władczo, z pewnością siebie! I z godnością. Mam być zawsze ubrany tak jak przystoi wybranemu, w purpurę i jedwab, uczyłem się też, jak mam udzielać audiencji najwyżej postawionym mieszkańcom Gór Czarnych i z jaką łaskawością przyjmować dary, które mi przyniosą. Wiem, jak ich zmusić, by padali przede mną na kolana, i znam słowa, które sprawią, że zostanę władcą tych ciemnych gór.

- O rany boskie! - jęknęła Indra i uderzyła się dłonią w czoło. - Więc ty tyle wiesz o Górach Czarnych i o tym, co się w nich kryje?

- Uczeni mężowie w Nowej Atlantydzie wiedzą o tych sprawach więcej niż ty, głupia! I przestań się do mnie zwracać per ty! Mam być tytułowany Wasza Wysokość, już powiedziałem!

- Ale czy ty w ogóle nie słuchałaś, kiedy opowiadałam ci o pożerających ludzi bestiach? O Svilach? O wszystkich tych, którzy tam po prostu zginęli, zostali wciągnięci przez potężną wicherę i nigdy więcej nie wrócili? O pełnych skargi wyciach, które zawierają i rozpacz, i okrucieństwo? Co ty sobie myślisz?

- Babskie gadanie - prychnął.

- Ach, tak? To w takim razie zapytaj Joriego i Tsi-Tsunggę! Oni najlepiej wiedzą, że to nie jest babskie gadanie. Niestety.



- Kłamią, bo chcą się wydać interesujący. I nie mów do mnie ty!

Oboje czuli, że ich prestiż jest zagrożony. Ponieważ Reno właściwie wyczerpał już wszystkie argumenty, zaczął rzucać w Indrę różnymi przedmiotami.

- To ty jesteś aż taki dziecinny? - zapytała zdenerwowana. Na szczęście udało jej się złapać piękną wazę, zanim ta spadła na podłogę. - Może powinniśmy zacząć bardziej inteligentną rozmowę? Jeśli ciebie na coś takiego stać.

Nie było go stać. Wybiegł z domu, zanim Indra zdążyła go przytrzymać, i w ten sposób zakończyła się pierwsza lekcja.

Stopniowo jednak sytuacja zaczęła się poprawiać. Nadal byli wrogami aż po koniuszki palców, Reno jednak pojął, że dla własnego dobra powinien używać nieco więcej inteligencji. Uwielbiał napadać na Indrę, kiedy zdarzyło jej się powiedzieć coś nie tak, więc bardzo uważała, by wyrażać się możliwie najbardziej precyzyjnie. W ten sposób także i ona korzystała z tych spotkań z wybranym.

Początkowo nie miała pewności, czego się właściwie od niej oczekuje, ale w miarę upływu czasu coraz lepiej radziła sobie z tym niewychowanym zarozumialcem. Lekcje miały coraz spokojniejszy przebieg, bójki ustały.

Przynajmniej tak się wydawało.

Ale zdarzało się często, że Indra była nieobecna myślami. Jakby własny umysł nie chciał się jej podporządkować. W parę dni po powrocie z Południa wybrała się do stolicy. Była przekonana, że ma tam parę interesów do załatwienia.

Na głównej ulicy nieoczekiwanie wpadła na Orianą, tę elegancką, niezwykle kulturalną Włoszkę. Przywitały się radośnie, obie zaskoczone spotkaniem.

Wymieniły kilka zwyczajnych zdań, a potem Oriana zapytała:

- Czym ty się teraz zajmujesz?

Indra opowiedziała jej o swojej syzyfowej pracy, której celem było wychowanie i uczynienie człowieka z wybranego chłopca.

-A ty?

I Oriana rozbłysła.

- Och, ja otrzymałam fantastyczną posadę. Jestem sekretarką Rama.

- Nie, co ty mówisz? To wspaniale - rzekła Indra speszona. Próbowwała zachować na wargach uśmiech, ale czuła, że za moment straci nad sobą kontrolę, tak wielkie było jej rozczarowanie. Patrzyła teraz na Orianą innymi oczyma. Dojrzała, bardzo ładna, inteligentna i wrażliwa kobieta, o żywych ruchach i głębokich, ciemnych oczach. Uczucie porażki i mniejszej wartości ciążyło jej w żołądku niczym ołów.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Oriana, niczego się nie domyślając.

- Idę do ratusza - odparła Indra martwym głosem. - Dostałam jakiś papier, którego nie rozumiem.

- Ach, tak, ja niestety muszę iść w odwrotnym kierunku - uśmiechnęła się Oriana.

- Miło było cię spotkać!

Idąc wolno w stronę ratusza Indra czuła, że stopy ma jak z ołowiu. Skoro jednak uszła już tyle drogi, to poradzi sobie i dalej.

Jakiś czas temu zadała Vidzie mimochodem kilka pytań i dowiedziała się, w której części ratusza pracuje młodzieńcza miłość Rama. Udała się do tego właśnie oddziału, na szczęście był przeznaczony dla klientów, i krążyła z obojętną miną, jakby szukała jakichś blankietów.

Tam! To musi być ona. Kobieta zajmowała się interesantem, więc Indra mogła ją ukradkiem obserwować.

Z rodu Lemurów, tak, to przecież oczywiste. Indra jest tylko człowiekiem, ale Oriana również.

Ta tutaj jest bardziej niebezpieczna. Nie tylko ładna, jak większość jej pobratymców, to po prostu piękność! Jakie wspaniałe ruchy rąk! Jak niewiarygodnie pociągający uśmiech! To kobieta, która porzuciła Rama dla innego, dla tego, który zginął w Górach Czarnych. Kiedyś musi jednak przestać czekać i rozpaczać, któregoś dnia z pewnością uzna, że Ram jest tym drugim najlepszym, jakiego mogłaby mieć. I wróci do niego...

Indra pośpiesznie wyszła z ratusza, a potem, jakby ją ktoś gonił, pobiegła do gondoli, którą pożyczyła od ojca.

Tak nie można, myślała zgnębiona, wznosząc się ku złocistemu niebu. Po prostu potrzebuję mężczyzny, kogoś podobnego do mnie, tyle czasu już minęło od ostatniego razu. Ten niepokój w całym ciele, kiedy leżę sama i nie mogę zasnąć... Nie jestem jak Miranda czy Elena, które mogą czekać latami, mam pod tym względem większe potrzeby niż one.

Tsi-Tsungga?

Och, wiedziała, że on by potrafił ugasić pożar trawiący jej ciało. Tyle tylko że nie miała ochoty na Tsi. Nie teraz, nie teraz. Wydawało jej się to czymś szalonym, poza tym nie chciała wykorzystywać sympatycznego elfa do własnych celów, to nie byłoby w porządku.

Zresztą Tsi też nie należał do jej gatunku. I Armas także nie. Jaskari? Nie, on należy do Eleny, chodzi tylko o to, by przyjaciółka w końcu się zdecydowała. Właściwie Elena już się zdecydowała, była zakochana, ale on, choć także ją kochał, jeszcze nie do końca jej wierzył. Nie chciał mieć dziewczyny gotowej ulec pierwszemu lepszemu, byle tylko zwrócił na nią uwagę. Jaskari uważał, że Elena musi go kochać dla niego samego, nie tylko jako blade odbicie jego miłości. Uff, jakie to skomplikowane.

Jori?

Nie, on absolutnie nie jest w typie Indry. Jori jest sympatyczny i zabawny, to fantastyczny przyjaciel, ale zupełnie się nie nadaje na kochanka. Nie myślała o tym, że Jori jest od niej niższy, Indra na tego typu sprawy nie zwracała uwagi, nie była tak głupia. Nie, jednak oczekiwała czegoś innego.

Oko Nocy?

To niemożliwe, on jest przeznaczony dla indiańskich dziewcząt. Poza tym, jeśli jakaś inna miałaby u niego szansę, to Berengaria ma prawo pierwszeństwa. Oko Nocy i Berengaria trzymali się razem przez wszystkie lata, jako przyjaciele, rzecz jasna, nie inaczej. Dziewczyna wielbiła indiańskiego chłopca niczym bóstwo, a jemu to bardzo pochlebiało. W ogóle nie zauważał, że Berengaria manipuluje nim i wykorzystuje go w najpaskudniejszy sposób. Robił wszystko, czego zapragnęła,

za jeden jej słodki uśmiech na podziękowanie.

Ale teraz Berengaria zaczęła dorastać. Mogło to przysporzyć nie lada kłopotów Oku Nocy, gdyby jego ojciec, Ptak Burzy, nie uderzył pięścią w stół, żeby go poważnie ostrzec.

Gondagil, wspaniały Gondagil, należy do Mirandy. O Marcu i Dolgu w ogóle nie mogło być mowy. Któż więc pozostawał Indrze?

Och, było mnóstwo młodych mężczyzn i w mieście Saga, i w stolicy, i w całym królestwie. Mogła wybrać kogo zechce, wiedziała, że ma licznych wielbicieli.

Musi natychmiast coś postanowić, szkoda czasu. Musi się w kimś zakochać.

Najszybciej jak to możliwe!

Musi się z tego wszystkiego otrząsnąć. Pozbyć tego straszego dylematu.

Któregoś dnia zobaczyła go znowu. Był w Sadze i rozmawiał z Dolgiem i kilkoma innymi mężczyznami. Żaden z nich nie widział Indry, która stała w mieszkaniu przy oknie i spoglądała w dół na plac. Plac Marca i Dolga.

Pograżyła się w smutnych rozmyślaniach: Ty zawsze tutaj byłeś. Zawsze. Od samego początku, od chwili, kiedy ja przybyłam. Ale nigdy przedtem cię nie widziałam. Nigdy na ciebie nie patrzyłam.

Boże, jakie to bolesne! Nie może tak być!

Te samotne noce. Lęk. Myśli. Uczucia, których przedtem nie знаła. Indra, która nie przejmowała się tym, że nic nie czuje do chłopców, z którymi chodziła do łóżka w zewnętrznym świecie. Dla niej były to nic nie znaczące miłości, po prostu przyjemne chwile.

Niewielu zresztą było tych kochanków. Garstka zaledwie. Potem szybko o nich zapomniała.

Tutaj w Królestwie Światła właściwie nie miała czasu na erotyczne przygody, tutaj działo się tak wiele innych spraw. Czekala zbyt długo, oto cała tajemnica. Dlatego teraz każdy byłby dobry.

Jego czułe dłonie. Złocistobrazowe, pięknie ukształtowane. Oczy, zupełnie czarne, kiedy patrzyły na nią, właśnie na nią! Indra zaczęła sobie przypominać

czas miniony. Kiedy on na nią patrzył? Kiedy rozmawiali ze sobą, rzecz jasna, ale to nie zdarzało się często. Chociaż może? Czy on spoglądał na nią przy innych okazjach? Starła się coś sobie przypomnieć, ale nie mogła.

Czy on w ogóle wie, kim ja jestem? Owszem, to z pewnością wiedział, ale niewiele więcej. Po prostu była częścią niesfornej grupy.

Kogo powinna wybrać? W mieście Saga знаła kilku młodych mężczyzn nie do pogardzenia. Który z nich? Który? Myśl, Indro, myśl!

Ta jego zgrabna sylwetka. Profil...

Ręce drżały jej odrobinę. Oddech stawał się szybszy.

Nie!

Zwykle tego rodzaju szalone rojenia znikają pod prysznicem. Poszła więc do łazienki, chciała włączyć zimną wodę. Ale niestety, nie znalazła prysznicu, znajdowała się przecież w obcym domu i była kompletnie bezradna. Wróciła do okna, ale zaraz znowu od niego odeszła.

To czyste szaleństwo, myślała wzburzona. Jakieś nagłe opętanie. Na szczęście takie zauroczenie przechodzi. Nie należy się do tego specjalnie przywiązywać, powiedziała sama do siebie, wracając do domu. Po prostu nie trzeba się tym w ogóle przejmować!

Spokojna Indra nie może zostać wytrącona z równowagi.

Do domu. To najlepsze! Tam odzyska spokój. Weźmie nasenną tabletkę i... Nigdy przedtem nie używała środków nasennych.

Och, ratunku, muszę się z tym jakoś uporać.

Leżała w łóżku i wpatrywała się w kopułę sufitu, który przesłaniano właśnie okiennicami na noc. Pasy światła robiły się powoli coraz węższe, aż w końcu zniknęły całkiem. Tabletki nasenne nie zdążyły jeszcze zadziałać. Indra wyciągnęła rękę i zapaliła lampę. Łagodne światło rozjaśniło mrok na tyle, że mogłaby czytać, gdyby chciała, ona jednak leżała po prostu bez ruchu i liczyła złote gwiazdy na kopule. Jeśli zgasi światło, gwiazdy również zgasną.

Wszystko było takie piękne i doskonale w tym pokoju, wszystkie barwy

znakomicie dobrane tak, by oczy mogły odpoczywać, a zmysły znaleźć ukojenie. Całkiem nieoczekiwanie zaczęła płakać. Był to ten rodzaj płaczu, który powstaje gdzieś w głębi piersi, narasta i siłą wydostaje się na zewnątrz. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy w ogóle ostatnio płakała. Prawdopodobnie na pogrzebie mamy i Filipa.

Ale to było bardzo dawno temu.

Teraz nie wiedziała, dlaczego zrobiło jej się tak przykro. A może tak, może wiedziała. W ostatnich dniach jej ciało i dusza przeżywały ogromne napięcie. Lęk. Niepewność.

- Ja nie chcę - wyszeptwała, zanosząc się szlochem. - Ja przecież nie chcę. To wszystko jest kompletnie beznadziejne, on w ogóle nawet na mnie nie spogląda, a gdyby wiedział o moich uczuciach, wyśmiałby mnie albo się rozzłościł, w najlepszym razie byłby nieprzyjemnie poruszony. Chcę mieć normalnego chłopaka, chcę się z nim przekomarzać, chcę odnosić się do niego z ironią, nie chcę czuć się taka podporządkowana, taka bezradna i... odmienna.

Tak, bo dla niego była z pewnością odmienna. On zwykle przebywał w towarzystwie Lemurów. A według Lemurów ludzie znajdują się parę stopni poniżej. Ludzie to istoty, którymi należy się opiekować, uczyć je, ale nie trzeba się z nimi spotykać.

Żeby tylko mogła stłumić ten rwący, nie dający spokoju głód ciała! Próbowала sobie wmawiać, że pierwszy lepszy mężczyzna dałby jej ukojenie, wiedziała jednak, że to nieprawda. Nigdy przedtem tak tego nie odczuwała. Potrzeby ciała były jedynie niewielkim fragmentem jej pragnień w ogóle. Chciała przyjaźni. Koleżeństwa. Oddania i zrozumienia bez słów.

Pragnęła tego wszystkiego i pragnęła to otrzymać wyłącznie od niego.

- Co, do diabła, się ze mną dzieje? - prychnęła ze złością i wytarła nos w jedną z tych eleganckich papierowych chusteczek, które zawsze znajdowały się w szufladzie jej nocnej szafki. - Dłużej tak nie wytrzymam, wyniszczy mnie to, stracę poczucie humoru, własną tożsamość i moją słynną beztroskę. Spokój ducha. Co

się stanie z tą Indrą, którą wszyscy znają, z tą, która omija wszelkie trudności i unika cięższej pracy?

To jest właśnie to, co się ze mną zaczynało dziać, a czego nie mogłam pojąć.

Podjęłam się pracy z tym nieznośnym smarkaczem z Nowej Atlantydy, ponieważ to on mnie o to prosił. On mnie wybrał. Chciałam pokazać, że jestem godna zaufania. No, ale to też świadczy, że on zauważa, iż istnieję.

Więcej nie wolno mi żądać.

Nareszcie na jej wargach pojawił się delikatny uśmiezek.

- Do diabła, jaka się zrobiłam wrażliwa - powiedziała głośno.

W końcu środki nasenne zaczęły działać. Bogu dzięki, pomyślała Indra.

W chwilę później spała. Ale wciąż trzymała w ręce mapę, którą dostała od Rama.

Mapę, która w łóżku, we własnej sypialni, nie była jej do niczego potrzebna.

13

Indra przeżyła jeszcze mnóstwo nieporozumień z Reno. Zdarzały się każdego dnia. Przede wszystkim próbowała go jakoś nakłonić do współpracy z innymi ludźmi. Na razie jednak nie mogło być w ogóle o tym mowy.

Był bardzo wyniosłą istotą. Nie zamierzał się spotykać z pospółstwem.

Ale Indra wabiła go i kusila. Powoli i konsekwentnie. Chłopak nie miał żadnej świadomości społecznej i Indra wątpiła, czy kiedykolwiek ją zdobędzie. Kiedy podkreślała, że tylko ktoś, kto ma czystą duszę i okazuje szacunek innym, może zbliżyć się do źródła, którego szukają w Górach Czarnych, Reno śmiał się szyderczo.

- To chyba żadna sztuka - prychnął. - Potrafię usunąć z drogi wszystko, co na niej stanie, by przynieść wodę. Chcę mieć taki laserowy pistolet, jak ma Ram.

Nie wymawiaj jego imienia, ty obrzydliwy mały potworze!

- Nie możesz dostać żadnego pistoletu, jesteś nieobliczalny.

- Mogę dostać, cokolwiek zechcę! - wrzasnął Reno i rzucił się na nią z pięściami.

- Przemoc jest przyznaniem się do braku inteligencji - odparła Indra chłodno.

- Ja jestem wybrany, nikt nie ma prawa mi się przeciwstawiać!

103

- Rozumiem - odparła spokojnie, trzymając go mocno za rękę. - Ale teraz nie jesteśmy w Nowej Atlantydzie z tymi twoimi wyszorowanymi, białymi idiotami. Reno splunął na nią, a ona nazwała go gadziną, po czym Reno wrzasnął z wściekłością:

- Straże! Żołnierze! Zabijcie ją! Ona mnie morduje!

- Mogłabym cię zabić, ale się do tego nie zniżę. Jesteś na to za głupi i za nudny.

- Nie jestem!

- Nic nie znaczysz. Jesteś dziecinny. Wcale nie wierzę, że masz dziesięć lat.

- Oczywiście, że mam...

- No to zachowuj się, jak przystało na dziesięciolatka!

- Stara wiedźma!

W środku kłótni do pokoju wszedł Gabriel.

- Jak ty go wychowujesz? - rzekł zaszokowany do swojej córki.

- Tutaj naprawdę potrzeba mnóstwo prochu - odparła Indra z goryczą, zdjawszy przedtem aparacik mowy, by chłopak nie rozumiał, o czym mówią. - Jestem jedyną osobą, która potrafi przywołać go do porządku, wolno i metodycznie, dlatego zostałam wybrana. Jeśli... Ojczy, to dla mnie prawdziwa przyjemność nauczyć go rozumu.

Gabriel w zamyśleniu potrząsnął głową.

Przeważnie kiedy sprawy układały się całkiem źle, Indra zabierała się do opowiadania bajek. Reno to uwielbiał, siedział cicho tuż przy niej na kanapie i słuchał przejęty. Sympatycznych bajek nie chciał, wobec tego Indra przypominała sobie najbardziej krwawe, jakie słyszała, a tych istnieje przecież mnóstwo w światowych zbiorach. Opowieści o Sinobrodym Reno mógł słuchać nieustannie, pociągał go też myśliwy z Królowy Śnieżki przynajmniej do chwili, gdy chowa nóż do pochwy i pozwala Śnieżce odejść. Kiedy opowiadała o tym, jak w bajce o Jasiu i Małgosi czarownicę wsadzono do pieca. Reno wrzeszczał z radości, a gdy wilkowi z bajki o Czerwonym Kapturku rozplątano brzuch, Indra musiała powtarzać ten fragment wielokrotnie, bo takie to było rozkoszne!



Gdyby nie to, że groteskowe historie pomagały utrzymać go w ryzach, nie byłaby w stanie opowiadać ich po wielokroć.

Mimo wszystko odczuwała jakiś rodzaj kontaktu z tym chłopcem, wyobrażała sobie, że jest to duże osiągnięcie. Nie bardzo wiedziała, jakiego rodzaju wychowanie chłopak otrzymał, kiedy przygotowywano go do wyprawy w Góry Czarne, zastanawiała się, czy to zamiłowanie do makabry nie jest u niego wrodzone. Jakkolwiek było, cieszyły ją spokojne chwile spędzane na kanapie. Dopóki nie doszło do kolejnej kłótni. Reno nie mógł pojąć, dlaczego Indra nadal twierdzi, iż każdy człowiek posiada swoją wartość i godność. On przecież stał ponad wszystkimi, a Atlantydzii przewyższają Lemurów i innych mieszkańców Królestwa Światła.

- Ach, ty zaindoktrynowany mały diable - rzekła Indra z wolna. - Powiem ci, że trzeba by co najmniej ze stu takich gówniarzy jak ty, żeby stworzyć jednego Rama.

Oj, znowu się zaczyna! Pośpiesznie zaczęła opowiadać Reno o zamierzonej wyprawie do Gór Czarnych. Chciała, by wiedział, jaka prawdopodobnie w rzeczywistości będzie, a nie trwał w błędnym przeświadczeniu, że czeka go wspaniały triumfalny pochód.

- Phi, możesz sobie gadać - prychnął niepokonany. - Czy tobie się wydaje, że wiesz więcej niż czterej biali mężowie?

- Chyba niewiele mi brakuje - mruknęła Indra.

Pewnego dnia, kiedy byli z chłopcem w ogrodzie, Indra usłyszała, że furtka otworzyła się i zamknęła. Była jednak zbyt zajęta, by podnieść głowę.

Bowiem, jeśli chodzi o wychowanie Reno, posunęła się bardzo naprzód.

Ktoś stał przy furtce i patrzył, jak Indra i Reno oglądają małą grządkę, sprawdzając, czy coś na niej nie wykiełkowało. Tydzień temu chłopiec posiał tam jakieś nasiona.

- No zobacz - mówiła Indra - przecież tam coś się zieleni. - Tam! Jakieś małe listki. Reno przyglądał się uważnie.

- Tak - wyszeptał. - Tak! Coś wychodzi z ziemi! Coś, co ja zasiałem!

Indra odwróciła się, by zobaczyć, kto przyszedł. Fala gorąca zalała jej policzki i dziewczyna pośpiesznie odwróciła się znowu.

- Jakim sposobem ci się to udało? - zapytał przybysz cicho, wskazując na Reno, który w niemym podziwieniu przyglądał się swemu dziełu.

Indra zdołała jakoś odzyskać trochę pewności siebie.

- Nie bez wysiłku - odparła lekko. - Nienawidzimy się nawzajem szczerze.

Ram spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Pierwsze nieegoistyczne działanie. No, nieźle, Indro! Moje imię! On wypowiedział moje imię! Pozornie beztrosko rzuciła:

- Jestem pewna, że każda kobieta zrobiłaby więcej niż ja. Przez cały czas się bijemy. Ale może właśnie o to chodziło?

Teraz on naprawdę na nią patrzył. Och, nie trzepoczcie moje powieki, tego bym nie zniosła! Nie mogę odwracać wzroku, muszę patrzeć mu w oczy.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Cóż, wydaje mi się, że wiem, dlaczego zostałam wybrana na jego wychowawczynię. Po prostu dlatego, że mam niewyparzony język.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Skądże znowu - odparł. - Zostałaś wybrana dlatego, że byłaś jedyną osobą, która nie robi nic pożytecznego.

Ziemia usunęła się spod nóg Indry. Opadała i opadała, a ona trwała wciąż w jakiejś pustej przestrzeni.

Nie wymyśliła żadnej odpowiedzi. Rozczarowanie paliło ją w piersiach niczym rozżarzone żelazo. Płacz ścisnął niebezpiecznie za gardło, wciąż musiała przelikać ślinę. Żartobliwa replika: „Ach, to dlatego? A ja myślałam, że jestem taka ważna dla przyszłości!” - nigdy nie została wypowiedziana.

On zmarszczył czoło.

- Co się stało, Indro? Wcale nie uważałem, że masz niewyparzony język.

Nie, bo przecież nigdy w ogóle nic o mnie nie uważałeś, pomyślała i nagle nie

była w stanie znieść tego dłużej. Zasłoniła twarz dłońmi i wbiegła do domu.

Ram stał przez moment, potem poprosił Reno, by zaczekał w ogrodzie, a sam poszedł za Indrą.

Skulona i drżąca siedziała w rogu kanapy, bez powodzenia starając się odzyskać panowanie nad sobą.

Ram usiadł obok niej, ale jej nie dotknął.

- Droga Indro - zaczął cicho. - Nie chciałem cię zranić. Chyba nie sądzisz, że uważam, iż jesteś pyskata?

- Och, nie o to chodzi! - wymknęło się jej. On wahał się trochę, zanim zapytał:

- A o co chodzi?

Indra głęboko wciągnęła powietrze. Musi sobie z tym poradzić.

- O nic - rzuciła lekko. - Tylko ten mały gad działa mi na nerwy.

- Chętnie w to wierzę.

- A to... to tylko taki nie mający znaczenia wybuch. Nic poważnego. Zresztą już mi przeszło. Patrzył na jej drżące dłonie.

- Nie - powiedział z wolna. - To było coś więcej. Powiedz mi, o co chodzi, możesz mieć do mnie zaufanie. Dbanie o wasze dobro jest moim obowiązkiem.

Wasze dobro? Och, ty nic nie wiesz! Nie siedź tak blisko mnie, nie zniosę tego, moje ręce tęsknią, by cię dotknąć, mam wrażenie, że coś we mnie zaraz pęknie, chcę znaleźć się przy tobie, blisko, bardzo blisko, ja...

- No, powiedz mi, Indro! Chcę wiedzieć. O, nie, tego nie chcesz. Umarłbyś!

Opanowała się i poszukała innej odpowiedzi, także prawdziwej:

- W swojej zarozumiałości uznałam, iż wybraliście mnie dlatego, że moja ironia mogłaby się na coś przydać - wyznała cicho, nie patrząc na niego. - Czułam się zaszczycona tym zadaniem. A tymczasem przydzielono mi je tylko dlatego, że... Umilkła. Głos odmawiał jej posłuszeństwa. Słowa „nie robiłam nic pożytecznego” uwięzły jej w gardle.

Ram bardzo długo siedział w milczeniu.

- Tak mi przykro, Indro - rzekł w końcu. - Zupełnie cię nie rozumiałem. Myślałem,

że nie potrafisz być poważna, myślałem, że żartujesz sobie ze wszystkiego i z wszystkich.

Wyciągnął do niej swoją kształtną dłoń i dotknął lekko jej policzka, jakby prosił o wybaczenie. Indra podskoczyła gwałtownie i odsunęła się. On natychmiast cofnął dłoń i wstał. W jego głosie słyszała wyraźną rezerwę, gdy kończył rozmowę:

- Zabieram ci czas. Najlepiej będzie chyba, jeśli zobaczymy, co robi mała bestia.

Po czym wyszedł z pokoju szybkim, zdecydowanym krokiem.

Indra siedziała jeszcze przez chwilę.

Czy ktoś potrafi bardziej niż ja skomplikować każdą sytuację? myślała załamana.

Teraz on oczywiście uznał, że jego życzliwy gest przyjęłam z niechęcią.

Jak zdołam mu wytłumaczyć, że to nie tak? Jak miałabym to zrobić, żeby on się nie domyślił, iż jestem chora z tęsknoty do niego?

To jeszcze gorsze niż sytuacja Eleny i Jaskariego! Mój problem jest dużo trudniejszy.

Ponieważ Ram jest Lemurem. A ja zwyczajnym człowiekiem.

Rozmyślenia przerwał jej zirytowany głos Reno. Chłopak stał w drzwiach.

- Czy nikt już się mną nie zajmuje? Czy muszę sam chodzić po moich służących?

Och, idź do diabła, ty mały arogancki sadysto, pomyślała Indra ze złością. Nie jestem twoją służącą i nigdy nią nie będę. Nie będę się już troszczyć o twoje wychowanie. Po pierwsze, moje wysiłki i tak są skazane na niepowodzenie, zwłaszcza że najpewniej masz złe geny, a po drugie, nikt nie wierzy, że jestem wystarczająco zdolna, by temu podolać. Zostałam wybrana wyłącznie dlatego, że nie było nikogo innego.

I nagle w duszy Indry pojawiło się nowe uczucie. Nigdy nie przypuszczała, że jest do tego zdolna. Zdecydowanie, świadomość celu, wyrażone słowami: "Ja wam jeszcze pokażę!"

Zaciśnie zęby i zrobi wszystko, by wychować Reno na przyzwoitego człowieka.

Nierealne zadanie. Ale właśnie dlatego Indra sobie z nim poradzi!

Ram wyszedł od Indry bardzo niespokojny.

Jak piękny nastrój, panujący między nimi, mógł zmienić się tak całkowicie?

Najpierw powiedział coś, co ją zraniło, potem okazała mu bardzo wyraźnie, że pragnie zachować między nimi dystans.

To sprawiło mu ból. Wiedział przecież, że wielu ludzi w Królestwie Światła uważa się za zbyt dobrych, by spotykać się z Lemurami, ale ze strony Indry tego się nie spodziewał. Nie Indra!

Na Święte Słońce, jakie to przykre uczucie!

Miał nadzieję, iż niebawem minie. Indra była zła, że zachował się wobec niej tak bezceremonialnie. Mimo wszystko to, że go odepchnęła, piekło niemiłosiernie.

W jaki sposób zdoła ponownie nawiązać z nią tamten piękny kontakt?

Nagle uświadomił sobie, że zapomniał o sprawie, dla której do niej poszedł.

Dlaczego chciał z nią rozmawiać. Owszem, oczywiście chciał zobaczyć, jak posuwają się prace z małym łobuzem, chociaż akurat tu nie liczył na zbyt wielkie sukcesy. Nigdy nie oczekiwał, że Indra zdoła się jakoś z tym chłopcem porozumieć.

Ale także pod tym względem popełniał błąd! Wzajemne zrozumienie, choć minimalne, zostało jednak zadzierzgnięte.

Znowu doznawał wyrzutów sumienia.

Poszedł tam, bo chciał opowiedzieć Indrze, że wszystko zostało już przygotowane i mogą wyruszać do Nowej Atlantydy. Ale nie wspomniał o tym ani słowem.

Ram przystanął.

Dlaczego miałby opowiadać o rym Indrze?

Znowu ruszył przed siebie.

Dlatego, że była z nimi za pierwszym razem, naturalnie, pomyślał trochę niepewnie.

Znowu przystanął pośród pięknych willi ukrytych we wspaniałej zieleni. Marco i Dolg wiedzieli, jak powinno wyglądać ich miasto, Saga. Zaplanowali prawdziwe cudo.

Z wahaniem wyjął telefon komórkowy. Czy nie za wcześnie, by do niej dzwonić? Może nie będzie chciała w ogóle mieć z nim do czynienia? Ale zachował się wobec niej nieładnie, nie chciał dłużej chodzić z tym obciążeniem.

Zanim zdążył się rozmyślić, "wybrał pośpiesznie numer. Ku swemu zdumieniu odkrył, że umie go na pamięć.

W jej głosie wyczuwał rezerwę.

- Indra? Mówi Ram. Ja...

Zdażył usłyszeć krótki jęk. Co to znaczy? Czy chciała odłożyć telefon? Nie, nie zrobiła tego.

- Ja... jest mi przykro z powodu tego, co się stało, Indro.

- Mnie też - zapewniła pośpiesznie.

Te słowa wytrąciły go z równowagi. Co to chciał powiedzieć? Znowu mu to umknęło. W końcu przystąpił prosto do rzeczy:

- Jesteśmy gotowi, by wyruszyć do Nowej Atlantydy. Właściwie przyszedłem do ciebie, żeby spytać, czy chciałabyś z nami pójść?

O, Święte Słońce, co on wygaduje? Nigdy nie zamierzał o tym mówić, tego rodzaju wyprawa może być zbyt niebezpieczna dla młodej dziewczyny. Skąd mu się wzięły te słowa? Ale trudno, już się stało, i nikt nie może tego cofnąć.

Na szczęście ona powie nie, boi się z pewnością, że on mógłby się znowu do niej zbliżyć. Żadnych intymności, nie, dziękuję, nie z Lemurem! Zabierz rękę z mojego policzka, to przecież niedawno dała mu wyraźnie do zrozumienia.

Kiedy nareszcie usłyszał odpowiedź Indry, jej głos brzmiał matowo:

- Czy naprawdę mogłabym pójść?

Ram stał bez ruchu. No i co teraz zrobić? Myśli tłukły mu się w głowie niczym ćmy.

Reno? Kto się nim zajmie? Och, zawsze ktoś się znajdzie.

Jak wytłumaczy swoim towarzyszom, dlaczego zabiera dziewczynę na wojenną wyprawę?

Jak zniesie jej rezerwę przez całą drogę?

"Czy naprawdę mogłabym pójść?" zapytała.

Mówił łagodnym tonem:

- Naturalnie! W przeciwnym razie bym nie pytał. Byłaś przecież z nami za pierwszym razem i może chciałabyś obserwować rozwój wydarzeń?

- Owszem, chętnie.

- Musisz jednak wiedzieć, że będzie niebezpiecznie. Teraz się roześmiała. Cicho, przekornie, jak to zwykła robić.

- Myślisz, że taka jestem strachliwa? Ram uśmiechnął się.

- Nie, wcale tak nie myślę. Zaraz zorganizuję opiekę dla Reno. Bądź gotowa jutro wczesnie rano, to zjawię się... to ktoś się zjawi, żeby cię zabrać.

Z uczuciem, że ogromny ciężar został zdjęty z jego ramion, Ram pośpieszył do swojej gondoli.

Indra odłożyła telefon z głębokim westchnieniem.

To może być niebezpieczna wyprawa, owszem, ale nie w taki sposób, jak on sądził. Indrze będzie strasznie trudno zachowywać się tak, by ukryć przed nim swoje uczucia.

Ale on poprosił, by wzięła udział w tej wyprawie! To przesądza wszystko.

Zastanawiała się, czy zrozumiał jej prośbę o wybaczenie. Czy pojął, że nie miała zamiaru odsuwać się od niego?

Nie wiedziała tego, a może nie nadarzyć się okazja, by wrócić znowu do tej sprawy. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że odsunęła się od niego ze strachu, iż on odkryje, jak jej ciało płonie z pożądania. Ze jego pieszczota mogłaby mieć katastrofalne następstwa. Gdyby wiedział, jak blisko była tego, by rzucić mu się w ramiona i zniszczyć wszystko... Tak, bo wtedy nastalby kres ich przyjaźni. Ale prosił ją, by wzięła udział w wyprawie!

Indra zastanawiała się, czy prosił o to więcej osób. Może Vidę, to akurat nie miało żadnego znaczenia, Indra nawet by się ucieszyła. Ale na przykład Oriana? Jego sekretarka? Czy ktoś potrzebuje sekretarki na wojennej wyprawie?

A tamta druga? Jego wielka miłość, której Indra szczerze nienawidziła.

Nieszczęsna kobieta. Ona przecież rzuciła Rama, więc Indra powinna być jej wdzięczna. Ale nie miało znaczenia, co ta kobieta sobie myśli. To uczucia Rama były dla Indry niczym ostry kolec raniący jej nieszczęsną duszę.

O, trzeba przestać o tym myśleć! Ram chce, by Indra towarzyszyła mu do Nowej Atlantydy, wszystko inne jest nieważne.

- Wyglądasz na okropnie zadowoloną - rzekł Reno cierpko. - Jak przejeżdżona krowa!

Indra nie słuchała go, przywykła do jego nieuprzejmości tak bardzo, że nie robiły na niej już żadnego wrażenia.

Zagryzła wargi. O czymś zapomniała. Czy teraz ona mogłaby zadzwonić do Rama? Czy nie wyda mu się zbyt natrętna? Ale przecież musi wiedzieć.

- Wejdz do domu i weź sobie ciastko - zaproponowała chłopcu, który natychmiast posłuchał. Minęły już czasy, kiedy domagał się podziwu i nieustannej obsługi z jej strony. Głupia Indra nie chciała zrozumieć, gdzie jest jej miejsce. Poza tym przywykła do utarczek słownych i do jego wyzwisk, nie stać go było na dalszą utratę prestiżu.

Gdy tylko zniknął, Indra zatelefonowała do Rama. Parę razy ze zdenerwowania wybrała niewłaściwy numer, w końcu jednak usłyszała spokojny głos. Musiała bardzo się starać, by jej własny głos brzmiał naturalnie.

- Hej, to znowu ja - rzekła pośpiesznie. - Wiesz, zapomniałam o ważnej sprawie. Jak się mam ubrać? Chodzić tam w białej draperii albo potykać się na wysokich obcasach?

- Nie, to nie jest konieczne - usłyszała i wyczuła, że Ram się uśmiecha. - Tym razem odkładamy na bok wszelką ceremonialność, teraz zabierzemy się do Jego Niepokalanej Wysokości poważnie. Włóż na siebie coś zwyczajnego!

- Z radością. Dziękuję ci bardzo, nie będę cię już niepokoić irracjonalnymi pytaniami.

- Było mi bardzo miło - zapewnił i rozmowa została zakończona.

Wróciła do wiecznych słownych potyczek z Reno, ale jej myśli błądziły gdzie



indziej. Po chwili znowu odezwał się telefon.

Tym razem nie było jednak powodu do przyśpieszonego bicia serca. Telefonował Oko Nocy. Indra uświadomiła to sobie z zaskoczeniem, młody Indianin nie zwykł do niej dzwonić często.

- Słyszę, że masz iść do Nowej Atlantydy.

- Pogłoski rozprzestrzeniają się przerażająco szybko - roześmiała się. - Tak, wybieram się. Dlaczego pytasz?

- Chciałem tylko powiedzieć, że mogę dotrzymać ci towarzystwa. Ja też tam wyruszam.

- To świetnie - powiedziała uradowana. - Dlaczego cię wybrano? Jako obserwatora?

- Coś w tym rodzaju. Armas i Jori też będą z nami, oni idą ze Strażnikiem Góry. Umówiłem się z Rokiem, że przyjdę do ciebie jutro wczesnie rano. W ten sposób on uniknie latania do dwóch domów. Może tak być?

Rok? Dlaczego nie Ram? Nie, nie należy żądać zbyt wiele!

- Wspaniale! bardzo się cieszę.

Okno Nocy roześmiał się. Był to bardzo powściągliwy śmiech, może tak niepoważne zachowanie nie przystoi indiańskim mężczyznom?

- Nie powinniśmy się cieszyć. Ale ja też się cieszę. Do zobaczenia!

Zanim Indra weszła do domu, by uratować resztę ciastek przed łakomym wychowankiem, stała przez chwilę i rozkoszowała się nastrojem oczekiwania, a jej twarz rozbłysła radością. Jutro, jutro! Co powinna na siebie włożyć?

Jeszcze tego wieczora miała nieoczekiwaną wizytę. Oriana.

Indra przestraszyła się trochę. Czyżby przystojna sekretarka Rama mimo wszystko miała z nimi pójść?

Ale nie, nic takiego jej nie grozi. Oriana wyjaśniła, że przysłał ją Ram. Dlaczego nie przyszedł sam? Ram prosił, by Oriana zapoznała Indrę z obowiązkami, jakie jej przypadną podczas wyprawy. Najwyraźniej tym razem zamierzał powierzyć

Indrze prawdziwie odpowiedzialne zajęcie.

- Ale ty sama się nie wybierasz? - zapytała Indra.

- Nie, dziękuję bardzo, nie zamierzam się wyprawić do tego kraju! Moje życie w świecie zewnętrznym było takie trudne i wypełnione tyloma nieprzyjemnościami, że unikam wszystkiego, co pachnie awanturą.

Bogu dzięki, pomyślała Indra.

- To co mam robić? Nie jestem zawodową sekretarką. W ogóle nie zdobyłam żadnego zawodu.

Nie, nie musi być sekretarką. Jej praca ma polegać na nagrywaniu wszystkiego, co zostanie powiedziane, na maleńki aparat, który Oriana przysłała zademonstrować. Indrze nie wolno go nikomu pokazywać.

No, chyba sobie z tym poradzi, chociaż jeśli chodzi o technikę, to jest pozbawiona jakichkolwiek talentów.

- A poza tym Ram chce, byś się trzymała w pobliżu mojego cudownego uzdrowiciela, Dolga. Przy nim będziesz bezpieczna. Twój kuzyn Marco może się znajdować zbyt blisko centrum wydarzeń.

Jako Włoszka Oriana mówiła "Dolgo", a nie "Dolg".

- To oni dwaj też z nami idą?

- Tak, jest sprawą niesłychanie ważną, by przewrót dokonał się pokojowo.

Bo to właśnie będzie przewrót. I Indra ma brać w nim udział.

- Czy będzie więcej kobiet? - zapytała obojętnym tonem. - Na przykład ktoś z ratusza czy coś takiego?

- Z ratusza? - rzekła Oriana zdumiona. - Nie, nie sędzę.

Więc Oriana nie zna tamtej starej historii. Nie opowiedział jej o tym, pomyślała Indra z ulgą.

Rozgorączkowana odprowadziła Orianę aż na rynek. Musiała zaczerpnąć trochę powietrza, nie była w stanie znieść samotnie swojej tęsknoty i rozczarowania.

W połowie drogi spotkały Joriego i Tsi, którzy wracali do domu, każdy do swojego, po kolejnej wycieczce gondolą. Wyprawa do Królestwa Ciemności najwyraźniej

nie ostudziła ich zainteresowania dla podniecających pojazdów.

Zatrzymali się wszyscy i rozmawiali przez chwilę. Jori był bardzo podekscytowany jutrzejszym dniem, natomiast Tsi-Tsungga opowiadał z pełnym żalu uśmiechem, że on musi zostać w domu, bo jest zbyt dziwny dla Atlantydów. Nie trzeba ich przecież śmiertelnie straszyć.

Podczas gdy Oriana rozmawiała z Jorim, Indra czuła na sobie spojrzenie Tsi. Gdy popatrzyła w jego zielone oczy, zarumieniła się gwałtownie.

On wie, pomyślała. On wie, że moje ciało płonie. Ponieważ sam boryka się z podobnymi problemami. Tsi-Tsungga, któremu nie wolno się z nikim kochać.

Niezauważalnie uniósł dwa palce i dotknął jej nagiego przedramienia. Indra miała wrażenie, jakby przez jej ciało przeniknął prąd o zbyt dużym napięciu, zauważyła, że Tsi zareagował w podobny sposób.

Jesteś nieodpowiednią osobą w nieodpowiednim czasie, Tsi, pomyślała.

Powinniśmy byli to zrobić już dawno temu. Zanim mnie ogarnęły te beznadziejne uczucia.

Pośpiesznie pożegnała się i pobiegła do domu.

To nieznośne, pojękiwała cicho. Już dłużej nie wytrzymam, muszę coś zrobić, by ugasić pożar mego ciała, muszę coś zrobić, zanim oszaleję.

Serce Indry tłukło się w piersi. Znajdowała się w lesie, w lesie Tsi-Tsunggi, gdzie nigdy przedtem nie udało się jej go spotkać.

Teraz odrzucała wszelkie moralne zastrzeżenia. Zawołała głośno jego imię i słyszała, jak echo przetacza się ponad górami.

I oto pojawił się Tsi. Stał, obejmując rękami pień drzewa, i patrzył na nią. Wokół nich rozciągał się zielony, piękny las, pachniało ciepłą ziemią i gnijącymi roślinami, co jeszcze pobudzało ich podniecenie.

Tsi wiedział, dlaczego ona tutaj przyszła, poznawała to po jego oczach, po jego powolnych ruchach.

Stała spokojnie.

Podszedł do niej, poczuła jego włosy na swoim policzku. Miała na sobie luźną

bluzę i jego brązowe ręce odbijały się mocno od bieli materiału, kiedy powoli wsuwał je pod ubranie i obejmował piersi dziewczyny.

Od jego dotyku przenikały ją fale gorąca. Twarz Tsi znajdowała się tak blisko, słyszała jego drżący oddech.

Indra wiedziała od swoich przyjaciółek, że Tsi skarżył się, iż one zawsze są zakochane w kim innym, a nie w nim, więc nie zdradziła ani słowem, że właściwie to nie jego pragnie, lecz innego. Nie mogła mu powiedzieć, że jest wyłącznie substytutem, że może spełnić tylko jedno z jej pragnień. Tsi-Tsungga oznaczał fizyczne zadowolenie, a tego właśnie potrzebowała teraz najbardziej.

Bał się, że zostanie odepchnięty, to by go upokorzyło. Nie bój się, leśny chłopcze, nie chcę ci zrobić nic złego. By go uspokoić, pogłaskała ręką gęste, zielone włosy i przytuliła się do niego bardzo ostrożnie. Tylko na tyle, by dać mu poznać, że nie ma się czego obawiać.

Spojrzała w dół na spodnie ze skóry, widziała, że coś się pod nimi pręży.

To rozpałiło ją tak bardzo, że z trudem łapała powietrze, nieznośny ogień palił ją dole brzucha tak, że musiała głośno krzyknąć...

I wtedy usiadła na łóżku, ciężko dysząc, przepełniona płomiennym pożądaniem i całkiem samotna w swojej sypialni.

To sen? Dzięki Bogu, że to tylko sen! Indra nie zniósłaby myśli, że zdradziła Rama i oszukała Tsi. Zresztą, zdradziła Rama?

On przecież nie miał najmniejszego pojęcia, jakie uczucia do niego żywi.

Lodowato zimny prysznic nie zdał się na nic. Później leżała długo, przewracała się z boku na bok, z całej siły zaciskała uda, aż w końcu wybrała frustrujący sposób samotnych kobiet. Potem, udręczona, zasnęła. Sny bywają często odbiciem naszych pragnień na jawie, tylko że z niewłaściwą osobą. Wtedy są bardzo irytujące, myślała, gdy następnego ranka obudziła się zmęczona z ciężką głową i obolałym ciałem.

Kolejny prysznic, umycie włosów i piękne, ale praktyczne ubranie poprawiły jej w końcu humor. Wybiera się przecież na spotkanie przygody!

Siedziała spokojnie, czekając na Oko Nocy i Roka. Miała dość czasu, by zastanowić się nad sytuacją.

Przypominała sobie rozmowę, której się kiedyś przysłuchiwała, rozmowę Strażnika Góry z księżną Theresą.

Zastanawiali się oni nad skutkami małżeństw zawieranych w Królestwie Światła pomiędzy przedstawicielami różnych gatunków.

"Akurat to stanowi duży problem - powiedział Strażnik Góry. - Nie pragniemy, aby Obcy i ludzie albo Lemurowie i Obcy lub Lemurowie i ludzie mieszały się między sobą. Ja sam wprawdzie złamałem tę regułę, na szczęście ze wspaniałym rezultatem, ale..."

"Syn mojej córki, Dolg, jest innym przykładem - powiedziała Theresa. - Jest przecież zarówno człowiekiem, jak i Lemurem, a proszę jaki udany!"

"Dolg jest czymś więcej niż tylko mieszańcem dwóch ras - odparł Strażnik Góry. - Więc on się nie liczy. Ale mamy również Tsi-Tsunggę, który jest w połowie duchem ziemi, w połowie Lemurem, mamy zresztą w kraju więcej istot łączących w sobie różne rasy. Wszystko jak dotychczas idzie dobrze, ale nie jest to zjawisko pożądane. Takie odmienne kultury! Indianie na przykład są bardzo przywiązani do swojej tradycji i stanowią wspólnotę, duchy ziemi natomiast odrzuciły Tsi-Tsunggę. Elfy nie mają prawa łączyć się z innymi. I nie samo to jest problemem, lecz to, iż ich dzieci mogłyby być uważane za mniej wartościowe".

"Nie myślałam, że w Królestwie Światła panuje takie nastawienie".

"Niestety - westchnął Strażnik Góry. - To naturalnie przede wszystkim w mieście nieprzystosowanych panuje najgorsza dyskryminacja, ale inni też nie są od niej wolni. Może czynią to nieświadomie, może nie chcą być rasistami, ale takie właśnie uczucia żywią. Armas mógł się o tym przekonać".

"Armas? On taki wspaniały i wartościowy?" "My też tak uważamy. Ale tak to jest".

Theresa siedziała przez jakiś czas pogrążona w myślach "Wiem o tym. Ja też wcale nie jestem wolna od różnych nieprzyjemnych uczuć. W świecie zewnętrznym, kiedy teraz o tym myślę, żywiłam awersję do określonych ras ludzi.

Nigdy się do tego nie przyznawałam, nawet sama przed sobą. Teraz jednak, kiedy minęło tyle czasu, łatwiej mi sobie to uświadomić". Strażnik Góry skinął głową.

"Tego rodzaju awersję żywi z pewnością większość z nas i nic nie można na to poradzić. Najważniejsze, byśmy nigdy nie pozwalali własnej nietolerancji wydobyć się na światło dzienne ani też nie zgodzili się działać według jej nakazów".

Indra zadrżała, przypominając sobie tamtą rozmowę. Zastanawiała się, czy Ram zna wątpliwości Obcych, jeśli chodzi o mieszanie się ras.

Rozumiała bardzo dobrze, że tutaj w Królestwie Światła jest to problem dużo poważniejszy niż w świecie zewnętrznym. Tam chodziło bowiem o odmienne rasy ludzi. Tutaj istnieją także inne gatunki. Nieludzie. Jak na przykład Obcy, istoty ziemi, elfy i istoty natury oraz Lemurowie.

Na szczęście usłyszała, że nadchodzi Oko Nocy, więc przestała zgłębiać zbyt trudne problemy.

Poprosiła go, by usiadł, i zaproponowała mu słodycze, które zawsze miała pod ręką. Podziękował, dopiero co zjadł śniadanie.

Oko Nocy należał do tych nielicznych w grupie przyjaciół, którym dorosłość nie dodała urody. Jako młody chłopiec był bardzo przystojny z tą ciemną skórą i czarnymi włosami oraz klasycznymi rysami. Teraz rysy stały się ostrzejsze, jak to bywa u części Indian. Twarz zrobiła się trochę zbyt kanciasta, harmonia uległa zburzeniu.

Ale to nie miało znaczenia. Wszyscy lubili Oko Nocy, lubili tę serdeczną surowość w jego oczach i poczucie bezpieczeństwa, jakie wokół siebie roztaczał.

Był ubrany tak, jak powinien się ubierać Indianin:

w miękkie skóry z frędzlami na ramionach, na plecach i przy spodniach, z barwnymi ozdobami i w mokasynach.

- Od dawna nie nosisz swojej pięknej przepaski na czoło - stwierdziła Indra zaskoczona. - Zmieniłeś też uczesanie. Czy to jakiś rytuał, czy...?

- Nie - uśmiechnął się do niej tak szeroko, że błysnęły silne zęby. - Mam ci wyjawić tajemnicę?

- Tak - potwierdziła Indra z zapalem. Oko Nocy mówił szeptem:  
- Przepaska była tak brudna i zniszczona, że mama musi mi utkać nową.  
Tymczasem nie pozwoliła mi dłużej nosić starej, więc obciąłem sobie włosy.  
- Jest ci w tym bardzo do twarzy - rzekła z uznaniem. - Dodaje ci chłopiękości. A jak tam nasze najmłodsze dziewczynki? Siska, Sassa i Berengaria. Nie widziałam ich od jakiegoś czasu.  
- Będziesz zaskoczona - mruknął i sprawiał wrażenie, że mówi ze smutkiem. - Berengaria zrobiła się strasznie dojrzała.  
Indra zrozumiała, co Oko Nocy ma na myśli. Koleżeństwo z czasów dzieciństwa zostało zagrożone.  
Impulsywnie położyła rękę na jego ramieniu.  
- Oko Nocy, mam problem, który bardzo chętnie przedyskutowałabym właśnie z tobą. Zdaje mi się, że oboje jedziemy na tym samym wózku...  
- Tak, o co chodzi, Indro?  
Indra głęboko wciągnęła powietrze i już miała zaczynać, ale właśnie wtedy przyszedł Rok.  
- Innym razem - rzekła cicho.  
- Tylko nie zapomnij - poprosił Oko Nocy. Obiecała, że będzie pamiętać, po czym oboje wyszli na dwór do Roka i jego gondoli.

15

Zdumiona Indra rozglądała się wokół po łąkach przed bramą do Przełęczu Wiatrów.  
Ile ludzi! To prawdziwa wojenna wyprawa, inwazja. Wszyscy jednak zapewniali, że krew nic może popłynąć, cały proces powinien się dokonać pokojowo.  
Trochę w to wątpiła.  
Pojęcia nie miała, że w Królestwie Światła jest tylu Strażników. Stali gotowi do drogi w licznej grupie, charakterystycznie ubrani. Nie chciała używać słowa "mundur", na to te ich ubrania były zbyt jasne, lekkie i delikatne, ale przecież wszystkie wyglądały dokładnie tak samo, więc pewnie określenie "mundur" byłoby

na miejscu. Czowała się odrobinę niepewna, ale zdawało jej się, że w oddali widzi też gromadkę duchów.

Po chwili zaskoczyła ją inna grupa. Najpierw nie mogła się zorientować, kim są ci ludzie, wkrótce jednak pojęła. To Atlantydzi, niedawni więźniowie, którzy teraz zostali uwolnieni i poddani działaniu światła Świętego Słońca. Dostrzegła Księcia Słońca i jego małżonkę. Pewnie nie należało określać ich jako młodych, wyglądali jednak na zdecydowanie młodszych, zdrowszych i silniejszych, niż kiedy widziała ich po raz ostatni. Byli też radośniejsi, pełni oczekiwań. Wszyscy Atlantydzi tak wyglądali. To ich wyprawa. Książę miał nadzieję, że ponownie przejmie kierowanie swoim nieszczęsnym krajem.

Minał już miesiąc od czasu, gdy przybyli do Królestwa Światła. Teraz, odzyskawszy siły, byli gotowi na wszystko.

- Wygląda na to, że dotychczas nikt nie odkrył, iż więźniowie uciekli z groty - powiedziała Indra do Roka, gdy wysiadali z gondoli.

- Nie, wtedy władcy Nowej Atlantydy zachowywaliby się zupełnie inaczej. Jednak żadne informacje tego rodzaju nim nadeszły.

W wyprawie uczestniczyło również kilkunastu Obcych. Indra dostrzegła Strażnika Góry i Strażnika Słońca, a także stanowczego Talornina. Teraz nadeszła pora zemsty za wszystkie upokorzenia, jakich doznał ze strony Przyjaciół Porządku. Pozostałych Obcych nie znała. Łatwo ich jednak było odróżnić od innych, a to dzięki wspaniałemu wzrostowi i niezwyklej powierzchowności. Już dawno odszukała wzrokiem Rama, który sprawiał wrażenie bardzo zajętego i nawet nie spojrział w jej stronę, gdy przybyli. Indra znalazła Dolga, stojącego razem ze swoim ojcem, Mórim, i Markiem.

- Hej, Indra! - zawołał Dolg przyjaźnie.

- Hej! Słyszę, że zgodziłeś się ciągnąć mnie za sobą. Postaram się być mała i niewidoczna, ale nie pozbędziesz się mnie.

Wszyscy trzej mężczyźni uśmiechali się. Indra zawsze czuła się świetnie w ich towarzystwie.



W tej samej chwili rozległ się sygnał i Ram z Rokiem otworzyli ledwo widoczną bramę.

Znowu trzeba będzie wejść w ten huczący kocioł pełen wichru, wody i ciemności, pomyślała Indra z cichutkim westchnieniem. Za nic na świecie jednak nie wyrzekłaby się udziału w tej wyprawie.

Najwidoczniej ekspedycja została starannie przygotowana, wszyscy znali teraz swoje miejsca. Indra szła krok w krok za Dolgiem, deptała mu czasem po piętach, przyspieszając w obawie, że mogłaby zostać w tyle. Nie zapalono ani jednej latarni, chodziło widocznie o to, by wejść do Nowej Atlantydy niepostrzeżenie. W czole pochodu pojawiły się jakieś problemy i wszyscy stanęli. Dolg i Indra znaleźli spokojną niszę, gdzie nie było słyhać tak bardzo huku wiatru i wzburzonej wody.

- Uff, to naprawdę męczące - rzekła otwarcie.

- Chyba nie aż tak jak twoja praca z Reno, prawda?

- Rzeczywiście, masz rację. Wolę wzburzone morze i sztormy niż tego małego nędznika.

Dolg uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

- Jesteśmy zmartwieni. Ram powiada, że dokonałaś cudów z tym chłopcem, ale to wciąż jeszcze za mało. Nie możemy brać ze sobą do Gór Czarnych takiego rozpuszczonego, aroganckiego bachora. Nie może się też znaleźć w pobliżu Słońca, które ze sobą weźmiemy, bo byłoby jeszcze gorzej, i mogę ci zagwarantować, że on nie podejdzie do jasnego źródła.

- Tylko Shira może to zrobić. I ty.

- Nie, nie - uśmiechnął się ze smutkiem. - Farangil w moich rękach unicestwił zbyt wiele ludzkich istnień.

- Ale to przecież było konieczne. Chodziło o naprawdę złych ludzi.

- Owszem, ale ja nie jestem już czysty. Tak, to była prawda.

- Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem Reno mógł zostać wybrany.

- Nikt z nas tego nie rozumie. Ale on ma wszelkie potrzebne znaki, które na to

wskazują. A poza tym jego charakter mógł zostać kompletnie wypaczony przez tych beznadziejnych starców i ich sługusów.

- Prawdopodobnie. Wiesz, Dolg, ja się naprawdę cieszę i myślę z satysfakcją, że te nadęte typy dowiedzą się nareszcie, gdzie jest ich miejsce.

Przed nimi rozległy się wołania. Pochód mógł ruszać dalej. Indra musiała teraz uważnie patrzeć pod nogi, tak że nie dostrzegała, co się dzieje dookoła niej.

Nagle odkryła, że idący przed nią Dolg stał się bardzo wysoki i nosi białe ubranie.

- Oj! - zawołała. - Dolg, kiedy ty się przemieniłeś w Rama?

Ram odwrócił się, a gdy zaczął mówić, usłyszała, że w jego głosie brzmi śmiech.

- Przed chwileczką. Wysłałem Dolga na przód pochodu, bo był tam potrzebny.

- Dolg był potrzebny? - podjęła Indra.

- Tak. A właściwie jego szafir.

- Och! To on go ze sobą ma?

-Tak.

Najwyraźniej Ram nie chciał roztrząsać tej kwestii. Indra zorientowała się, że Ram zaraz wróci na swoje dawne miejsce, więc rzekła pośpiesznie:

- Słyszałam, że Oriana jest twoją sekretarką. To naprawdę bardzo miłe.

- Tak, Oriana całkowicie poświęca się pracy.

- Oczywiście! Poza tym to bardzo sympatyczna dama. Tak, właśnie tak. To prawdziwa dama. Aż po koniuszki palców.

- Rzeczywiście.

Indra z trudem nadążała za Ramem, który szedł bardzo szybko.

- Jest też bardzo mądra - ciągnęła uparcie. - I inteligentna. Bo to są dwie różne sprawy, być mądrym, a być inteligentnym.

- Masz rację.

Czy on musi tak lecieć? Indrze coraz bardziej plątały się i myśli, i nogi.

- A poza tym świetnie wygląda.

- Nie da się zaprzeczyć.

Głos Indry zabrzmiał jeszcze żałośniej.

- Uważam, że ma też wspaniały charakter. Przyjazna dla wszystkich. Pełna wyrozumiałości. Ram przystanął.

- Czy ty masz zamiar mnie z nią żenić? - zapytał ze śmiechem.

Omali się nie zderzyli, Indra zatrzymała się w ostatniej chwili.

- Co? Nie, nie, naturalnie, że nie!

- Dziękuję ci bardzo!

Szli jeszcze kawałek, ale Indra nie była w stanie zachować milczenia.

- Tak, tak, bo przecież ona jest człowiekiem.

-Tak.

Indra znowu przystanęła, ale Ram tego nie zauważył. Szedł dalej i wkrótce pochłonęły go ciemności.

Co to była za odpowiedź? "Tak". Co to może znaczyć?

Że on chętnie by się ożenił z Oriana, gdyby pochodziła z rodu Lemurów? Albo też, że w ogóle nie chce żadnej kobiety z ludzkiego rodu? Może to ostrzeżenie dla Indry? Może on odkrył jej uwielbienie i w ten sposób dawał do zrozumienia, że nic z tego nie będzie? A ona chciała go też wypytać o kobietę z ratusza. Jakie zachował dla niej uczucia. Teraz jednak się nie odważy. Po tym jego krótkim "tak" nigdy się nie odważy.

Jak to możliwe, że takie maleńkie słówko może człowieka ugodzić tak boleśnie?

Przed nią znowu pojawił się Dolg, usłyszała jego łagodny głos:

- Hej, Indra, wybaczone, że cię zdradziłem. Ale jeden ze Strażników się skaleczył, a nie ma czasu na zakładanie opatrunków. Musiałem skorzystać z pomocy szafiru.

- Tak, on niewątpliwie działa znacznie szybciej - roześmiała się Indra nerwowo.

Bardzo chciała zapytać, czy Dolg ma też ze sobą farangil, bała się jednak odpowiedzi.

- Ram obiecał, że tymczasem się tobą zajmie. Był tutaj?

- Owszem, dziękuję bardzo, znajdowałam się w bezpiecznych rękach.

Bezpiecznych? Nigdy przecież nie była tak wzburzona, taka zdenerwowana, jak w obecności Rama. A poza tym dlaczego wszyscy nagle tak się nią zajmują?

Porusza się przecież o własnych siłach i nie ma sklerozy! Była też jednak odrobinę wzruszona. Wdzięczna za troskliwość, którą przede wszystkim okazywał jej Ram. W chwilę później znaleźli się w niewielkiej strefie bezpieczeństwa pomiędzy Przełęczą Wiatrów a Nową Atlantydą. Kiedy wszyscy tam weszli, zrobiło się ciasno.

-Jak oni zamierzają przedostać się przez ostatnią bramę? - mruknęła Indra do Dolga.

- No cóż, nie możemy zameldować swego przybycia - odparł. - I dlatego idzie z nami mój ojciec.

Móri... "Otwieracz zamków", jak go niekiedy nazywano. Indra słyszała od Dolga, że Móri nienawidzi otwierać zamków za pomocą run, bo akurat runę przeznaczoną do tego celu uważa za najpaskudniejszą. Indra długo chodziła za Dolgiem dręczona ciekawością, aż w końcu kiedyś bardzo niechętnie powiedział: "Dobrze, jeśli absolutnie musisz to wiedzieć, to ci powiem. Ale to nie jest przyjemne. Nawet ja nie używam tej runy".

"Powiedz! Moja ponura dusza cieszy się, słysząc makabryczne zaklęcia".

Dolg wtedy potrząsnął tylko głową. Po czym opowiedział jej o wszystkim, o wychudzonych końskich łbach, z których trzeba wydobyć krew, o sercu kruka i kruczym mózgu, zawartości męskiego brzucha i o tym, jak to wszystko trzeba suszyć, a potem zetrzeć na proch. Móri dostał potrzebne składniki od innego czarnoksiężnika na Islandii setki lat temu, bo sam nie chciał zabijać żywych stworzeń z powodu magicznych sztuczek. Tak przyrządzony proszek należy wdmuchnąć do wnętrza zamka, wygłaszając przy tym straszne zaklęcia. Dolg powtórzył je Indrze, a ona czuła się tak okropnie, że musiała poprosić, by przestał. Wtedy zrozumiała niechęć Móriego i po wszystkim przeproszała Dolga.

Teraz znowu Móri będzie musiał użyć tej runy. Nie było tylko żadnego zamka, w który miałby dmuchać, poprosił więc o pomoc Marca i połączywszy swoje ponadnaturalne siły, ruszyli obaj do ataku na bramę.

Trwało to bardzo niedługo. Wszyscy czekali cierpliwie. Wiedzieli, że jeśli

ktokolwiek potrafi otworzyć ten kodowany zamek, to właśnie oni dwaj.

Dolg zwrócił się do Indry.

- Ojciec bardzo tego nie lubi - powiedział ze smutkiem. - Robi to tylko w służbie dobra.

- Twój ojciec to wspaniały człowiek - potwierdziła Indra. - Jesteśmy mu winni wdzięczność za tak wiele pomocy.

Dolg z przyjemnością słuchał tych słów. Indra wiedziała, że na Ziemi Móri był prześladowany. Teraz on i jego żona, Tiril, żyją w spokoju. Pewnie właśnie dlatego Czarnoksiężnik nie lubi wracać do przeszłości.

Nagle zjawił się przy nich Ram. Indra starała się, by jej uśmiech był wesoły i naturalny.

- No i jak się czujesz, Indro?

Dziewczyna nic nie wiedziała o wewnętrznej walce, jaką musiał stoczyć, nim do niej podszedł. Było to trudniejsze, niż gdyby postanowił ją kompletnie ignorować.

- Ja się czuję znakomicie - odparła nienaturalnie wysokim głosem. - Dolg jest świetny jako nadzorca.

- Coś ty, Indra! - zawołał Dolg zaszokowany.

- Chciałam oczywiście powiedzieć obrońca, ty głuptasie!

- Musisz się przyzwyczaić do sposobu wyrażania się Indry, Dolg - roześmiał się Ram.

- Dziękuję, trochę już zrozumiałem - odparł Dolg sucho. - Mimo wszystko nie przestaje mnie ona szokować.

- I tak powinno być - rzekła na pozór lekko Indra. Ram ruszył dalej, a ona chciała za nim zawołać: "Poczekaj! Zostań ze mną, nie mogę żyć bez ciebie". Ale nie powiedziała nic.

Znowu wzbudził w niej to uczucie mrowienia w całym ciele. Ową niezaspokojoną potrzebę, a jednocześnie tęsknotę za tym, by być przy nim, oprzeć głowę na jego piersi niczym dziecko, szukające bezpieczeństwa u dorosłej osoby. Pragnienie, by coś dla niego znaczyć, być niczym spokojny port, w którym mógłby odpocząć,

marzenie o tym, by on w jej ramionach szukał ukojenia.

Boże drogi, a to co znowu? Czy właśnie takie uczucie nazywane bywa miłością?

Czy jest to tylko pożądanie? Zwyczajne działanie hormonów?

Och, gdybyż tak mogło być! Ale te uczucia to coś znacznie więcej.

Po raz pierwszy w życiu Indra kochała mężczyznę. Kochała wielką, prawdziwą i gorącą miłością.

Dla niego mogłaby zrobić wszystko. On jednak prawdopodobnie uważa, iż jakiegokolwiek zbliżenie między nimi jest niemożliwe. Ram jest wszak Lemurem, a ona tylko zwyczajnym, prostym człowiekiem.

16

Wszyscy znali swoje miejsca, wszyscy wiedzieli, co mają robić, gdy droga do Nowej Atlantydy stanęła przed nimi otworem.

Strażnicy weszli pierwsi. W kompletnej ciszy przekraczali bramę, rozchodzili się na boki i ukrywali się w krzewach żywopłotu wzdłuż muru.

Wieża na wzniesieniu pogrążona była w ciszy. W oddali majaczył biały, nie zamieszkały budynek. Nie spodziewano się ataku, uważano, że przecież nikt nie potrafi złamać kodu zamka przy bramie. Tak w każdym razie sądzili rządzący Nową Atlantydą.

A powinni byli wyciągnąć jakieś wnioski z poprzedniej wizyty!

Obcy przechodzili obok Indry, która czekała razem z Dolgiem i Atlantydami.

W którymś momencie pojawiły się duchy. O rany, ile ich jest! pomyślała Indra. Szły na końcu pochodu za innymi, więc nie mogła ich dokładnie zobaczyć. Dopiero teraz...

Duchy Ludzi Lodu. Witały się z nią i Dolgiem pośpiesznym uśmiechem i przechodziły dalej. Indra znała wszystkie duchy bardzo dobrze, chociaż nigdy nie nawiązała z nimi wartego wzmianki kontaktu. Tengel Dobry, Soi, Tarjei, Trond, Halkatla, Runę, Ulvhedin, Ingrid, Villemo, Dominik, Kolgrim, on też tu był, jak to miło! Dalej szli Heike i Vinga, Shira oraz Mar, Christa i Linde-Lou...

Christa i Linde-Lou? Oni też są w Królestwie Światła? I... razem z nimi dwoje

żyjących: Nataniel oraz Ellen. Tak, Nataniel, to całkiem naturalne. Nie było jednak ojca Indry, Gabriela, ani Mirandy i Gondagila. Z rodziny czarnoksiężnika był tylko Móri i Dolg oraz Jori. I jeszcze... tak, rzeczywiście Uriel szedł także, ów łagodny anioł, ojciec Joriego.

Przeszedł również Oko Nocy, który otrzymał rozkazy od Talornina, stojącego przy bramie.

Kolejna grupa duchów. Teraz szły duchy Móriego. Indra skłoniła się z szacunkiem Nauczycielowi i dawniejszemu Duchowi Utraconych Nadziei, który teraz przybrał po prostu imię Nadzieja. Dalej szedł Nidhogg, duchy Powietrze i Woda, Hraundrangi-Móri, Pustka, która okazała się pięknym młodzieńcem, i Cień, prowadzący ze sobą Zwierzę. A razem z nimi podążał Nero.

- Witaj, Nero - pozdrowiła go Indra, a Dolg poklepał starego przyjaciela po karku.

To rzeczywiście inwazja!

Nie było natomiast Tsi-Tsunggi, nie było elfów ani innych istot natury. Indra zapytała, dlaczego.

- Obcy nie odważyli się ich zabrać dlatego, że są nieobliczalni - odparł Dolg. - Mogliby zacząć działać na własną rękę, a do tego nie wolno dopuścić. Indra rozumiała to bardzo dobrze.

- A kto jest głównodowodzącym? - spytała.

- Strażnikami kieruje Ram. On jednak otrzymuje rozkazy od Talornina jako najwyższego tutaj przedstawiciela Obcych.

- Tutaj, powiadasz? A zatem są jeszcze wyżej postawieni?

- Z pewnością - odparł Dolg sucho.

Indra poczuła się odrobinę rozczarowana tym, że Ram zajmuje taką wysoką pozycję. Stawał się przez to jakby bardziej niedostępny.

Ale czy przedtem nie był? W jego świecie nie ma dla niej miejsca.

W końcu nadeszła ich kolej. Atlantydzi musieli jeszcze trochę poczekać. Nie chciano ich wystawiać na atak żołnierzy.

Indra znalazła się za bramą. Wtedy Ram dał jej znak, by ukryła się w żywopłocie,

a potem odszedł do ważniejszych zadań.

Dziewczyna ze zdumieniem rozglądała się dokoła. Nigdzie nie widziała żywej duszy z wyjątkiem Dolga. Gdzie się podziewają wszyscy ci, którzy tu weszli razem z nią?

- To chyba niezbyt mądre zakładać żywoptot pod samym murem przy bramie - szepnęła.

- Widocznie chodziło o symetrię - odrzekł Dolg złośliwie i oboje się uśmiechnęli. - Czekamy na Madragów. Ale to musi trochę potrwać, bo oni nie mogą wejść niezauważeni.

- Nie, nie, to prawda. Co oni będą tutaj robić?

- Wyłączą wszelkie techniczne urządzenia kontrolne - wyjaśnił Dolg szeptem.

Znowu podszedł do nich Ram. Indra starała się skupić nad swoim zadaniem w Nowej Atlantydzie, ale kręciło jej się w głowie, tak jakby miała zemdleć za każdym razem, gdy tylko znalazła się blisko niego.

- Idzie Oko Nocy - powiedziała cicho. - Zaraz się wszystkiego dowiemy.

Koło żywoptotu pojawili się młody Indianin i Talornin.

- Jak dotychczas sytuacja jest pod kontrolą - szepnął Oko Nocy. - Wszyscy zajęli wyznaczone miejsca. Duchy pracują już z mieszkańcami najbliższej wioski, niezauważone wchodzą do domów, by zorientować się, czy nie ma tam zwolenników rządu.

- A jeśli znajdą takich? - zapytała Indra.

- To wyeliminuje się ich z gry. Marco i ty, Dolg, musicie się nimi zająć, pograć ich we śnie.

- Gdzie są żołnierze? - spytała. Ram odpowiedział, patrząc na nią swoimi czarnymi oczyma:

- Żołnierze są wszędzie. Oni sprawiają najwięcej kłopotu, ponieważ nie wiemy, po której stronie stoją.

- To z pewnością indywidualne sprawy - rzekła Indra i sama zdumiała się, że doszła do takich mądrych wniosków.



- Oczywiście, naturalnie - przyznał, nie spuszczać z niej wzroku.

Sytuacja stawała się trudna. Ram w żadnym razie nie może odkryć, w jakim stanie znajduje się jej biedne serce. Powiedziała więc wesoło:

- Wszyscy wykonują tu jakieś zadania, tylko ja czuję się okropnie nieprzydatna.

Mimo wszystko mogę jednak zrobić coś pożytecznego...

- Co masz na myśli?

- Wydaje mi się, że nawiązałam bliski kontakt z tamtą kobietą, matką małego chłopca, pamiętacie? Wiem też, gdzie ona mieszka. Gdybym mogła ją odnaleźć, to może udzieliłaby nam potrzebnych informacji o żołnierzach i o innych mieszkańcach wsi...

Nagle cały zapal ją opuścił. Uznała, że jej słowa zabrzmiały głupio. Ale nawet wielki Talornin skinął głową.

- Znakomicie - pochwalił i Indra odzyskała poczucie własnej wartości. - Oko Nocy, pójdiesz z nią i będziesz uważał, żeby nie popsukała wszystkiego, pokazując się na otwartej ulicy.

Czy musiał to dodawać? Cóż, powinna się cieszyć każdym okrucieństwem życzliwości.

Przechodziła właśnie obok Rama i zanim zdążyła pomyśleć, jej prawa ręka dotknęła jego dłoni.

- Myśl o mnie! - poprosiła cichutko. Boże, co ona znowu zrobiła? Ale on skinął tylko głową z delikatnym uśmiechem.

- Będę myślał - obiecał szeptem. Indra kroczyła spokojnie za Okiem Nocy, ale serce mocno tłukło jej się w piersi. To był naprawdę piękny moment! Taki krótki, taki ulotny, ale pełen intensywnego poczucia wspólnoty.

Dolgi odszedł również, czekały na niego nowe zadania. Dwaj głównodowodzący stali jeszcze przez chwilę. Talornin w zamyśleniu spoglądał na Rama, który odprowadzał wzrokiem Indrę i Oko Nocy.

- Czy jest coś między tobą a tą dziewczyną z ludzkiego rodu?

Ram odwrócił wzrok. Był zaskoczony i nieprzyjemnie dotknięty.

- Co? Nie, oczywiście że nie! Pozwoliłem jej tylko wziąć udział w wyprawie,

ponieważ poprzednim razem okazała się bardzo przydatna. I w jakiś sposób odpowiadam za nią, przed jej ojcem...

Kolejne słowa Talornina padały wolno i z wahaniem:

- Tak, bo wiesz przecież, że sobie tego nie życzymy. Ze względu na ewentualne potomstwo.

Ram poczuł, że oblewa go fala gorąca. Co ten Obcy sobie wyobraża?

- O niczym takim w ogóle nie myślałem.

- No to jestem uspokojony.

Rozeszli się każdy w swoją stronę.

Ram jednak czuł się urażony i zirytowany. Jego ambicje i zapał wobec tego wielkiego zadania, jakim jest zreformowanie Nowej Atlantydy, nagle przestały się liczyć. Miał kłopoty ze skupieniem się nad tym, co robi.

I druga sprawa: jak Talornin mógł się zgodzić, by Indra poszła sama, tylko z Okiem Nocy jako ochroną, do tej obcej wsi?

Teraz jednak Ram nie mógł nic na to poradzić.

Indra bez trudu odnalazła dom, w którym mieszkała znajoma kobieta. Gospodyni wpuściła ich do środka, po czym starannie zamknęła drzwi.

- Jeszcze tu jesteście? - zapytała przestraszona.

- Nie jeszcze - odparła Indra. - Przyszliśmy znowu. Po czym wyjaśniła w krótkich słowach, co się zaraz stanie. Nie będzie żadnej okupacji, nie ma się czego obawiać, w ogóle nikt nie myśli o podbiciu Nowej Atlantydy, chodzi tylko o usunięcie tyranów i likwidację tego szaleństwa dotyczącego czystości. Czy kobieta mogłaby podać nazwiska ludzi wiernych rządowi, mieszkających w tutejszej wsi, i powiedzieć, czy gdzieś w pobliżu znajdują się żołnierze?

Gospodyni chętnie udzieliła informacji, a Oko Nocy przekazywał je przez telefon komórkowy do Marca i Móriego, którzy utrzymywali telepatyczny kontakt z duchami. Tamte zaś oddzielały ziarno od plewy, wyszukiwały "słusznie myślących bojowników czystości" i usypiały ich tak, by Marco i jego współpracownicy mogli później skierować ich myśli we właściwym kierunku.

Żołnierze zdaniem gospodyni przebywali w zachodniej części osady, tam znajdowały się ich koszary.

A to tylko jedna z wielu wsi, myślała Indra przygnębiona. Minie trochę czasu, zanim uporamy się ze wszystkim!

Ona jednak miała czasu pod dostatkiem. Byleby wolno jej było przebywać w pobliżu Rama!

Oko Nocy otrzymał wiadomość, że Strażnicy już wyruszyli w stronę wojskowych koszar. Czy on i Indra oraz ich młoda gospodyni nie mogliby rozprzestrzenić wiadomości we wsi, wśród ludzi, którzy cierpieli pod dyktaturą?

Oczywiście, że mogli. Przemykali się od domu do domu i prosili radośnie zaskoczonych mieszkańców, by przekazywali dobre wieści dalej. Tym sposobem szybciej załatwią sprawę.

Otrzymywali pomoc, o którą prosili. Mieszkańcy osady dzwonili do swoich znajomych z innych wsi, ale tylko do tych, do których mieli zaufanie. Tak zaczął się potajemny bunt. Wszystkich ostrzegano, by unikali żołnierzy i nie szukali zemsty.

- W którymś miejscu to musi zazgrzytać - rzekł Oko Nocy w zamyśleniu. - Ktoś przekaże ostrzeżenie niewłaściwej osobie. A wtedy znajdziemy się w nie lada kłopotach! Chodźcie, wrócimy do bazy, która najwyraźniej znajduje się w pustym domu na wzniesieniu niedaleko bramy w murze. A przy okazji chciałem powiedzieć, że przybyli Madragowie.

- Znakomicie! A żołnierze? Czy zostali unieszkodliwieni?

- Strażnicy zajęli koszary. Bez hałasu, bo wszystko zostało starannie zaplanowane. Żołnierze byli kompletnie nieprzygotowani i dali się zaskoczyć. Wielu z nich przeszło natychmiast na właściwą stronę. Jak się okazało, zostali wcieleni do wojska siłą.

- Ale nie wszyscy?

- Nie. Część miała przekleństwa na intruzów. Powiązano ich jednak i pozbawiono jakiegokolwiek możliwości zawiadomienia władz. Chodźcie, idziemy!

Wierzyli, że droga jest wolna. Mimo to bardzo ostrożnie przemykali się z powrotem do muru.

Widocznie jednak nie dość ostrożnie, bo nagle zostali zaskoczeni przez niewielką grupę żołnierzy, która najwyraźniej nie miała pojęcia, co się dzieje.

Było ich zaledwie czterech czy pięciu, Indrze jednak, kiedy leżała na ziemi tuż obok Oka Nocy wydawało się, że to cały batalion. Nad głową słyszała przekleństwa żołnierzy, którzy próbowali związać pojmanych.

Oko Nocy zdołał wydobyć swój telefon komórkowy i w rekordowym tempie wysłać wołanie o pomoc, określając dokładnie miejsce, w którym utknęli. Ram odpowiedział, że grupa strażników znajduje się w pobliżu, i zaraz przekazał im polecenie. Strażnicy przyszli rzeczywiście natychmiast, zanim żołnierze zdążyli zrobić cokolwiek poza związaniem Indrze rąk na plecach.

Ona nie zwracała uwagi na to, co się z nią działo. Jej uwagę pochłaniało coś zupełnie innego.

Wpatrywała się w Oko Nocy. Gdy Indianin leżał na plecach, zsunęła mu się na bok grzywka, i na czole, które zwykle było ukryte pod opaską, Indra dostrzegła znak.

Wrodzone znamię, przypominające promieniste, Święte Słońce.

Żołnierze zostali usunięci. Indra wstała, uwolniono jej rękę. Strażnicy pomogli też wstać Oku Nocy.

- Na co ty się tak patrzysz? - zapytał.

Indra wyciągnęła rękę i pogładziła go po czole.

- Stapia się to ze skórą - wyrzekła powoli. - Znak Reno miał wyczuwalne brzegi.

Nie zauważyła, że wszyscy Strażnicy im się przyglądają, nie dostrzegła też, że przyszli Ram z Talorninem.

- To jest prawdziwe wrodzone znamię - stwierdziła kompletnie zaskoczona. - Znak chłopca musiał zostać w jakiś sposób wypalony. Ale mimo to nic się nie zgadza!

W ogóle nic. Reno urodził się przecież właściwego dnia, a w żadnym razie nie można powiedzieć, że jesteście rówieśnikami.

Talornin mówił ochryplym głosem:

- Indianie! Trzymaliście to przez cały czas w tajemnicy, a my nie chcieliśmy się do was wtrącać.

- Ale wiek - upierała się Indra.

- Istnieje różnica czasów w Królestwie Światła i w Nowej Atlantydzie - wyjaśnił Ram. - Jeśli podzielić przez cztery... Nie, to się nie zgadza, Oko Nocy nie ma czterdziestu lat.

Indra zawołała podniecona:

- Ja przez cały czas podejrzewałam, że Reno nie może mieć dziesięciu. Wygląda najwyżej na sześć.

- Sześć razy cztery daje dwadzieścia cztery - rzekł Talornin wolno. - A ty masz właśnie tyle, prawda, Oko Nocy?

- Owszem.

- Jaka jest data twojego urodzenia? Oko Nocy odpowiedział.

- Oni nas oszukali! Chcieli dostać od nas zapłatę, chcieli triumfować! Ci starzy idioci zakpili sobie z nas - powiedział Talornin ze złością. - Moi przyjaciele!

Pochylcie głowy przed prawdziwym, właściwym wybranym, przed Okiem Nocy, synem Ptaka Burzy! Dzięki, Święte Słońce, że otrzymaliśmy tak godnego wybrańca!

Indra uważała, że wszystko jest nierzeczywiste. Światło, inne niż tamto w domu, w Królestwie, te znakomicie utrzymane uliczki i zdyscyplinowane drzewa. Domy niemal identyczne, nawet z takimi samymi ozdobami w oknach, jakby tu nikt nie miał prawa do własnego gustu, nierzeczywista wydawała jej się też stojąca tutaj grupa, zamarła w bezruchu niczym heroiczne rzeźby z byłego Związku Sowieckiego. Ram u jej boku, blisko, zbyt blisko, choć jeszcze dzieliła ich odległość co najmniej metra...

Wszyscy spoglądali na oszołomionego Oko Nocy.

- To teraz musisz nam wszystko opowiedzieć, chłopcze - rzekł Talornin spokojnie w swoim osobliwym języku Obcych.

- Cóż, nie ma zbyt wiele do opowiadania - rzekł chłopiec zakłopotany. - To znamię miałem od zawsze.

- Ale dlaczego nigdy nic nie mówiłeś? Nikt z was o niczym nie wspomniał.

- Nie, ponieważ mama nie chciała, żebym to znamię pokazywał innym. Uważała, że to kara za to, że nie urodziła mnie w wigwamie, który został temu celowi poświęcony. Ona jest wyjątkową osobą, moja matka - wyjaśnił Oko Nocy z lekkim uśmiechem. - Nie chciała mieć przy porodzie zbyt wielu widzów, więc poszła sobie do lasu. Ojciec jej na to pozwolił. Później oboje uważali, że postąpili niesłusznie. Ze moje czoło zostało przypalone przez Święte Słońce jako ostrzeżenie i za karę.

- Ale czy nikt z was nie wiedział, co to znamię oznacza? Ani że urodziłeś się we właściwym dniu? Oko Nocy sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Ja nigdy nie słyszałem o żadnym wybranym, dopiero teraz niedawno... Myślę, że nie wiedział tego nikt w Królestwie Światła, z wyjątkiem was i Strażników, którzy znali wszystkie znaki i w ogóle. W każdym razie nikt z naszego plemienia.

- Chcieliśmy okazać wam szacunek i nigdy nie pytaliśmy, czy nie ma wśród was wybranego - powiedział Talornin z nieprzyjemnym grymasem. Szybko się jednak opanował. - Ty i twoi rodzice będziecie musieli naturalnie przejść przez wszystkie pozostałe próby, zanim stwierdzimy, że to właśnie ty jesteś wybranym. Ale wcale w to nie wątpię.

- Nie musieliśmy odbywać tej idiotycznej wyprawy do Nowej Atlantydy - westchnęła Indra.

- Właściwie nie - przyznał Talornin jakby nieobecny. Patrzył wprost na nią, a Indra z trudem znosiła jego surowy wzrok. - Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, prawda?

- Wiem - odparła starając się, by jej głos nie zabrzmiał niepewnie, choć właśnie tak się czuła. - Może uda nam się przynajmniej uratować tutejszych mieszkańców.

- Jednak zawsze znajdą się tacy, którzy wpadną prosto w objęcia żołnierzy - rzekł Talornin przez zęby, a Indra pragnęła stać się jak najmniejsza, przemienić się w

maleńkiego mola, który odlatuje i staje się niewidzialny.

Aż do tej chwili inwazja dokonywała się w tajemnicy, a żołnierze, którzy zaskoczyli Indrę i Oko Nocy, zostali wywiezieni w miejsce, skąd nie mogli przekazać żadnej wiadomości.

Nadchodziły też informacje z innych wiosek. W wielu z nich mieszkańcy sami oddzielili popleczników władz od ludzi uczciwych. Bardzo im były w tym pomocne duchy Ludzi Lodu. Niektóre duchy, jak na przykład radosne więdmy: Soi, Ingrid oraz Halkatla, i chłopcy: Kolgrim, Trond oraz wielkolud Ulvhedin, poczynaly sobie tak okrutnie ze zwolennikami Jego Niepokalanej Wysokości, że w końcu Cień, który dowodził oddziałem duchów, musiał przywołać je do porządku.

Żywi mieszkańcy Królestwa Światła niekiedy miewali kłopoty z rozstrzygnięciem, na kim tak naprawdę można polegać. Niektórzy z udręczonych poddanych Niepokalanego bali się konsekwencji i pomagali bez specjalnego zapalu. Nawet jeśli teraz nie zamierzali donieść o tym, co się dzieje, mogli to zrobić w przyszłości pod presją wydarzeń.

Większość jednak wydawała radosne okrzyki wojenne, co dawało Strażnikom do myślenia. Jori i Armas musieli nawet powstrzymać jakiegoś starca, który zamierzał w pojedynkę rzucić się na podbój znenawidzonych wojskowych koszar w swojej wsi. Ze jest starcem, można było poznać po symbolach, jakie nosili wszyscy Atlantydzi, poza tym świadczył o tym jego wygląd. Strażnicy mieli mnóstwo pracy ze stłumieniem zapalu u młodych chłopców i dziewcząt ze wsi. W którymś miejscu trzeba było wezwać samego Księcia Słońca. Dopiero on zdołał ostudzić nawet najbardziej rozjuszonych. Radość z tego, że widzą starego władcę, wyciskała im łzy z oczu, Książę Słońca był legendą podobnie jak jego wspaniali współpracownicy, wciąż pamiętano czasy ich rządów w państwie, zanim fanatycy czystości uczynili życie obywateli Nowej Atlantydy trudnym do zniesienia. Książę Słońca unosił w geście błogosławieństwa ręce nad nieszczęsnymi mieszkańcami swego kraju, w jego roześmianych oczach ukazały się również łzy radości. To była wielka chwila w jego życiu.

Trzej Przyjaciele Porządku, którzy awansowali teraz do godności Bielszego, Najbielszego i Najbielszego ze Wszystkich, nie zdążyli jeszcze uzgodnić, kto ma zostać nowym Białym. A poza tym, kim właściwie był Bielszy, "bielszy niż..."? Doszło do wielu ostrych kłótni. Trzaskano drzwiami, raz nawet tak mocno, że kawałek tynku odpadł od ściany i dwaj pozostali starcy patrzyli zszokowani na nie mający sobie równych wandalizm. Jego Niepokalaność dowiedział się o nieszczęściu od swoich zaufanych sług, doznał prawdziwego wstrząsu i zrobił się chory na myśl o zeszpeconej ścianie. Nawet raz zwymiotował, a służący gorzko pożałował donosicielstwa. Bo to on musiał potem sprzątać. Na szczęście dla Najbielszego, który wywołał tę szkodę, Jego Niepokalaność nie był w stanie rozmawiać o tym natychmiast, więc straszny wandal został ukarany jedynie jego wyniosłym milczeniem.

Wszyscy trzej biali starcy pilnowali się nawzajem, obawiając się jakiegoś przewrotu. Żaden nowy Biały nie został wyznaczony, przynajmniej do dnia, w którym Królestwo Światła dokonało inwazji na Nową Atlantyde. Bardzo długo udało się utrzymać atak w tajemnicy. Czterej wielcy - Jego Niepokalana Wysokość oraz trzej wasale - czuli się bezpieczni, nie domyślali się żadnego zagrożenia. Z zadowoleniem oceniali stan państwa, cieszyli się, że udało im się pozbyć tego nieznośnego wybranego chłopca i z tego, że delegacja Królestwa Światła wróciła do domu, co prawda dość wzburzona - zupełnie niepotrzebnie i bez powodu. W każdym razie żadnych Obcych na Południu już nie było.

Znowu można było spokojnie zarządzać państwem.

W małej przygranicznej wiosce przybysze zaczęli się uspokajać po szoku, w jaki wprowadził ich Oko Nocy.

Wzrok Indry szukał wzroku Rama, ale on, wyprostowany, spoglądał w inną stronę. Twarz miał dużo surowszą niż kiedykolwiek przedtem, ale w jego zupełnie czarnych oczach kryło się coś jakby żal. Indra nie rozumiała tego, bo nawet jeśli



bardzo był wzburzony sensacją w związku z Okiem Nocy, to w jakiś sposób wyczuwała, że Ram zwraca się przeciwko niej.

Czym zawiniła, że wywołała tego rodzaju reakcję?

W chwilę potem napotkała wzrok Talornina i zaczęła się domyślać, o co chodzi.

We wzroku głównodowodzącego dostrzegła gniew i ostrzeżenie. "Trzymaj się z daleka od Rama", zdawało się mówić spojrzenie tego wysokiego Obcego, który nad nią górował.

Czy Ram również otrzymał takie ostrzeżenie?

To by wiele wyjaśniało.

Ale przecież Ram nigdy nie okazał większego zainteresowania Indrą? Życzliwy, troskliwy, owszem, ale tak odnosił się do wszystkich. Niekiedy nawet okazywał zniecierpliwienie właśnie jej.

Nie, wyobraża sobie zbyt wiele, nie można się kierować wyłącznie wyrazem twarzy innych. Powinna się bardziej skoncentrować na zadaniu, zamiast przeżywać swoje dość nieracjonalne zmartwienia.

Wyszli z małej wioski, którą uznali za oczyszczoną ze zwolenników białych.

Wszyscy zebrali się za wsią na łące i Indra ze zdumieniem stwierdziła, jak wielu ich tutaj jest. Wysłannicy Królestwa Światła stanowili ledwie małą część gromady. Widziała blade, wyniszczone twarze Atlantydwów, w których pojawiała się niepewna jeszcze nadzieja.

To się musi udać, myślała zmartwiona. Jeśli coś zepsujemy, będzie to szkoda nie do naprawienia.

Talornin odwołał Rama na bok.

- Myślałem o tym, o czym rozmawialiśmy. Nie wiem, czy to najważniejszy moment, by wracać do tego właśnie teraz, ale wiesz przecież, że Oliveiro da Silva cierpi na głęboką melancholię? Potrzebna mu jest kobieta, żona. Indra byłaby dla niego odpowiednią kandydatką. Porozmawiaj z nią o tym!

- Nie mogę. Już i tak wystarczająco ją zraniłem. .

- A czy to mogłoby ją zranić? Myślę o tym, byś ją poprosił o wypełnienie zadania,

to dla niej zaszczyt. Ona zupełnie nic nie robi. Przedstaw ich sobie nawzajem i postaraj się, by go trochę rozweseliła, a resztę zostawmy naturze. Poza tym uważam, że Indry nie można zranić. Ona jest odporna.

Ram czuł, że narasta w nim gniew. Był tak wstrząśnięty, że nie potrafił odpowiedzieć spokojnie. Dlatego milczał. Spojrzał na dziewczynę, która żartowała z Okiem Nocy i Dolgiem. Twarz miała pogodną jak zawsze, ale Rama nie dało się oszukać. Poznał już jej wrażliwość, która wzruszyła go do głębi.

- Pomyśl o tym - rzekł Talornin krótko. Ram skinął głową.

Aż do tej chwili nie spotkali w Nowej Atlantydzie żadnych zwierząt. Dlatego Indra i jej młodzi przyjaciele bardzo się zdumieli na widok mężczyzn ze wsi prowadzących kilka małych, silnie zbudowanych koni o wielkich głowach. Miały śliczne, lśniące oczy.

- Co to za rasa? - zapytała Rama, który akurat przechodził obok. - Skąd one się wzięły? Zatrzymał się i krótko wyjaśnił:

- Są tutaj od dawna, to konie spokrewnione z koniem Przewalskiego, uważanego za najstarszą rasę świata i przodka żyjących obecnie oswojonych koni. Jak te dostały się tutaj, nikt chyba nie pamięta, ale Atlantydzi, to znaczy nowi władcy państwa, ukradli je z Królestwa Światła, i nie chcieli oddać. Pilnowali ich żołnierze. Mężczyźni, którzy teraz prowadzili konie, musieli je zabrać z pustych koszar we wsi.

- Świetnie - odparła Indra. - Zasłużyły sobie na to. Czy możemy je wziąć do Królestwa Światła, kiedy będzie po wszystkim? Chętnie opiekowałabym się takim małym źrebakiem i rozpieszczała go.

- Zobaczymy, co się da zrobić - powiedział Ram z uśmiechem, który jednak nie rozjaśnił jego oczu. - Nie chcielibyśmy niczego zabierać tutejszej ludności, ale może zdołamy się tym i owym podzielić. Umiesz jeździć konno?

- Moje doświadczenie ogranicza się do jednego, mało eleganckiego upadku ze starego wałacha w szkole jeździeckiej. Podczas pierwszej lekcji. Później już więcej nie próbowałam. Ale chętnie znowu naraziłabym życie.

Ubóstwiam zwierzęta.

- Z takich jak te upadek nie jest zbyt straszny - odparł Ram i tym razem jego uśmiech był ciepły. - Teraz powinniśmy jednak sprawdzić, jak przedstawiają się możliwości transportu do stolicy. Na szczęście Atlantydzi naprawili jedyną gondolę w tym państwie i dzięki niej będziemy utrzymywać komunikację ze stolicą. Może mogłabyś pojechać?

- A ty? - zapytała spontanicznie i natychmiast tego pożałowała, bo zobaczyła smutek w jego oczach. Ram oświadczył:

- Oko Nocy, nie możemy ryzykować, że cię utracimy. Zostań tutaj razem z Indra, tu jesteś bezpieczny.

- Ale mówiłeś przecież... - zaczęła głęboko urażona, nie dokończyła jednak zdania. Czowała, że Talornin wciąż ich uważnie obserwuje. Zrozumiała.

Ale nie mogła ukryć rozczarowania. Młody Indianin również, widać to było na pierwszy rzut oka.

Uratował ich Dolg.

- Proszę, by wolno mi było zabrać dwoje moich przyjaciół - powiedział spokojnie. Talornin spojrzał na niego ostro.

- Dlaczego?

Dolg odrzekł tak samo łagodnie jak przedtem:

- Dlatego, że być może będę ich potrzebował.

- Indianina, owszem, ale dziewczynę?

- Indrę także.

Sprzeczką dobiegła końca. Dolg mówił z taką pewnością w głosie, że Talornin dał za wygraną. Mimo wszystko miał przed sobą znalazcę kamieni Świętego Słońca. Pana kamieni i wielkiego bohatera. Tylko jemu były posłuszne.

Dziękuję, Dolg, pomyślała Indra z ciepłem w sercu.

Nowe wiadomości docierały nieustannie poprzez ich własny system komunikacyjny, tutejszy Madragowie wyłączyli. Kolejno oczyszczali miasteczka i wsie z niepożądanych elementów: wiernych rządowi żołnierzy i obywateli. Nie

wszystkie meldunki przyjmowano z taką samą radością. Fakt, że akcja postępowała tak szybko, był w znacznej mierze zasługą duchów Ludzi Lodu i duchów Móriego, ale zabrały się one do dzieła z takim zapalem, że Cień musiał je powstrzymać. Najbardziej szalone z nich, wspierane przez Soi i Nidhogga, z premedytacją straszyły duże grupy żołnierzy w centralnych koszarach. Przybierały tak okropne postaci, że wielu żołnierzy narobiło ze strachu w spodnie.

Pożytek polegał na tym, że wiele duchów posiadało zdolność rozstrzygania, na których żołnierzach można polegać, a którzy są poplecznikami białych. Ci ostatni zostali osadzeni w aresztach, gdzie dotychczas przetrzymywali opozycjonistów. Trzeba było przed bramami więzień postawić wartowników, by nie dopuścić do linczu ze strony uwolnionej ludności.

Ram potrząsał z niepokojem głową, kiedy się o tym dowiedział.

- Okrucieństwo w każdej wojnie istnieje po obu stronach - powiedział.

- Oczywiście - potwierdziła Indra, siedząca na porośniętym trawą zboczu wzgórza i czekająca na transport. - Okrutni bywają i ci źli, i ci sympatyczni.

Ram spojrzał na nią w zamyśleniu. Już otworzył usta, by przedstawić jej życzenie Talornina, ale nie zdobył się na to. Tego rodzaju sprawy mogą poczekać, uznał.

Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie, i rzeczywiście tak było.

Czul się jednak paskudnie.

Talornin, wiecznie czujny, podszedł do nich.

- Będziemy czekać do brzasku - oznajmił krótko. -W godzinie wilka wszyscy są słabi i zapominają o wystawianiu wart. Wtedy wejdziemy do stolicy.

Poszedł sobie.

- Do brzasku? - powiedziała zdumiona Indra do Rama, zanim zdążył odejść w ślad za Talorninem. - Ależ będziemy czekać bardzo długo.

- Teraz jest noc. Popatrzyła zdumiona.

- Tak? No rzeczywiście, człowiek jest trochę oszołomiony.

Wiedziała jednak, że to nie czas snu jest powodem jej złego nastroju.

- Możesz się przespać parę godzin w tamtym budynku. To dawny szpital z

mnóstwem wolnych łózek. Tutejsza ludność nie miała prawa chorować.

- Zmienimy to - obiecała Indra.

Ram skinął głową, przygnębiony, i odszedł w końcu w swoją stronę. Odszukał najbliższego współpracownika i kolegę, Roka.

Teraz Rok otrzymał zadanie wyjaśnienia Indrze sprawy Oliveira da Silvy. Ram nie był w stanie tego zrobić. Wszedł nocą na szczyt wzniesienia i tam w spokoju próbował dojść sam z sobą do ładu. W jego duszy trwał niepokój, żeby nie powiedzieć chaos. Ram nie za-brnął jeszcze tak daleko jak Indra ani jeśli chodzi o uczucia, ani o świadomość, co się z nim dzieje. Był wzburzony, przygnębiony, niczego nie rozumiał. Pozwalał, by nocne powietrze chłodziło jego rozpalone policzki, wiele razy odetchnął głęboko, po czym zaczął rozmyślać o planach jutrzejszej walki, starając się zachować trzeźwy osąd.

Po dziesięciu minutach metoda zaczęła działać. Talornin, Rok i Oliveira da Silva niech sobie radzą sami.

Ale głęboko w sercu Rama wciąż tkwił niepokój i niezadowolenie z siebie. Atak na stolicę kraju nie wydawał mu się już taki ważny.

18

Na łąkach Rok podszedł do Indry, która uśmiechnęła się do niego radośnie.

Rozmawiali przez chwilę o tym i owym.

- Ach, prawda, Indro, byłbym zapomniał - rzucił Rok jakby mimochodem. - Kiedy wrócimy do Królestwa Światła, czeka cię nowe zadanie.

- Świetnie - rzekła, czekając na bliższe wyjaśnienia. - Mam nadzieję, że tym razem nie zostało mi ono przydzielone tylko dlatego, że jako jedyna włączę się bez zajęcia.

- Nie, nie - uśmiechnął się Rok. - Chcielibyśmy, żebyś ty, z twoim ciepłem i wyrozumiałością, a także poczuciem humoru, spróbowała tchnąć trochę radości życia w pewnego człowieka z Zachodnich Łąk. Obawiamy się, że jest on bliski załamania, świadczy o tym całe jego zachowanie.

- Może ma zatwardzenie - przerwała Indra złośliwie. Rok umilkł na chwilę, ale

zaraz podjął dzielnie:

- Obawiamy się nawet o jego życie.
- Ach, tak? A kto to jest, powiedz coś więcej!
- On się nazywa Oliveiro da Silva. Nie pojmujemy, co go gryzie. Ma wszystko, czego mógłby pragnąć.
- Z wyjątkiem żony - rzekła Indra cierpko.
- To prawda. Ale on też nie szuka żadnej żony...
- Kolejny przypadek typu Heinrich Reuss?
- Nie, to wykluczone, on ma normalne skłonności, jeśli w ogóle ma jakiegokolwiek. Nic go nie interesuje, niczego nie chce.
- I ja mam go ożywić? Chcecie, żeby się mną zainteresował? - zapytała Indra wprost.

Rok nie chciał mówić, że ich zamiary są dokładnie odwrotne: pragną, żeby to ona się nim zainteresowała. Zamiast tego oznajmił:

- Tak daleko w przyszłość nie wybiegamy. Chcemy tylko, żebyś stała się jego powiernicą. Żebyś wybadła, co go gnębi. I, jak powiedziałem, tchnęła w niego trochę radości życia, jeśli to możliwe.

Indra zastanawiała się.

- Najpierw najbardziej obrzydliwe, diabelskie dziecko na świecie, potem facet cierpiący na weltschmerz, w najgorszym razie borykający się z kłopotami trawiennymi. Czy raz nie mogłabym otrzymać jakiegoś porządnego zadania? Rok nie odpowiedział. Czekał.
- Mówisz "my" - rzekła Indra. - Co to za wy życzyście sobie, bym podejmowała się tych arcyprzyjemnych obowiązków?
- My, których troską jest dobro wszystkich mieszkańców kraju. Twoje również.
- A kim są ci, którzy tak szczerze pragną mego dobra? Uparta dziewczyna!
- Niektórzy Obcy. Niektórzy Strażnicy. Spora grupa. Jesteśmy zatroskani da Silva. Wymyka się nam spod kontroli.

Indra nie mogła zapytać wprost, czy Ram lub Talornin należą do tej grupy. Skinęła

głową i uśmiechnęła się bohatersko.

- All right. Otoczę tego Oliveiro ciepłem i macierzyńską troskliwością. Utonie w mojej serdeczności.

- Dziękuję, najwyższa pora na to - zakończył Rok z ulgą. - Myślę jednak, że powinienem już pójść.

Tak zwany szpital sprawiał wrażenie, jakby stał pusty i porzucony całymi latami, wskazywał na to zwłaszcza kompletny brak jakiegokolwiek aparatury. Chociaż tu i ówdzie dostrzegało się jakieś oznaki, że mimo wszystko korzystano z jego pomieszczeń, i to całkiem niedawno. Ale oznaki te nie budziły przyjemnych skojarzeń. Grube skórzane pasy do wiązania niepokornych pacjentów. Siady krwi na ścianach i suficie.

Indra została ulokowana w tym samym pokoju co Dolg i Oko Nocy oraz kilkoro najstarszych, szlachetnych Atlantydów. Jeden ze Strażników położył się tuż przy drzwiach, by trzymać straż.

Indra i Dolg leżeli, opierając się o siebie plecami. Musieli dzielić łóżko, ale Dolg uważany był powszechnie za młodzieńca absolutnie niegroźnego dla dziewczęcej cnoty. Leżeli na gołym materacu, czego Indra nienawidziła, budziło to w niej tę samą nerwowość, co w Taran sucha ziemia na palcach. Indra ściągnęła jakąś pelerynę Strażnika, wiszącą na oparciu krzesła, i okryła nią materac.

Odwróciła się na plecy.

- Dolg, śpisz?

On również leżał na plecach.

- Nie.

Rozmawiali szeptem, by nie przeszkadzać śpiącym dookoła.

- Dolg... wybaczysz mi bardzo osobiste pytanie? Spostrzegła, że tamten uśmiechnął się smutno.

- Czy mogą być jakieś osobiste pytania do mnie?

- Och, mnóstwo - szepnęła szczerze. - Nikt przecież nie jest tak wyjątkowy jak ty!

- Dziękuję, Indro, to najpiękniejszy komplement, jaki mogłem usłyszeć. Bo ja czuję

się tak, jakbym był cieniem. Ani ptak, ani ryba, ani nic pośrodku. Ale miałaś zadawać pytania, zniosę to cierpliwie.

Wahała się.

- To nie takie łatwe. I nie wolno ci się ze mnie śmiać. Zresztą, owszem, możesz się śmiać. Lepsze to niż gdybyś miał przyłożyć mi po głowie.

- Ani się nie będę śmiał, ani cię bił.

- Ani nie będziesz smutny - dokończyła Indra. Dolg wciągnął głęboko powietrze.

- Dolg, jak to jest, kiedy się jest mieszańcem człowieka i Lemura?

Pytanie zdumiało go. Milczał długo. Potem popatrzył na dziewczynę badawczo.

- Co ja mam odpowiedzieć? Przede wszystkim nie jestem mieszańcem we właściwym rozumieniu tego słowa.

- Wiem. Móri i Tiril są twoimi prawdziwymi, biologicznymi rodzicami, nie masz domieszki obcej krwi. To Cień dodał trochę krwi Lemurów do krwi twojego ojca, prawda?

- I nie tylko to. W tym napoju, który ojciec wypił, było jeszcze więcej składników. Skłoniono go do tego podstępem. Duchy też dodały swoje, jakieś zioła i nie wiem co jeszcze. Myślę, że dołączono też trochę cech Obcych. Najważniejsza jednak była krew Lemurów, tak.

Indra czekała. Nie odpowiedział jej jeszcze na główne pytanie.

- Nie mam pojęcia, co mógłbym ci powiedzieć, Indro. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Z powodów osobistych.

Znowu zaczął jej się uważnie przyglądać, a potem potrząsnął głową.

Indra wybuchnęła niecierpliwie:

- Chodzi mi o to, czy byłeś narażony na nieprzyjemności ze strony innych? Czy byłeś prześladowany, źle traktowany? Odrzucany? Nie, zresztą, zapomnij o tym ostatnim, odrzucany nigdy nie byłeś, wprost przeciwnie. Jesteś przecież Dolgiem. Bohaterem, którego wszyscy podziwiają. Ale czy byłeś w jakiś sposób prześladowany z powodu swego pochodzenia?



- Neeee - odparł przeciągle. - Chociaż tak, przez kilku nieuświadomionych mieszkańców miasta nieprzystosowanych. Ale właściwie to rzadko tam bywam.

- Więc nikt w Królestwie Światła nigdy nie robił żadnych złośliwych uwag pod twoim adresem, nikt cię nie zaczepiał?

- Nikt nigdy.

Indra odetchnęła tak gwałtownie, że Dolg domyślił się, jak bardzo była spięta.

- W porządku. To o co im właściwie chodzi?

- Teraz nie wiem, o kim mówisz.

- To w dalszym ciągu bardzo osobista sprawa. Dolg powiedział wolno:

- Indra, znalazłaś się w kłopotach?

- O co ci chodzi? - syknęła ze złością.

- Twoje pytania... na to wskazują.

Zrobiła się płomiennie czerwona. Dolg nigdy nie widział, by jej bladoczysta cera się rumieniła. Ale teraz tak właśnie było.

- Dolg, zapewniam cię! Odkąd przybyłam do Królestwa Światła, żyłam w cnocie aż do granic patosu. Potem westchnęła.

- Mam rzeczywiście bardzo trudny dylemat. Wyciągasz pośpieszne wnioski, ale Talornin i inni potężni mężowie wmawiają mi z uporem, że ktoś z rodu ludzkiego nie powinien się zakochiwać w Lemurze.

No więc zostało powiedziane. Odczuła to jako ulgę. Jej tajemnica będzie u Dolga bezpieczna.

- A ty się właśnie zakochałaś?

- Niestety tak. Bez pamięci.

Nastąpiło dłuższe milczenie. W końcu Dolg wypowiedział cudowne słowa:

- On także nie jest nie zainteresowany.

Indra zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała go z całych sił, wzruszona i pełna wdzięczności, chociaż jej zachowanie wprawiało go w zakłopotanie. Obcy ludzie nie rozpieszczali go takimi gestami.

Oboje mieli błyszczące oczy, oboje odczuwali ciche głębokie szczęście.

- Dolg, jeszcze jedno pytanie: kim jest Oliveiro da Silva?

Dolg szukał w pamięci.

- Słyszałem to nazwisko... To jakiś Hiszpan? Czy Portugalczyk, nazwisko na to wskazuje. Może pochodzi z Ameryki Południowej, tam jest wielu da Silva, co oznacza "z lasu". Określano tak przeważnie pochodzących z Afryki niewolników, którzy jeszcze nie posiadali nazwisk rodowych. W naszych czasach da Silva to bardzo szacowne miano, nosi je wiele znamienitych rodzin.

- Więc... On jest biały czy czarny?

- Trudno mi powiedzieć. Ach, owszem, już wiem! Spotkałem go kiedyś, jest urzędnikiem w jednym z deparlamentów. To bardzo urodziwy młody mężczyzna o zlocistobrazowej skórze, czarnych niczym węgiel włosach i ciemnych oczach tak, że trudno powiedzieć, jakie jest jego pochodzenie. To prawdopodobnie Kreol z afrykańską domieszką. Czy kolor skóry ma jakieś znaczenie?

- Dla mnie nie.

- Wiedziałem o tym. Tylko trudno pojąć, że taki urodziwy mężczyzna chodzi, jakby prosił o wybaczenie, że żyje. Trochę też irytujący jest sposób, w jaki stara się, że tak powiem, zniknąć w tłumie. Dlaczego o niego pytasz?

- Och...

Nic więcej Indra nie zdążyła powiedzieć, bo jakiś syczący głos zapytał, czy nie mogliby się w końcu uciszyć. Zamilkli z uczuciem winy i odwrócili się znowu do siebie plecami.

Indra poszukała dłoni Dolga i znalazła. Uścisnęła ją serdecznie, a on odwzajemnił uścisk. Oboje mieli nieczyste sumienie, ponieważ przeszkadzali innym.

Dziewczyna usłyszała jeszcze, że Dolg tłumi śmiech. Kochany Dolg, jaki to wspaniały przyjaciel!

Wielka grupa w milczeniu i z powagą przygotowywała się do wyprawy na stolicę wczesnym rankiem następnego dnia. Nikt nie mógł zobaczyć, jak wojownicy ruszają konno przez pola lub jadą gondolą, wysłano więc duchy, by im oczyściły drogę.

W pewnej chwili trzy wiedźmy: Soi, Ingrid i Halkatla, zobaczyły nieoczekiwanie trzech żołnierzy, którzy najwyraźniej wyprawiali się gdzieś wieczorem na własną rękę. Wiedźmy szybko ustaliły, że są to zwolennicy Jego Niepokalanej Wysokości, i w ich oczach pojawiły się diabelskie błyski.

Najpierw, niewidzialne, podkradły się do żołnierzy, którzy nieoczekiwanie poczuli jakby małe rączki, dotykające ich w najbardziej wrażliwym miejscu.

Mężczyźni spoglądali po sobie z poczuciem winy. Co to się dzieje, jak to możliwe, że mają takie przejmujące zwidy?

Kiedy jednak spostrzegli, że wszyscy trzej przeżywają to samo, jeden z nich powiedział:

- Co do cholery...? Słuchajcie, ja mam wzwód!

- Ja też - przyznał drugi. - I to straszny!

- Coś musi być w tutejszej atmosferze, ratunku, ja mu...

Przerwał i patrzył przed siebie. Na łagodnym zboczu przed nimi leżały trzy piękne kobiety o lśniących oczach i białej skórze.

Mężczyźni byli tak podnieceni, że nie mogli trzeźwo myśleć. Pośpiesznie zdarli z siebie bluzy i spodnie, a dziewczyny sprawiały wrażenie, że nie mają nic przeciwko miłosnym igraszkom.

Halkatla nie chciała zdradzać Run ego, odsunęła się więc na bok i niezauważalnie zamieniła miejscami z Tobbą, która pod wpływem Świętego Słońca stała się młodą piękną. Tobba, kiedyś naprawdę zła wiedźma, z latami złagodniała i nawet bywała "sympatyczna", jeśli tego chciała. Teraz na chwilę wróciła do dawnej natury.

Jej żołnierz był zbyt rozpalony, by zwrócić uwagę na tę nieoczekiwaną zamianę, a poza tym zbyt zajęty swoim przyrodzeniem. Z chętną pomocą wiedźmy udało mu się dotrzeć do celu i uważał, że znalazł się po prostu w raj. Rozlegające się nad zboczem jęki wskazywały, że kamraci doznają równie wspaniałych uniesień.

- Nie musimy ich mordować - mruknęła Ingrid.

- Nie, możemy dać im taką nauczkę, że nigdy tego nie zapomną - odparła Soi

równie cicho. Tobba zachichotała.

Tymczasem Halkatla zabrała ubrania żołnierzy i starannie je ukryła. Mężczyźni pracowali jak opętani. Nigdy nie mieli wspanialszych kobiet, byli wprost nienasyчени...

W końcu jednak siły zaczęły ich opuszczać. W żaden sposób nie mogli osiągnąć ostatecznej ekstazy, wciąż musieli powtarzać te same ruchy. Śmiertelnie utrudzeni, próbowali zrobić małą przerwę, ale okazało się to niemożliwe.

Wszystko przypominało szaleńczy taniec, do którego przygrywa sam szatan i nikt nie może przestać wirować. To tutaj było trochę innym rodzajem tańca, zaczynał się on w niebie, a kończył w piekle. Kobiety obracały ich na wszystkie strony, raz były na wierzchu, raz pod spodem, a mężczyźni nic nie mogli zrobić. Nie mieli już sił, wyglądali jak szmaciane kukły, ale ich biodra wciąż nieprzerwanie unosiły się i opadały. Wreszcie zaczęli krzyczeć z rozpacz i przerażenia.

- Bardzo przyjemne zadanie, muszę przyznać - powiedziała Soi do Ingrid.

- Owszem, ale na dłużej nudne.

- Oczywiście! Ci faceci nie mają żadnej fantazji.

- Kiepscy kochankowie - zdecydowała Tobba. - Czy myślicie, że mają już dość?

Popatrzyły na swoje ofiary. Żołnierze gotowi byli jednak protestować i twierdzić, że są najlepszymi kochankami na świecie, bo któryż mężczyzna tak nie uważa, ale nie byli w stanie wykrztusić ani słowa ze zmęczenia, chcieli po prostu przestać.

Jeden z nich całkiem opadł z sił, potem drugi, a w końcu i trzeci.

Wiedźmy wstały i zostawiły ich, leżących bez przytomności na trawie.

- Tak jak powiedziałaś, Tobba, marni kochankowie - rzekła Soi z lekkim obrzydzeniem.

Potem wygładziły spódnice i odleciały w swoją stronę. Ci żołnierze przez najbliższe dni nikomu nie zagrażają.

Droga dla buntowników stała otworem.

19

Indrze pozwolono jechać gondolą, tą starą, rozpadającą się, wciąż łataną i

naprawianą, która w końcu została pięknie odmalowana. Dziewczyna siedziała razem z Dolgiem i Okiem Nocy, którym teraz wszyscy się zajmowali. Młodzi zachwycali się małymi, szybkimi konikami, które niosły pełnych zapachu Atlantydwów z okolicznych wiosek. Indra machała im radośnie, kiedy przejeżdżali obok, a jeźdźcy odpowiadali jej tym samym.

Trójka przyjaciół nie zabrała się pierwszym kursem gondoli, ważniejsze było, by Strażnicy i Obcy jak najszybciej dotarli na miejsce i mogli skontrolować, czy wszystko jest w porządku.

Indra widziała również gromady ludzi, biegnących w kierunku stolicy. Wiedziała, że kraj został oczyszczony ze szkodliwych elementów. Zwolennicy białych zostali zamknięci w aresztach, by Marco, Uriel i Dolg mogli usunąć z ich umysłów wszelkie głupie myśli na temat terroru i fanatyzmu.

Och, gdyby tak na zewnętrznym świecie działali tego rodzaju czarodzieje, myślała. Iluż bezsensownym wojnom można by zapobiec w ten sposób? Ilu głupich dyktatorów można by było pozbawić władzy? Ile ludzkich istnień zostałoby oszczędzonych, ile beznadziejnych wojen religijnych by się nie rozpętało. Marco zdołałby pewnie obrzydzić im słowo "władza".

Nie, to zbyt wielkie wymagania...

W pewnym momencie jeden z Atlantydwów zwrócił uwagę Indry na jakichś ludzi leżących niedaleko drogi na ziemi. Jak się okazało, byli to trzej żołnierze, wszyscy w bardzo nieprzyzwoitych pozycjach, bez spodni, bezwstydnie obnażeni i najwyraźniej martwi.

- Co to jest, u licha! - wybuchnęła Indra. - Kto tutaj działał?

- Przecież nie mieliśmy mordować - rzekł Dolg. Atlantyda wyjaśnił:

- Oni nie są martwi, widziałem, że jeden z nich się poruszał. Ale ktoś musiał dać im porządną nauczkę!

- Duchy - mruknął Dolg. - Tutaj swoje obowiązki wypełniały Soi i jej koleżanki. To z pewnością ona odpowie za to tutaj, chociaż muszę przyznać, że pomysł nie jest głupi.

Dawno już minęli leżących, lecz ich obraz wciąż tkwił Indrze w pamięci. Dolg tylko rzucił na żołnierzy okiem i zaraz się odwrócił, ponieważ erotyka nie leżała w sferze jego zainteresowań. Może właśnie dlatego mógł tak swobodnie rozmawiać o tym, co się stało.

Szalona Soi, myślała Indra. Co oni właściwie zrobili, puszczać nie pilnowane przez nikogo duchy do Nowej Atlantydy? Jakie nieszczęścia mogą spowodować inne duchy?

Otrząsnęła się z rozmyślań i patrzyła teraz na piękny świat dokoła, w którym nic nie mogło rosnąć swobodnie. Patrzyła na wytyczone pod sznurek alejki, przy których drzewa zostały identycznie przyszczyżone, widziała pola, na których bruzdy wytyczano chyba przy użyciu linijki, i krawędzie rowów, z których usunięto wszelkie piękne chwasty, takie jak maki, kąkole i margerytki, i pomyślała o bujnej roślinności w Królestwie Światła, pokrywającej wszystkie rowy i zbocza. Z żalem pomyślała o straszliwych zniszczeniach, jakich dokonano w Nowej Atlantydzie. Wietrzyk wywołany pędem gondoli chłodził rozpalone czoło Indry. Dobrze jej robiły także myśli o kraju, który mieli wyzwolić. Jak dotychczas wszystko odbywało się bezboleśnie, nie polala się jeszcze krew, dokonujące się zmiany nie wzbudzały niczyjej uwagi. Wkład Madragów był nadzwyczajny, to oni wyeliminowali wszelkie możliwości porozumiewania się pomiędzy poszczególnymi miejscowościami. Indra nie widziała jeszcze niezdarnych, ale niezwykle serdecznych Madragów, wiedziała jednak, że tutaj są i pracują w ciszy.

Przyjemnie było myśleć o czym innym, wtedy tęsknota nie dokuczała jej tak bardzo. Tego ranka widziała Rama jedynie z daleka, i to przelotnie, dostrzegła jego dumną sylwetkę w otoczeniu Strażników, kiedy mieli ruszać w drogę. O ile wiedziała, on też nie szukał jej w tłumie.

Nie, zresztą dlaczego miałby to robić? Ona jest dla niego jedynie przeszkodą, czymś w rodzaju włosa w zupie.

Mimo wszystko próbowała sobie wyobrazić, że coś bardzo pięknego istnieje między nimi. Coś niewypowiedzianego, pozbawionego nazwy. Chociaż on

niczego takiego nie dawał jej do zrozumienia. Ale Dolg powiedział... Nie, Dolg się pomylił!

Niemal idealne miasto, jakim była stolica, mieniło się przed nimi jasną bielą. Indra zaczynała odczuwać treść. Teraz lub nigdy! Właściwie to najchętniej uniknęłyby ostatecznych rozrachunków z trzema białymi i obrzydliwym starym, którego nazywała Wyszorowaną do Czysta Wysokością.

Ale ludzka wieczna ciekawość i pragnienie przygód zwyciężyły również tym razem. A poza tym Indra miała do wypełnienia zadanie. Po kryjomu dotknęła palcami małego dyktafonu.

Podczas gdy sojusznicy w pałacu rozpoznawali teren, by się upewnić, czy nie zostali tam jeszcze jacyś ludzie wierni rządowi, którzy mogliby ich zaskoczyć i przed czasem ujawnić plany, "grupa szturmowa" czekała w bramie.

Nie było ich tu wielu, za to sami najpotężniejsi. Sześciu Strażników, wliczając w to Rama i Talornina, Strażnik Góry i Strażnik Słońca, Dolg, Marco i Móri. Dalej Nataniel, Oko Nocy i Indra, której pozwolono przyjechać dlatego, że Dolg o to prosił, i pewnie dlatego, że nie istniała właściwie możliwość ulokowania jej w innym miejscu.

Nie było ani Joriego, ani Armasa, oni z pozostałymi Strażnikami i pełnymi zapału duchami próbowali utrzymać gromadę żądnych zemsty obywateli z dala od pałacu. Z najdawniejszych Atlantydów przybył Książę Słońca z małżonką oraz ich najbliższa rodzina. Poproszono ich jednak, by czekali. Pierwsze uderzenie Talornin chciał wziąć na siebie.

Ram minął ją wraz z kilkoma Strażnikami, pozdrowił lekkim skinieniem głowy, bezosobowo i bez uśmiechu.

Indra czuła się dość żałośnie, zwłaszcza że wiele trudu kosztowało ją wynajdywanie replik na złośliwe komentarze Oka Nocy.

Rozglądała się wokół po pomieszczeniu, wspaniałym jak zresztą wszystko w tym pałacu. Znajdowali się w starej części gmachu. Nie było tu polerowanych marmurów, ściany zbudowano z tłuczonego kamienia.

Indra miała ze sobą swój mały aparat fotograficzny i robiła od czasu do czasu po kryjomu zdjęcia. Teraz sfotografowała groteskowy relief wysoko na ścianie nad portalem wiodącym do wewnętrznych części pałacu. Tamtych pomieszczeń nikt nie znał, nawet Księżę Słońca, ponieważ były zupełnie nowe.

- Oj, oj - szepnął Nataniel stojący u jej boku. - Indra, coś ty zrobiła?

Z poczuciem winy wsunęła aparat do kieszeni.

- Czy fotografowanie tutaj jest zakazane?

- Nie, ale zobacz, co to jest?

Kątem oka dostrzegła, że Ram się im przygląda i słucha rozmowy.

- Ten stary relief? - zapytała.

- Zobacz tylko, co przedstawia - uśmiechnął się Nataniel. - Takie obrazy wstrętnych czarownic nad portalami budynków nazywane były "kamieniami złego oka". Niekiedy też "czarownicą zamku". Dokładnie taki sam relief widziałem na Irlandii, w Kilkea Castle.

- Ale tu nie ma żadnej czarownicy, po prostu kilka postaci na...

Jej nieśmiały protest zgasł, kiedy przyjrzała się uważniej dziełu sztuki. To straszne. I tak ociekające erotyką, że przez chwilę nie mogła oderwać oczu od wizerunku.

Znajdowała się tam ludzka postać, z pewnością kobieca, bo mimo że paskudna twarz z wytrzeszczonymi oczyma ukryta była we włosach, to owa wstrętna figura miała piersi i jakiś kogut dziobał jedną z nich, jakby chciał wyssać z niej mleko. Wiedźma siedziała na kolanach innej istoty o ludzkim ciele, ale z wilczą głową z ogromnymi kłami. Istota owa skierowała fallus właśnie ku kobiecie. Obok niej stało stworzenie podobne do konia, a może do dużego psa, i wbijało zęby w jej plecy; również ta istota miała członek skierowany ku udom kobiety. Swobodna postawa czarownicy wyraźnie wskazywała, że nie chodzi tutaj o gwałt, raczej o radosne oczekiwanie.

Indra posłała Ramowi błyskawiczne zawstydzone spojrzenie. Na tysięczną część sekundy napotkała jego wzrok, bo on ją obserwował. Oboje równocześnie



popatrzyli w bok.

Odwróciła się na pięcie i poszła na drugi koniec pomieszczenia.

Co wiedziała o "złym oku"? Że trzeba było w jakiś sposób chronić przed nim wzrok. W krajach śródziemnomorskich wyciągano w Jego stronę palec wskazujący i mały palec niczym dwa rogi. W innych krajach... Tak, właśnie, wywieszano takie obrazy na zewnątrz domów i kościołów, tak że obraz odbijał złe spojrzenie, odsyłał je z powrotem do oka, z którego pochodziło i tym samym je unieszkodliwiał. Sądono bowiem, że złe jest przyciągane przez wstrętne. To niesprawiedliwe i głupie, ale tego rodzaju myśli ludziom zawsze przychodziły do głowy, zwłaszcza na obszarach śródziemnomorskich. Zło i brzydota to jedna i ta sama sprawa. Z tego powodu wielu ludzi musiało podwójnie cierpieć z powodu swojej nie całkiem doskonałej urody.

Wszystko to oczywiście stare przesady. Ale jednak... co się dzieje, gdy sfotografować taki wizerunek?

Prawdopodobnie nic. Dlaczego miałyby się coś dziać? Czują jednak podniecające mrowienie w ciele i musiała panować nad sobą, by już więcej nie spoglądać ani na relief, ani na Rama.

Na szczęście Talornin zarządził akcję. Wszystko było gotowe do ostatniej ofensywy.

Poprzedniego dnia Indra zapytała z irytacją, dlaczego po prostu nie wejdą do środka i nie zakomunikują starcom, iż teraz władzę przejmuje Księżę Słońca, a tamci powinni się wynieść, ale Rok odpowiedział, że to nie takie proste. Nie bez przyczyny biali starcy i ich wstrętny najwyższy władca. Jego Niepokalana Wysokość, zdołali tak długo utrzymać władzę. Mają oni swoje sposoby. A do wnętrza pałacu nikt się nie przedostanie.

Jakimi to sposobami rozporządzali starcy, Rok nie wyjaśnił.

Trzej biali zadowoleni z siebie panowie leżeli przy niskim stole nakrytym do śniadania, kiedy ich godzina wybiła. Jego Niepokalana Wysokość drzemał i o

niczym nie miał pojęcia.

Zaczął się od niepewnych szeptów.

Komendant żołnierzy stacjonujących najbliżej białego pałacu przyszedł na chwilę do starców i zameldował, że tu i ówdzie słyszy się pogłoski.

- Pogłoski, pogłoski, czym są pogłoski? - rzekł Najbielszy ze Wszystkich z irytacją, dziobiąc przy tym widelcem jedzenie, którego próbował już służący.

- Niczym - odpowiedział wysoki oficer nerwowo. Zaległa cisza. Sztućce białych stuknęły dyskretnie o talerze.

- No? - odezwał się Najbielszy ze Wszystkich, kiedy komendant miał już opuszczać salę jadalną. - Skąd pochodzą owe pogłoski? I czego dotyczą?

Naruszenia dyscypliny? Winnych surowo ukarać!

Oficer przystanął i wyjaśnił:

- To były... bardzo nieprzyjemne pogłoski, Wasza Wysokość. Mnie przekazała je żona, która dowiedziała się od swojej szwagierki, a ta z kolei od przyjaciółki z innego miasta. Tylko że rozmowa telefoniczna została nagle przerwana. Wygląda na to, że nasz system telekomunikacyjny przestał działać.

- Nonsens - prychnął Bielszy.

- Babskie gadanie - rzekł Najbielszy ze Wszystkich z najwyższą pogardą. - No dobrze. I co z tego wynika?

Był też mimo wszystko trochę ciekawy, ów Najbielszy ze Wszystkich. Dwaj pozostali ułożyli jedzenie na talerzu w ozdobne desenie i symetryczne wzory, z pozoru nie zainteresowani, lecz wyciągali szyje i uszy, które były teraz wielkie niczym teleskopy.

Oficer powiedział:

- Że... że jakaś obca siła uwięziła niektórych obywateli. Wszyscy ci obywatele należą do najwierniejszych Waszym Wysokościom. Tak, to rzeczywiście śmieszna pogłoska, ale...

Najbielszy ze Wszystkich patrzył na niego z niesmakiem. „

- Obca siła? - rzekł z wolna. - Czy znajduje się tutaj jakaś obca siła? Któż to może

być? Królestwo Światła nie ma w ogóle sił zbrojnych, to zdegenerowani maniacy pokoju. W ogóle nie posiadają żadnej siły. A z zewnątrz, z Królestwa Ciemności? Nikt by się tu nie przedostał.

- Ja tylko przekazuję pogłoski, Wasza Wysokość.

- Daj temu spokój! Przynajmniej podczas śniadania. To twoje głupie gadanie całkiem odebrało mi apetyt! Najbielszy zwrócił się cicho do komendanta:

- Zbadaj to wszystko dokładnie! I powiedz mi, co się dzieje. Mogę w każdej chwili przejąć dowodzenie.

Na te słowa dwaj pozostali biali rzucili się na niego z wymówkami. Cóż on sobie myśli? Czy zamierza przejąć władzę? Oni mają przecież takie same kwalifikacje! Taka była sytuacja, w głębi pałacu, gdy w jego najświętszych pomieszczeniach, do których nikt niepowołany nie mógł wejść, rozległ się dzwonek alarmowy.

Wszyscy wielcy mężowie podskoczyli.

- Co to jest, co to jest? - gdakali.

Wszedł teraz do sali jadalnej służący z wewnętrznych pomieszczeń. Był trupio blady, po twarzy spływał mu pot.

- Do naszego miasta zbliża się ogromny tłum ludzi, są już bardzo blisko. To nasz własny naród! Zdrajcy!

- Ale gdzie są żołnierze? - wrzasnął histerycznie Bielszy.

- Albo zostali wzięci do niewoli, albo zdezerterowali - szepnął służący bezbarwnym głosem. - Zostaliśmy pozbawieni obrony.

- Ależ mamy obronę - rzekł Bielszy i ze złością wymierzył służącemu policzek. - Tutaj w pałacu. A jeśli naród nie ma obrony, to tym gorzej dla niego, najważniejsze, że my, jego przywódcy, jesteśmy chronieni.

Bielszy zapomniał, że naród nie potrzebuje żadnej ochrony. Bo to właśnie sam naród atakuje swoich niespecjalnie kochanych przywódców.

Jego Niepokalana Wysokość obudził się na dźwięk dzwonek alarmowych.

Usiadł na posłaniu, nie mógł znaleźć swoich zębów i zaczął wściekle dzwonić na pielęgniarki.

Bez tych prymitywnych wyjmowanych zębów ów Stary człowiek wyglądał na tyle lat, ile w rzeczywistości miał. Pielęgniarki się nie pojawiły.

Dowiedziały się o buncie i przyłączyły do niego, podobnie jak większość tyranizowanych sług z otoczenia Jego Wypielęgnowanej Wysokości. Reszta uciekła i ukryła się.

Trzej biali byli lepiej chronieni. Każdy z nich miał własną ochronę złożoną z ludzi pełnych nadziei na uzyskanie pozycji Białego.

Poprzedni Najbielszy ze Wszystkich dawno został zapomniany. Tutaj nikt nie tracił czasu na sentymenty, tutaj chodziło o to, by jak najszybciej paść się w górę. Choćby i po trupach.

Teraz do sali wemknęła się gwardia osobista Białych, niektórzy dlatego, by okazać swoją niezłomną lojalność, inni szukali u Wszechmocnych schronienia.

Wiernych było nie więcej niż ośmiu, wszyscy uzbrojeni po zęby, każdy przepełniony nadzieją, że zostanie kolejnym Białym. Ta pozycja bowiem niosła ze sobą ogromne przywileje, pominąwszy już, że człowiek ją zajmujący mógł rządzić poddanymi jak chciał.

Stali teraz na baczność przed swoimi trzema panami w tak równym szeregu, jakby ich palce dotykały niewidzialnej linijki, nieustraszeni i w bezpiecznym przekonaniu, że Biali są niezastąpieni i że posiadają swoje tajemnicze sposoby. Patrzyli dobroczyńcom w oczy i czekali na upragnione słowa: "Niniejszym mianuję cię na nowego Białego, bowiem twoja lojalność jest bezgraniczna". (A twoja zdolność do intryg jeszcze większa).

Ale żadne tego rodzaju słowa nie padły. Trzej starcy mieli dość kłopotu ze sprawą własnego bezpieczeństwa.

- Chrońcie nas! - zawołał Najbielszy. - Nie stójcie tak i nie gapcie się na nas! Czy nasi zaufani pozamykali wszystkie bramy?

Dwóch członków ochrony natychmiast ruszyło z miejsca, by wypełnić rozkaz, bowiem żadnych wiernych sług już w pałacu nie było.

Zaczęli jednak działać za późno. Intruzi znajdowali się już w gmachu i nie byli to

żadni udręczeni poddani, których łatwo można złamać. Przybyli wysłannicy Królestwa Światła.

A na zewnątrz czekał przerażająco wielki tłum ludzi, których Strażnicy z największym trudem powstrzymywali przed atakiem na pałac.

20

Przybysze nie przejmowali się trzema białymi starcami. Szli wprost na wieżę. Do tego starego, odpowiedzialnego za wszelkie zło w kraju. Tam również nie było już nikogo lojalnego, weszli więc bez przeszkód. Starzec skulił się, ale ponieważ nie wiedział o masowej dezercji, zaczął wykrzykiwać:

- Ach, tak, Talornin, ty podstępny Obcy, ważyłeś się znowu wejść do mego królestwa? Nie pamiętasz, jak się to dla ciebie skończyło ostatnim razem? Moi wierni wasale przegonili cię kijami i wyrzucili z Nowej Atlantydy.

- Wówczas chodziło raczej o sprawy kultury - odparł Talornin krótko. - Nie chciałem zachowywać się nieprzyzwoicie w obcym kraju. Mogłem cię zmiażdżyć już wtedy, ale to by było poniżej mojej godności.

- Nie możesz mnie pokonać. Ja jestem Bogiem! Talornin wodził wzrokiem ponad czołem Jego Niepokalanej Wysokości, przyglądał się starcowi od głów do stóp, poprzez powyginane, drżące kolana do kosmyków włosów w nosie oraz na czaszce, po czym powiedział chłodno:

- Nie zgrywaj się! Teraz moja cierpliwość została wyczerpana. Jeśli opuścisz dobrowolnie ten pałac i oddasz go Księżu Słońca, to nie zrobimy nic ani tobie, ani tobie podobnym.

- Nie istnieje już żaden Księżu Słońca, nie liczy się nikt oprócz mnie! A ty nie masz prawa o niczym decydować w moim państwie!

- Nie, właściwie nie. Skoro jednak naród cierpi, to pora się wtrącić.

- Cierpi? Naród? A co to ma do rzeczy?

- Wszystko!

- Talornin, ty chcesz okupować mój kraj? Ale to... Talornin podniósł ostrzegawczo dłoń.

**157**

- Nie będziemy okupować żadnego kraju. Przyszliśmy tu, by usunąć niegodnych przywódców.

- Ach, tak? Kogóż to?

- Ciebie, na przykład. I tych twoich trzech popleczników w idealnie czystych ubraniach. Biali na zewnątrz, czarni w środku. Już wystarczająco długo robiliście z tym krajem, co się wam podobało.

- Robiliśmy, co nam się podobało? - zaskrzeczał starzec. - Czy nie widzieliście, jaki to piękny i znakomicie utrzymany kraj? A ty pewnie zamierzasz osadzić tu jednego z twoich kompanów jako przywódcę, prawda? Może Rama?

- Nikogo nie chcę osadzać - odparł Talornin spokojnie. - My nie dokonujemy podboju. A teraz włóż zęby i przyjmij prawowitego wodza Nowej Atlantydy.

- Kto by to miał być? Chyba nie ten niewychowany chłopak, Reno?

Talornin nie odpowiedział, uczynił tylko ruch ręką i Rok otworzył tylne drzwi. Do wnętrza wszedł Książę Słońca i jego rodzina.

W końcu Jego Niepokalana Wysokość zaczął się domyślać, że sprawa jest poważna. Przerażony spoglądał na Księcia Słońca.

- Nie! Nie - jęknął. - Wy jesteście martwi! Wy nie istniejecie, ukryliśmy was daleko stąd, po prostu łżecie! Książę Słońca zachowywał się z godnością.

- Wiemy, że to nie ty polecieś, by dawano nam trochę jedzenia, była to nędzna strawa, ale ten, kto ją nam podawał, nosił w sercu jakiś rodzaj miłosierdzia. Ta młoda dziewczyna tutaj, Indra, odnalazła nas, uratowała i znaleźliśmy się w Królestwie Światła, gdzie mogliśmy odzyskać siły. Jestem gotów przejąć moją dawną pozycję wodza Nowej Atlantydy.

Niepokalaność, śmiertelnie przerażony, cofnął się krok czy dwa i chwycił jakąś prymitywną rurę, która najwyraźniej łączyła go z salami białych.

- Najbielszy ze Wszystkich! Najbielszy i Bielszy! Brońcie mnie, czas uderzać!

W murze odezwał się ochryply, metaliczny głos:

- Jesteśmy gotowi, o Władco z łaski Słońca! Nagle w pałacu rozległy się jakieś stukoty i wszystkie otwory okienne zostały hermetycznie zamknięte. W pokoju

zapanował mrok. Zapalono lampy.

W tej samej chwili wkroczyli Marco, Uriel, Móri i Dolg. Jego Wyszorowana do Czysta Mość wrzasnął piskliwie na ich widok, wiedział, co oni mogą zrobić.

Miał jednak w pogotowiu środki zaradcze.

- Trzymam teraz rękę na dźwigni - krzyknął. - Jeden ruch w moją stronę i nacisnę. Potem ulotni się trujący gaz, który może uśmiercić całą ludność miasta. Z wyjątkiem nas w pałacu, naturalnie, my musimy się przecież ochraniać.

Wszyscy stali przez chwilę bez ruchu, zaskoczeni takim obrotem sprawy. Talornin przeklinał sam siebie, że jednocześnie nie zajęli się trzema białymi pomocnikami starca, ale teraz było już za późno na żale. Gorączkowo poszukiwał jakiegoś wyjścia.

- Wy nie możecie zabijać, wiem o tym - wył starzec. - Ten wasz głupi kodeks moralny, teraz sobie tu posiedzicie! A poza tym ja jestem nieśmiertelny.

- To prawda, że nie mordujemy - odparł Talornin spokojnie, by zyskać na czasie. - Ale kim zamierzasz rządzić, skoro wszyscy ludzie uciekli?

- Nie są mi potrzebni. Wystarczy nas, mieszkających w pałacu. Stworzymy nowe dynastie.

- Nie wydaje mi się - powiedział Talornin ze złowieszczym błyskiem w oku, patrząc na żalospną postać przed sobą. - A poza tym gdzie są kobiety? Ucieszyły się bardzo, że nie będą już musiały się tobą zajmować, przeszły na stronę buntowników.

Talornin był zmartwiony. Świadomie zdecydowali, że czerwony farangil zostanie w domu, mógłby ich kusić w trudnych momentach, kto wie, czy nie skierowaliby go na tych nędzników. Marco nie zabija, o tym Talornin wiedział, nie ma na to ani ochoty, ani dość magicznej siły.

Zaległa dzwoniąca w uszach cisza. I nagle Indra zaszokowała wszystkich swoim zachowaniem.

Najpierw zaczęła pociągać nosem niczym charczący dziad, potem długo gromadziła ślinę w ustach, wreszcie podeszła krok do przodu i splunęła prosto na

Jego Niepokalaność.

Z wyciem oburzenia i obrzydzenia stary zasłonił twarz rękami, puszczając tym samym dźwignię. Ram niczym błyskawica doskoczył do niego i uderzył go w głowę, a potem Strażnicy rzucili się na starca i związali go.

- Przepraszam - mruknęła Indra w powietrze.

- Powinniśmy ci dziękować, a nie wybaczać - odparł Talornin trzeźwo. - Teraz wiem, dlaczego Dolg chciał, byśmy cię zabrali.

- Co my z nim zrobimy? - zapytał Marco krótko.

- Pozwólcie, że teraz my się nim zajmujemy- odparł Talornin.

A kiedy wszyscy spojrzeli na niego przerażeni, dodał sucho:

- Nie zamordujemy go.

Z jakiegoś powodu jego słowa nie uspokoiły zebranych.

Nataniel zdążył już ująć w dłonie rurę łączącą to pomieszczenie z salą białych, by trzej pozostali mogli się dowiedzieć, jak skończył Jego Niepokalana Wysokość.

Indra drżała na całym ciele, działo się zbyt wiele, wypadki następowały po sobie zbyt szybko. Myślała intensywnie nad tym, co powiedział Talornin. Czy miał na myśli sąd? Raczej w to nie wierzyła. Słyszeli jakieś wzmianki o innych sposobach pozbywania się niepożądanych elementów oprócz wysyłania ich do Królestwa Ciemności.

"Nie zamordujemy go".

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

W drodze z wieży na dół czekał na nią Ram.

- To było genialne posunięcie, Indro.

- Uff, nie chciałam, żebyś to widział.

- Och, tego rodzaju rzeczy robią chyba od czasu do czasu wszyscy. Tylko przeważnie w samotności. Talornin jest z ciebie bardzo dumny. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Dopiero kiedy poszedł już dalej, zaczął rozmyślać o słowach, które powiedziała.

"Nie chciałam, żebyś to widział".



Lekkie drżenie przeniknęło pierś Rama. Oliveiro da Silva, myślał gorączkowo. On jest dla niej odpowiedni. Talornin tak mówi.

Skąd się bierze ten ból w piersiach?

Przed pomieszczeniami zajmowanymi przez białych kilku Strażników stało na "warcie.

- Jak się tutaj sprawy mają? - zapytał Ram.

- Oni wrzeszczą i krzyczą: "Halo, halo, co się tam dzieje?" Ale najwyraźniej nikt im nie odpowiada.

Ram wyjaśnił, co się stało, i poprosił Móriego oraz Marca, żeby ostrożnie otworzyli drzwi.

Uporali się z tym w parę sekund, ponieważ zamontowanych tu zamków nie wyposażono w tajne kody.

Trzej biali stali przy paradnym marmurowym stole i na widok wchodzących zaczęli wykrzykiwać słowa protestu. Ich ośmiu wasali i komendant oraz jakaś służąca szukali schronienia za ich plecami.

Talornin poprosił, by oddali władzę bez stawiania oporu. Poinformował, że kierowanie krajem przejmie Książę Słońca. Kiedy Talornin mówił, Ram odnalazł mechanizm regulujący hermetyczne zamykanie okien w pałacu.

Jak większość tego rodzaju "bohaterskich przywódców" trzej starcy, pragnąc ocalić własną skórę, uciekli się do drastycznych środków. Pochwycili kobietę, a Najbielszy ze Wszystkich przykładał teraz do jej szyi ząbkowany nóż, który znalazł na nakrytym do śniadania stole.

- Jeszcze krok, a poderżnę jej gardło! - wołał histerycznie.

Wszyscy widzieli tę scenę coraz wyraźniej, ponieważ okiennice i żaluzje zsuwały się z okien.

- Och, nie, dość już tego - mruknął Oko Nocy wprost do ucha Indry. - To zaczyna być po prostu nudne i męczące.

- Tak, ale tutaj plucie nic nie pomoże - rzeki Ram cicho za jej plecami.

Wytworzyła się sytuacja bez wyjścia. Ostrzeżenia Talornina, że tego rodzaju

głupie sztuczki i tak na nic się nie zdadzą, nie docierały do starców. Wszyscy trzej biali trzymali kobietę, która najwyraźniej wybrała złą stronę, a z tyłu za wodzami stali dzielni wasalowie, którzy jakoby mieli ich bronić.

Nieszczęsna kobieta przerażonymi oczami wpatrywała się wciąż w przybyłych.

- Idźcie stąd - syknęła. - Czy nie widzicie, czegoście narobili? Czy chcecie mieć na sumieniu moje życie?

- To nie my jesteśmy dla ciebie niebezpieczni - powiedział Talornin. - Grożą ci twoi kompani.

Wszyscy myśleli gorączkowo. Wiedzieli, że biali nie zawahają się przed poświęceniem kobiety. Nikt nie był w stanie nic zrobić, nikt nie chciał krzywdy innych.

Wtedy Indra, Oko Nocy i Ram coś zobaczyli, a wraz z nimi parę innych osób. W pomieszczeniu znajdowało się ogromne ścienne lustro, prawdopodobnie umieszczone tam po to, by Biali mogli cieszyć się swoim wspaniałym wyglądem, i oto teraz w tym lustrze zebrani zauważyli jakieś dziwne ruchy. Widzieli istoty, których nie było w pokoju.

Duchy Móriego!

Indra poczuła na ramieniu ostrzegawczy uścisk Rama. Ona sama ujęła dłoń Oka Nocy. Wszyscy troje trwali nieporuszeni, nie mieli nawet odwagi mrugnąć okiem.

Duchy, które po przybyciu do Królestwa Światła zrobiły się bardzo urodziwe, podeszły ukradkiem do grupy za stołem. Indra spostrzegła, że teraz w lustrze widać również wszystkich jej przyjaciół.

Nadal nikt się nie poruszał. Stali wyczekująco, przekazali duchom kierowanie sprawami.

Atlantydzi za stołem cofnęli się ku drzwiom w bocznej ścianie. Talornin nie protestował.

Powoli odbicie pokoju zniknęło z lustra. Widoczni byli tylko biali i ich poplecznicy.

Móri rozumiał. To są jego duchy. Szczególne pole do popisu miała tu Pustka.

- Patrzcie - rzekł do białych. - Popatrzcie w lustro, jesteście nieskończenie

urodzivymi mężczyznami!

Tamci obejrzeni się niemal automatycznie, uznali, że Móri mówił prawdę, i przyglądali się sobie z wielkim podziwem. Chcieli zapewne rzucić tylko okiem, ale widok pochłonał ich całkowicie. Widzieli siebie i swoich popleczników. Byli tak bezgranicznie piękni, że mimo woli wyprostowali się i unieśli głowy. Nóż jednak nie został opuszczony. Móri wypowiedział zaklęcie. W ten sposób utrwalił sytuację, biali nie mogli oderwać wzroku od lustra. W pokoju pojawili się dawni czarnoksiężnicy, Hraundrangi-Móri i Nauczyciel, przyłączył się do nich także Dolg. Tak więc w pokoju znajdowało się teraz czterech czarnoksiężników i wszyscy wiedzieli, czego oni potrafią dokonać.

Zebrani słyszeli prastare formułki. Oczywiście czarnoksiężnicy mówili różnymi językami, ale to nie miało znaczenia, rytuał wydawał się przez to jeszcze bardziej tajemniczy. Ponieważ przybysze z Królestwa Światła mieli ze sobą aparaciki Madragów, rozumieli, o co proszą czterej potężni mężowie. Padały słowa dość nieprzyjemne, ale bardzo skuteczne.

Czarnoksiężnicy cofnęli czas. Znajdowali się teraz w początkowym okresie tego królestwa, kiedy trzech biali mężczyźni byli jeszcze mali, a wielu spośród ich zwolenników w ogóle się nie narodziło. Śledzili ich życie przez stulecia, wspominali, co się z nimi działo, kolejni stojący za stołem ludzie pojawiali się w lustrze i teraz Indra oraz jej towarzysze pojęli, o co chodzi. Atlantydzki starzeli się w lustrze i starzały się ich ciała znajdujące się w pokoju, ale nie tak, jak starzeją się ludzie pod ochronnymi promieniami Słońca. Starzeli się tak, jak chciała natura. I nie był to piękny widok.

Kobieta i jedenastu mężczyzn krzyczało z przerażenia na widok swoich wyniszczonych twarzy i bezzębnych ust, na widok coraz straszniejszych zmarszczek, wypadających włosów i zmieniających się ciał. Nie byli w stanie tego znieść, próbowali zamykać oczy, ale wtedy Nauczyciel uczynił ruch i wszyscy stracili powieki tak, że nie było już mowy o przymknięciu oczu. Żadne z nich nie mogło się też odwrócić, musieli tak stać i patrzeć, jak ich nieprawdopodobnie

długie życie dobiega końca, zostały wreszcie tylko kości obciążone wysuszoną skórą, ale i one wkrótce zniknęły. Głosy starców umilkły już bardzo dawno temu. Z żadnego nie została nawet kupka popiołu.

Zaklęcia przestały działać.

Indra napotkała spojrzenie Talornina. Zobaczyła w jego oczach ulgę wywołaną tym, że duchy wzięły na siebie odpowiedzialność za unicestwienie tamtych, oraz wyrzuty sumienia, że odczuwa tę ulgę. Zrozumiała jego stan i uśmiechnęła się uspokajająco.

Nikt nie wypowiedział słów, które wszystkim cisnęły się na usta: "Powinniście byli zabić tylko tych trzech mężczyzn, a pozostałych oszczędzić. Przecież mieliśmy bronić kobiety!"

Nikt jednak nie chciał czynić wymówek duchom. Wszystko, co Talornin mógł zrobić, to skłonić się głęboko przed ośmioma istotami, które teraz pojawiły się w pokoju. Była wśród nich również Nadzieja, był Nidhogg. Zwierzę, Powietrze i Woda oraz Pustka. Duchy zdjęły im wielki ciężar z ramion.

21

Książę Słońca wyszedł na balkon i prosił zebrany tłum, by oszołomiony radością nie robił żadnych głupstw. Kraj został uwolniony i wszystkim będzie się żyło dobrze, tak jak kiedyś w Nowej Atlantydzie.

Marco, Móri i Dolg zostali jeszcze, by usunąć fanatyczne idee z głów zwolenników dawnej władzy i skierować ich lojalność na właściwy tor, zanim wypuści się ich z więzień. Towarzyszyło im paru Strażników, na wypadek gdyby trzeba było opanować chaos, z jakim należało się liczyć w ciągu pierwszych dni. A także po to, by bronić tych, przeciwko którym kierowała się nienawiść ludu, kiedy zostaną uwolnieni z więzień.

Wszyscy pozostali wrócili do Królestwa Światła.

Kiedy przechodzili przez straszną Przełęcz Wiatrów, Ram powiedział do Oka Nocy:

- Postanowiliśmy, że z czasem otworzymy to przejście i postaramy się, by było

trochę przyjemniejsze. Wiatr i woda muszą pozostać, zbiera się tu ich nadmiar z Królestwa Ciemności. Wprowadzimy jednak światło i zbudujemy lepsze drogi. Indra, która szła za nimi i słuchała rozmowy, nagle przystanęła pod wpływem nieoczekiwanej myśli.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale pomyślcie... pomyślcie, że...

Obaj panowie też przystanęli i spoglądali na nią pytająco. Wyglądała na bardzo wzburzoną.

- Tak, Indro? - rzekł Ram, kiedy Indra próbowała zebrać swoje chaotyczne myśli.

- Zastanawiam się - wyjąkała. - Minęło już parę tygodni, odkąd zabraliśmy Księcia Słońca i pozostałych z groty. Pomyślcie, że tymczasem mogli się tam znaleźć inni więźniowie.

Ram oddychał pośpiesznie.

- Masz rację, Indro! - wykrzyknął Ram. - Chodź! Zobaczymy, jak się sprawy mają. Oko Nocy, ty biegnij do Talornina i przekaz mu informację, że poszliśmy sprawdzić, czy nie wrzucono do groty jakichś kolejnych Atlantydwów. Wiesz, mogli to zrobić, nie zdając sobie sprawy, że dawnych więźniów Już tam nie ma.

- Oczywiście - rzekł Oko Nocy i zniknął.

Znaleźli się teraz w pobliżu tajemniczej ścieżki wiodącej do groty. Indra podążała za Ramem bez najmniejszych problemów, ponieważ miał on kieszonkową latarkę i oświetlał jej drogę.

Dlaczego nie mnie wysłał do Talornina, a sam nie zabrał Oka Nocy? myślała z mocno bijącym sercem. Dlaczego wybrał mnie?

Bo to ja wystąpiłam z propozycją, rzecz jasna, studziła swój entuzjazm. Nie było innego powodu!

Ram przystanął, by zorientować się w okolicy. W tym miejscu akurat ścieżka rysowała się niewyraźnie.

- Jak to dobrze, że odkryliśmy, kim jest Oko Nocy - rzekła Indra po prostu, żeby coś powiedzieć. - Dzięki niemu nasza ekspedycja na pewno się uda.

- Tak - odparł jakby nieobecny myślami. - Myślę, że wszystko pójdzie dobrze.

Wyprawę do Gór Czarnych będzie można przyspieszyć. Jak to dobrze, że nie musimy już mieć do czynienia z tym strasznym chłopcem!

Teraz Indra okazała całą swoją szlachetność.

- Myślę, że nie byłoby dobrze całkiem go odsunąć. Mimo wszystko przez całe swoje życie był do tego przygotowywany. Jak teraz tak go po prostu odepchnąć? Zabierzemy go, ja będę się nim opiekować.

Ram popatrzył na nią. Nigdy nie zrozumie tej dziewczyny, pomyślał. Nie powiedział jej też, że nikt nigdy nie postanowił, iż Indra weźmie udział w wyprawie, nie chciał jej ponownie zranić.

Indra zauważyła nagle, że ma plamy na spodniach i zniszczone bryle. Przez cały czas, który spędzili w Nowej Atlantydzie, nic takiego nie przychodziło jej do głowy. Teraz jednak chciała być ładna.

Och, nie powinna się tym martwić, tu i tak jest ciemno!

- Zobaczymy - rzeki Ram krótko i ruszył na poszukiwanie ścieżki. Powoli docierało do niej, że mówił o Reno.

- Chodziło mi o to, że przecież muszę wypełnić do końca zadanie - rzekła zdesperowana. - Doprowadziłam sprawy z chłopcem zaledwie do połowy, ale wy już wyznaczyliście mi nowe zadanie. Tego da Silvę. Zrobię, co będę mogła, żeby przywrócić mu radość życia, ale...

- Na pewno dasz sobie radę.

- Tylko nie proście mnie, żebym poszła z nim do łóżka! Ram zatrzymał się gwałtownie, ale nie odwrócił do niej. Po chwili znowu ruszył w drogę.

- Wcale nie musisz - mruknął stłumionym głosem. Przez chwilę szli w milczeniu, potem Indra zapytała niepewnie:

- Ram... czy to ty chciałeś, żebym zajęła się da Silvą? Usłyszała, że Ram westchnął ciężko. Potem odwrócił głowę.

- Nie, Indro. Ja tego nie chciałem - rzekł cicho. Kiedy zobaczył w świetle latarki, jak jej twarz rozbliła, znowu bardzo szybkim krokiem ruszył przed siebie. Indra musiała niemal biec, by za nim nadążyć.

Wkrótce znaleźli się na miejscu. Wyraźnie widzieli żelazne drzwi.

- Tutaj się wszystko zaczęło - szepnęła Indra do siebie.

- Co takiego? - zapytał Ram. Dziewczyna drgnęła.

- Och, wszystko - bąknęła wymijająco. Nie mogła mu przecież opowiedzieć, że to właśnie tutaj w głębokiej grocie on pocałował ją w policzek i trzymał w ramionach, pomagając jej wydostać się na górę, i że ten uścisk obudził w niej niezwykle uczucia.

Nie chciałby pewnie tego słuchać, poza tym gdyby się o tym dowiedział, nigdy już nie odważyłby się jej dotknąć.

Położył rękę na ciężkim zamku.

Teraz albo nigdy, za parę sekund będzie za późno. Może się już nigdy tak nie zdarzyć, że będą sami.

- Ram - rzekła gorączkowo. - Czy ty ciągle jesteś zakochany w tej kobiecie z ratusza? Tej, która cię zdradziła dla tamtego, który zaginał? Czy nadal myślisz o niej sprawia ci ból?

Uff, jakie to idiotyczne! Teraz on wszystkiego się domyśli. Jak mogła spytać o coś takiego? Dlaczego to zrobiła?

Ram opuścił rękę.

- Coś ty, droga Indro - powiedział, nie rozumiejąc jej pytania. - Zastanów się! Czy ty nadal jesteś zakochana w chłopcach, z którymi romansowałaś w zewnętrznym świecie?

- Nie, niech Bóg broni, zapomniałam o nich już dawno temu!

- No widzisz! Ja też uczyniłem to samo.

Ponownie zaczął otwierać zamek.

Indra stała za nim z rozpromienioną twarzą. Już o nic więcej nie będzie pytać. Nie warto przeciągać struny!

W grocie znajdowało się dwóch ludzi. I nie mogli zrozumieć, gdzie się znaleźli ani dlaczego raz w tygodniu ktoś wylewa na nich całe tony zupy. Nie wiedzieli też, kto znajdował się tu przed nimi. Uszczęśliwieni wydostali się na płaskowyż i

tymczasem zostali zabrani do Królestwa Światła. Gdy przywykną do nowych warunków, zostaną odesłani do domu.

Ram rozglądał się po swoim mieszkaniu, w którym bywał tak rzadko. Przeważnie krążył gdzieś po Królestwie, wykonując swoją służbę.

Dom utrzymywały w czystości kobiety z rodu Lemurów. Nie spotykał ich właściwie nigdy, może czasem przypadkiem w drzwiach, Witał się wtedy z nimi przyjaźnie, ale żadnej nie znal.

Po raz pierwszy patrzył na swój dom oczami innych. Bardzo piękny, harmonijny, ale zupełnie bezosobowy jak hotelowe pokoje. Zresztą nie on ten dom urządzał, zrobiły to kobiety, które tu sprzątały.

Usiadł w głębokim fotelu i nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony. Tak to jest, kiedy pracuje się dzień i noc, myślał.

Ale czym się właściwie zajmował w ciągu ostatnich miesięcy? Próbował sobie to przypomnieć, bawiąc się przez cały czas swoim małym telefonem.

Nienagannie wypełniał swoje obowiązki jako przywódca Strażników, to prawda.

Ale kiedy starał się uświadomić sobie wszystko inne, wciąż w jego pamięci pojawiali się członkowie rodu Czarnoksiężnika oraz Ludzi Lodu. Młodzież z obu tych rodów. O, Święte Słońce, czy rzeczywiście aż tak dużo z nimi przebywał?

Dlaczego?

Palce dotykały delikatnie klawiszy telefonu.

Czy jego szczególne zainteresowanie tymi rodzinami było tylko wymówką? Wciąż powtarzał, że młodzi są bardzo niesforni. I, oczywiście, tak było. Miranda, Jori, Tsi-Tsungga, Elena... rzeczywiście mieli różne szalone pomysły i często popadali w kłopoty, ale czy on z tego powodu musiał zapominać o innych mieszkańcach Królestwa? Tymczasem po prostu odpowiedzialność za nich przekazał innym Strażnikom, a sam...

Palce szukały konkretnych klawiszy. Myśli Rama zajęte były przeszłością aż do wydarzeń ostatnich tygodni.

Indra...



Czuł się dziwnie pusty w środku. Nie był w stanie myśleć ani czuć. Próbował sobie przypomnieć, co Indra mówiła, co robiła w różnych sytuacjach, ale gdy tylko zaczynał sobie coś przypominać, natychmiast obraz znikał niczym pajęczyna unoszona wiatrem.

Talornin był jego zwierzchnikiem. Kiedy jednak Ram teraz o nim myślał, odczuwał stłumiony gniew. Było to coś zupełnie nowego, bowiem Talornin to człowiek szlachetny i mądry, chociaż trochę surowy.

Oliveiro da Silva. Na myśl o tym człowieku w sercu Rama budziły się niezbyt szlachetne uczucia.

Przeklęty Talornin!

"Musisz sobie znaleźć kobietę, Ram" - powiedział Talornin nie dalej jak wczoraj. -

"Musisz mieć żonę, jesteś zbyt samotny. Jest przecież tyle ładnych i szlachetnych kobiet z rodu Lemurów. Co się dzieje z tą, z którą zamierzałeś się żenić wiele lat temu?"

Czy Indra o nią nie pytała? Czy ona wie, do czego zmierza Talornin? Nie, w żadnym razie nie może tego wiedzieć.

Piękne stopy w złotych sandałkach. Dowcipne repliki. Plamy na ubraniu. Pełen ironii stosunek do siebie, osobowość.

Wrażliwość. Wyraz bólu w pięknych oczach.

Samotność. Jego samotność. Pusty dom.

Telefon. Najpierw ta cyfra...

Przesady Talornina dotyczące mieszania się ras.

Ram wiedział, że Talornin nie jest rasistą. Tutaj chodziło o coś więcej niż o zwyczajną mieszankę ras. Tutaj mieszały się gatunki.

Kobieta z rodu Lemurów?

Jest wiele wolnych.

Jego ciało i dusza zaczynały się budzić jakby po bardzo długim śnie. Kobiety z rodu Lemurów nie miały z tym nic wspólnego.

Oliveiro da Silva.

Czy to sympatyczny człowiek? Czy Indra ulegnie jego czarowi, jak sobie tego życzy Talornin? To rzeczywiście byłoby najprostsze rozwiązanie.

I bardzo bolesne.

Dlaczego musiało być takie bolesne? Oczywiście, byłoby dobrze dla Indry, gdyby...

Ram zacisnął wargi. Zdecydowanie wybrał numer, zanim miał czas tego pożałować.

Nikt nie odpowiada. Nikt nie odpowiada!

Owszem! To jej głos. Dlaczego serce Rama bije tak mocno na dźwięk jej głosu?

- Indra... mówi Ram. Przypomniało mi się coś, co kiedyś do mnie mówiłaś, coś, czego nie dosłyszałem, bo "wicher nas zagłuszał.

Och, wymówki, wymówki!

- Cześć, Ram, jak to miło, że dzwonisz! Co takiego mówiłam, wyjaśnij bliżej.

Jej głos był dziwnie zdyszany. Ale jakże przyjemnie go znowu usłyszeć!

Ram zauważył, że się jąka, czego nigdy przedtem nie robił.

- To... t-t-to było za pierwszym razem, kiedy szliśmy przez Przełęcz Wiatrów. -

Nareszcie zaczął mówić normalnie: - Zawołałaś wtedy do mnie coś, ale potem oświadczyłaś, że to nie jest odpowiednia chwila na dyskusję o faunie. W każdym razie ja tak to usłyszałem.

Po drugiej stronie linii telefonicznej panowała cisza. Ram poczuł nagle, że ma sucho w ustach.

- Oczywiście - rzekła Indra tym samym lekko zdyszonym głosem, w którym wyczuwało się drżenie. Roześmiała się cicho. - Rzeczywiście chciałam o czymś z tobą porozmawiać.

- To zrób to teraz!

- Chętnie. To Miranda i Gondagil wpadli na dość szalony pomysł, chociaż myślę, że w gruncie rzeczy nie ma w tym nic szalonego. Oni mianowicie chcieliby sprowadzić do Królestwa Światła olbrzymie jelenie. Te piękne zwierzęta, na które tam polują nie mające o niczym pojęcia plemiona.

Ram zaczął się zastanawiać. To właśnie typowe dla grupy młodych, że zawsze próbują coś ulepszyć, a poza tym kochają zwierzęta.

- Pomysł jest znakomity, ale...

- Co znowu za ale?

- Istnieją dwie przeszkody. Po pierwsze, nie należy naruszać systemów ekologicznych. Przenoszenie zwierząt z ich naturalnego środowiska do nowego zawsze stanowi ryzyko. A po drugie: jak je zdołamy złapać i w jaki sposób przeprowadzimy przez mury?

- Mnie o to nie pytaj! Chciałam tylko powiedzieć ci coś, nad czym będziesz mógł się zastanawiać.

- No i udało ci się. Porozmawiam z Gondagilem, on lepiej zna te zwierzęta.

- Świetnie, bardzo bym się cieszyła, gdyby się to udało. Miranda również.

- Nie wątpię w to - roześmiał się Ram. Znowu zaległa cisza. Nagle nie mieli już sobie nic do powiedzenia. To znaczy, mieli, oczywiście, i to mnóstwo, ale to akurat powinno pozostać niewypowiedziane.

Myśli Rama krążyły bezładnie niczym nietoperze o zmroku. "Tylko nie proście mnie, żebym poszła z nim do łóżka!" A co będzie, jeśli Indra zmieni zdanie? Jeśli zakocha się w tym człowieku?

- Udało ci się już spotkać da Silvę? - zapytał bardziej szorstko, niż zamierzał, ale milczenie stawało się już nieznośne.

- Nie, i nie wiem, jak to zrobić.

-Ja też nie wiem. To zdaje się nie jest człowiek, którego można ot tak, po prostu spotkać.

- Nie, i nie będzie też chyba łatwo po prostu pójść do niego do domu i przedstawić się - powiedziała cicho. - "Dzień dobry, jestem Indra, która ma sprawić, by twoje życie znowu nabrało sensu". Uff, to brzmi strasznie!

- Owszem - przyznał Ram. - Ale Talornin znajdzie chyba jakieś rozwiązanie, to w końcu jego pomysł.

- Tak, rzeczywiście.

Rozmowa znowu zgasła. Zwykła bojowość Indry gdzieś się ulotniła. Jakby dziewczyna nie była w stanie uczynić już nic więcej.

- A więc nie będę ci już dłużej zawracał głowy - powiedział Ram stanowczo. -

Chciałem tylko zapytać o tę faunę.

- Miło, że zadzwoniłeś. Dobranoc, mój przyjacielu! Oj! Te słowa wywołały skurcz w jego sercu.

- Dobranoc, Indro! Dbaj o siebie! A więc to koniec. Ale pustka w domu nie była już taka nieznośna. Poczul się dużo spokojniejszy i położył się spać.

Oliveiro da Silva nie miał żadnych zainteresowań, które mogły go połączyć z Indrą. Nie grał w brydża - ona zresztą też nie, więc nie ma czego żalować, nie rozwiązywał krzyżówek ani nie układał pasjansów, nie lubił słodczy ani zwierząt, nie lubił też filmów. Po prostu nic!

Indra miała wiele głębszych zainteresowań, była odcytana i posiadała szeroką wiedzę, ale żadne z zajmujących ją zagadnień nie musiało obchodzić Silvy. Jeśli krył gdzieś w głębi duszy tematy, które go obchodziły, to nikomu tego nie zdradził. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka obojętnego na wszystko.

Ram zaczynał popadać w desperację. Talornin naciskał, bo widział, na co się zanosi, i bardzo go to martwiło. Nie chciał, żeby jego najbliższy współpracownik, szlachetny i pełen rezerwy dotychczas nienaganny dowódca Strażników, popadł w konflikt z etycznymi zasadami Królestwa.

Któregoś dnia doszło do ostrej wymiany słów, chociaż z pozoru obaj rozmawiali spokojnie. Ram powiedział z pobladłą twarzą:

- Przez cały czas mówisz o mieszaniu się ras, chociaż nigdy nie wspomniałem, że chciałbym się połączyć z tą dziewczyną. Zapominasz przy tym, że wy sami kiedyś dokonywaliście takich mieszanek na Ziemi z ludźmi, by stworzyć nas, Lemurów. I wiem, że nadal to robicie, chociaż na mniejszą skalę. Dowodem na to jest Armas. Na ziemi tacy jak on nazywani są dziećmi gwiazd.

- To całkiem inna sprawa - odparł Talornin krótko. - Dla Lemura połączenie z człowiekiem i posiadanie z tego związku dzieci jest krokiem wstecz,

zanieczyszcza rasę Lemurów.

- Albo krokiem naprzód dla rasy ludzkiej - zareplikował Ram ze złością. - Zresztą w ogóle nie ma o czym mówić, dziewczyna i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, a to przecież nie zostało zakazane. Poza tym ona nie znosi, żebym ją dotykał.

Te ostatnie słowa wypowiedział takim urażonym tonem, że Talornin drgnął.

Nie odpowiedział. Potrząsnął tylko z niedowierzaniem głową, widząc taką upartą, niemal świadomą ślepotę.

Ram jednak był głęboko poruszony, pożegnał się i poszedł. Sam uważał, że przyczyną wzburzenia były niesprawiedliwe oskarżenia Talornina. Może jednak przyczyn istniało więcej.

W powietrzu słychać było stłumione dudnienie bębenków. Trwało to dzień i noc od bardzo dawna. To indiańskie plemiona wzywały swoich bogów, by pomogły Oku Nocy, który otrzymał tak ważne zadanie. Jako wybrany będzie najważniejszą osobą w wyprawie do Gór Czarnych.

Ram rozmawiał z Indianami. Ptak Burzy, ojciec Oka Nocy, przez cały czas trwał niewzruszony, ale Ram, który potrafił tłumaczyć indiańską mowę ciała, widział, że stary jest niebywale dumny ze swego syna. I przestraszony. Bardzo przestraszony.

Matka Oka Nocy otwarcie nie okazywała żadnego zatroskania, ale oczywiście denerwowała się bardzo, Ram nie żywił co do tego najmniejszych wątpliwości. Miała poza tym wyrzuty sumienia, zresztą oboje rodzice je mieli dlatego, że tak długo milczeli o tym znamieniu, jakie syn nosi na czole. Ale Ram nigdy nie uczynił im z tego powodu żadnej wymówki. Bo nie należy zwracać uwagi Indianom, można bowiem doprowadzić, że w swoim przekonaniu utracą godność. Poza tym oni mają własne zwyczaje i własną kulturę, i tak jak to powiedział kiedyś Oko Nocy: nigdy nie słyszeli o żadnym wybranym, dowiedzieli się o tym dopiero niedawno. Więc Ram w rozmowie z Ptakiem Burzy i jego małżonką wyraził żal, że nie poinformował wcześniej Indian o całej tej historii z Górą Czarną oraz o wybranym, bowiem ten, zgodnie z pogłoskami, miał się znajdować w Nowej

Atlantydzie. Zresztą Ram zawsze bardzo się starał, by nie niepokoić niepotrzebnie Indian.

Ptak Burzy przyjął jego wyjaśnienia z powagą i lekkim ukłonem. "Jest to też moja wina, bracie" - rzekł krótko. - "Za bardzo się izolowaliśmy".

Ram uśmiechnął się na to przyjaźnie. "Będziemy to musieli zmienić".

Twarz Ptaka Burzy pozostała nieporuszona, ale jego oczy się śmiały. OH i Ram rozumieli się nawzajem wspaniale.

Odgłosy bębenków w ten późny wieczór były podniecające. Czy ona też je słyszy? myślał Ram, wracając do domu. Oczywiście, na pewno słyszy. Zdaniem Rama głos bębenków stwarzał między nimi silną więź, łączył ich.

Zatrzymał się i spoglądał z góry na miasto Saga, leżące spokojnie w osobliwym nocnym świetle. Starał się zrozumieć Indrę. Jej zdecydowanie, kiedy odsuwała się na widok jego wyciągniętej ręki. Jej rozpromienione oczy na Przełęcz Wiatrów, kiedy powiedział, że to nie on wymyślił sprawę Oliveiro da Silvy. Sposób, w jaki go niekiedy najwyraźniej unikała. Nie chciała patrzeć mu w oczy. A później jej słowa w telefonie: "Dobranoc, mój przyjacielu!".

O co jej chodzi? Czego chce? Co o nim myśli? I jak poradzić sobie z problemem da Silvy?

22

W końcu udało się znaleźć jakieś wyjście, ale sprawa wymagała czasu.

Ustalono, że Oliveiro da Silva przybył do Królestwa Światła pod koniec XVII wieku. Sam. Ustalono też, że jego rodzice byli z pochodzenia Hiszpanami.

Przybyli oni na Haiti wraz z żołnierzami i rozbójnikami Corteza na początku wieku XVI i potem osiedlili się w Meksyku. Według informacji Oliveiro jego rodzice przenosili się wciąż dalej i dalej, aż ostatecznie osiedli daleko na północy rozległego kraju Indian. Jak on sam później znalazł się w zapomnianej kopalni w Massachusetts, nie był w stanie wytłumaczyć i bardzo go to niepokoiło. Tak daleko na północ rodzice nigdy się nie przeprowadzili. Jednak on tam właśnie został znaleziony przez Obcych. Ponieważ był bardzo wyczerpany, bez

możliwości radzenia sobie samemu, a jednocześnie wyglądał na człowieka kulturalnego i inteligentnego, został zabrany do Królestwa Światła.

Tutaj osiedlił się i żył. Był to jednak nerwowy samotnik, nieustannie poszukujący śladów własnej przeszłości. Odległość pomiędzy domem w Ameryce Środkowej a Massachusetts w Nowej Anglii na północnym wschodzie wydawała mu się zbyt wielka i to go nieustannie dręczyło. Co utracił?

Początkowo próbowano wybić mu jakoś z głowy te bezsensowne myśli o przeszłości spędzonej w dawnym świecie i skłonić do aktywnego życia w Królestwie Światła, ale on wszystkim się wymykał. Nie pasował do tego świata. Nie chciał mieszkać w mieście nieprzystosowanych, w żadnym razie, na to był zbyt delikatny i wrażliwy. Żył jednak w samotności, pracował w wielkim archiwum w Zachodnich Łąkach i wydawało się, że najlepiej mu wśród stosów papieru i dyskietek. Przemykał się potajemnie do domu wieczorami i nie pokazywał aż do rozpoczęcia następnego dnia pracy.

Uznano, że właśnie poprzez tę pracę Indra będzie mogła nawiązać z nim kontakt. Przepytywano dyskretnie u kierownictwa archiwum, czym zajmuje się da Silva, i ustalono, iż porządkuje stare dokumenty dotyczące azteckich miejsc pochówku w Tenochtitlan, stolicy kraju, która została zniszczona przez Cortesa i jego konkwistadorów. Na ruinach owej stolicy wybudowano później miasto Meksyk. Indra musiała zdobyć różne wiadomości na ten temat. Ram zaproponował, że osobiście z nią nad tym popracuje, ale Talornin stanowczo zaprotestował. W zamian przyszedł jakiś Obcy, którego Indra przedtem nie знаła. Pracowali u niej w domu przez trzy dni i Obcy uczył ją historii Azteków.

Po zakończeniu "kursu" otrzymała pochwałę za to, że tak szybko czyni postępy. Rozkoszowała się tą pochwałą niczym kot śmietanką.

Teraz była gotowa pójść na spotkanie z da Silva. Najlepiej uczynić to zaraz, dopóki wiedza jest jeszcze świeża.

Wieczorem w dniu poprzedzającym pierwsze spotkanie przysłała do niej z wizytą Elena. Indra ucieszyła się na jej widok. Ostatnio nie miały wiele czasu na

przyjacielskie rozmowy.

- Jak się układają sprawy między tobą i Jaskarim? - spytała Indra.

Elena wzruszyła ramionami.

- Uff, sprawy kuleją jak zawsze. On wciąż nie chce wierzyć w moje uczucia do niego, tylko dlatego, że sam wyznał mi je pierwszy, i nadal uważa, że ja zakocham się w każdym, kto pokocha mnie. Jakby takich było wielu - mruknęła ze złością. - A ja nigdy nie byłam tak zakochana jak teraz. I to jest właśnie problem.

- Świetnie rozumiem, jak się czujesz - rzekła Indra. - Sama wpadłam w niezłe tarapaty.

Elena zrobiła wielkie oczy, kiedy tak siedziały w fotelach nad ciastkami i herbatą.

- Ty? Myślałam, że ty nie potrafisz się zakochać, przynajmniej nie na poważnie.

- Tym razem jest naprawdę poważnie. I wyglądałam się kompletnie.

- W jaki sposób, opowiedz! A przede wszystkim, kto to jest?

Indra westchnęła.

- Nigdy nie byłam nikim aż tak zajęta. Nie jestem w stanie myśleć o niczym, on zupełnie zawrócił mi w głowie. Niestety, jest niedostępny.

- Co? Jest żonaty?

- Nie, nie! Ale nie rozmawiajmy już o tym, to, co chciałam ci powiedzieć, to to, że kiedyś wyciągnął w moją stronę rękę, żeby mnie pogłaskać po policzku, a ja tak strasznie chciałam, żeby mnie dotknął, ale bałam się, że on odkryje, jak bardzo jestem podniecona, więc instynktownie odskoczyłam. To go bardzo zraniło, a ja nie mogę mu wytłumaczyć, dlaczego się tak zachowałam.

- Dlaczego miałabyś nie wytłumaczyć?

- Nie, coś ty, zwariowałaś?

Przez chwilę milczały.

W końcu Elena powtórzyła:

- Indro, kto to jest? Indra znowu westchnęła.

- Zupełnie beznadziejna sprawa.

- Dobrze, ale powiedz, ja nie wygadam.



- Tylko Dolg o tym wie. No i jeszcze Talornin, tak przynajmniej sędzę. Strzeże mnie niczym jastrzęb.

- A on sam nie wie? Ten, którego chciałabyś zdobyć? Indra niecierpliwie potrzęsnęła głową. Roześmiała się skrępowana.

- Nawet gdyby był kompletnym idiotą, to musiałby wiedzieć.

- No a on sam? Jego uczucia?

- Nie wiem, Eleno. Miotam się między nadzieją a rozpaczą. To wszystko jest potwornie skomplikowane.

Znowu zapadło milczenie, po czym Elena powiedziała cicho:

-No?

Indra głęboko wciągnęła powietrze.

- Ram.

- Żartujesz?

- Bardzo bym chciała!

- Ale on jest przecież... Nnnie, nie wierzę! Domyślałam się, że może Marco, Dolg, nawet Tsi-Tsungga, ale... Indro, on jest Lemurem! To przecież... szaleństwo!

- Tak, rzeczywiście. Ale co można na to poradzić?

- Czy tego rodzaju związki nie są zakazane?

- Otóż to właśnie. Sędzę, że Talornin mnie nienawidzi. Elena wstała i zdenerwowana zaczęła chodzić po pokoju. Aż tutaj w domu słyszały monotonne dźwięki bębenków z indiańskiej osady.

- Ram - rzekła w zamyśleniu. - Nigdy nie myślałam o nim jako... jako o niczym innym niż osobie obdarzonej wielkim autorytetem. Nigdy jako o istocie płciowej, jeśli mogę się tak wyrazić.

- Ale on jest taką istotą - zapewniła Indra cicho. -W przeciwnym razie nie rozbudziłby we mnie takich uczuć. On nie jest jak Marco lub Dolg, którzy zawsze pod tym względem są całkowicie obojętni. Ja go pragnę, Eleno, a to jest tylko jedno z uczuć, jakie do niego żywię. Kocham go. I potwornie cierpię!

Elena usiadła na oparciu jej fotela i otoczyła przyjaciółkę ramionami. Nadal

wstrząśnięta tym, co jej Indra wyznała, spoglądała przed siebie i nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów. Jej konwencjonalny sposób myślenia został zaburzony.

- Talornin zrobi wszystko, żeby nas rozdzielić - chlipnęła Indra żałościwie. - Teraz znowu mam ożywić jakiegoś faceta, którego dręczą problemy psychiczne. Nazywa się Oliveiro da Silva. Bogowie wiedzą, jakie plany ma wobec niego Talornin!

Elena wyprostowała się.

- Oliveiro da Silva? Ależ to niezwykle przystojny facet! Chociaż, moim zdaniem, trochę dziwny. Boi się własnego cienia. Nie, uważam, że Talornin jest niegłupi, Indro. Oliveiro to marzenie!

- Znasz go?

- Nikt nie zna da Silvy. Ale pracujemy w tym samym gmachu. Wszystkie dziewczyny się w nim podkochują.

- Przyjemnie, nie ma co - mruknęła Indra. Zdażyła się już opanować. - Nie, nie rozmawiajmy o nim akurat w tej chwili! Jeśli chcesz, to mogłabym powiedzieć jakieś dobre słowo na twój temat do Jaskarięgo. Opowiem mu, że tracisz rozum z miłości do niego.

W głowie Eleny pojawił się pewien pomysł, ale nie miała odwagi wypowiedzieć go głośno. Rzekła tylko:

- Tak, gdybyś mogła, byłabym ci wdzięczna. On nie chce mi wierzyć.

- Porozmawiam z nim - obiecała Indra. Pierwsze spotkanie z da Silva nie było wielkim sukcesem. Indra stanęła w drzwiach ogromnego archiwum i patrzyła na mężczyznę na wpół zakopanego w starych księgach, papierach i protokołach. On jej nie widział, mogła więc bez przeszkód obserwować jego odwróconą do niej bokię twarz, jego oliwkowobrnatne ręce, które niemal z czułością gładziły odwracane karty. Te ręce nigdy nie pracowały w ziemi ani nie mocowały się z usmarowanym olejem silnikiem. Paznokcie były nienagannie czyste i sprawiały wrażenie wypolerowanych.

Profil miał szlachetny, jak przystoi hiszpańskiemu szlachcicowi. Te czarne włosy uczesane po staroświecku dodawały mu urody, miał też nieprawdopodobnie długie, czarne niczym węgiel rzęsy. Niejedna gwiazda filmowa wiele by dała za to, żeby takie mieć.

Bardzo pociągająca twarz. Wrażliwe wargi, mocny podbródek i migdałowe oczy... O rany, to naprawdę sympatyczny człowiek! Indra wołała, żeby tak nie było, postanowiła przecież odnosić się do niego z rezerwą. On jednak stanowczo do tego nie zachęcał.

Zrobiła parę kroków pomiędzy półkami na książki i stolikami, po czym chrząknęła. Mężczyzna drgnął przestraszony i spojrzał na nią znad pulpitu. Oj, jakie on ma piękne oczy, ale jakież jest spłoszony!

Indra zdołała wywołać na wargi niepewny uśmiech.

- Oliveira da Silva?

Sprawiał wrażenie, że życzy sobie, aby ta obca kobieta natychmiast zniknęła.

- Tak - bąknął niechętnie.

Przedstawiła się i powiedziała, o co jej chodzi. Pisze właśnie pracę o upadku Azteków i dowiedziała się, że on jest wybitnym ekspertem w tej dziedzinie. Czy mógłby jej udzielić paru informacji?

Jego palce nerwowo przewracały kartki.

- Od dawna jest pani w Królestwie Światła?

- Nie. Przybyłam parę lat temu.

- Skąd?

- Z Norwegii.

- Norwegia, Norwegia - szukał w pamięci. - Ach, tak, zimna Skandynawia! - Czego więc pani sobie życzy? Mam mało czasu.

Mało czasu, pomyślała Indra szyderczo. Nie robisz przecież nic innego, tylko porządkujesz stare dokumenty, a to chyba nie jest przesadnie pilne zajęcie.

Zadała mu parę z góry przygotowanych pytań na temat Tenochtitlan. Odpowiadał wprawdzie, ale zauważyła, że przygląda jej się bardzo podejrzliwie i okropnie

szybko zakończył rozmowę. Indra mogła tylko podziękować i wyjść z niewypowiedzianą głośno nadzieją, że jeśli będzie miała jeszcze jakieś problemy, to może tu wrócić.

On nie sprawiał jednak wrażenia, że uważa taki pomysł za interesujący.

Elena czuła się maleńka i onieśmielona, kiedy wkroczyła do głównej kwatery Strażników i zapytała o Rama. Próbowala jednak dodawać sobie odwagi: Skoro Indra dba o moje sprawy, to ja powinnam też coś dla niej zrobić.

- Nie, Rama nie ma - zameldował wartownik z ironicznym uśmiechem.

- A kiedy tu bywa?

Elena dowiadywała się, gdzie i kiedy można go spotkać, ale nikt nie wiedział.

- Zaczekaj! - zawołał wartownik akurat w momencie, kiedy rozczarowana miała zamiar odejść. - Właśnie ląduje jego gondola. Ram będzie tu za moment.

Ram szedł zdecydowanym krokiem. Elena ponownie zmobilizowała całą odwagę i poprosiła o chwilę rozmowy. Bez słowa wskazał jej drogę do swego gabinetu.

W milczeniu obserwowała, jak zbliża się do biurka i siada. Dopiero teraz widziała w nim istotę podobną do ludzi. Wprawdzie zawsze go bardzo lubiła, ale przecież Ram jest Lemurem! Pochodzi z zupełnie innego gatunku niż ona. Patrzyła i patrzyła, próbując wyobrazić go sobie jako przyjaciela i kochanka, ale on sprawiał wrażenie całkowicie niedostępnego, obdarzony zbyt wielkim autorytetem i zbyt obcy jak dla prostej Eleny. Nie potrafiła nawet myśleć, żeby kiedykolwiek mogła się w nim zakochać.

Jak Indra mogła?

- No, o czym chciałaś ze mną mówić, Eleno? - rzekł przyjaźnie, a ona drgnęła na dźwięk jego głosu. - Nie miałaś chyba żadnych problemów po tamtych przykrych wydarzeniach w mieście nieprzystosowanych?

- Co takiego? Nie, oczywiście, że nie... Uff, jak on może pytać o takie rzeczy akurat teraz? Zapomniała już o tamtych sprawach.

Patrzył na nią pytająco, więc ponownie musiała zebrać całą odwagę. Indra jest jej najlepszą przyjaciółką, a przyjaciel należy wspierać w biedzie.

- Chodzi o Indrę - wykrztusiła dzielnie. Spostrzegła, że twarz Rama zeszywniała.

- Nie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę -mruknęła zdjęta lękiem.

- Nie! Co z Indrą? Czy ma jakieś problemy z da Silva?

- Tak. Nie, zresztą nie wiem. Bardzo ją rozczarowało pierwsze spotkanie z nim, ale...

Umilkła. O rany, w co ja się wdałam? Rozmawiać o takich sprawach z jednym z najwyższych postawionych w Królestwie Światła? A właściwie to ile on ma lat? Musi być strasznie stary!

Jeszcze raz pomyślała, że Indra nie może mieć dobrze w głowie.

- No? - Ram starał się, by jego głos brzmiał przyjaźnie, ona jednak dostrzegła, że się niecierpliwi. Boże, zabierz mnie stąd! Nie dam sobie rady!

- Jej jest bardzo przykro - wykrztusiła w końcu Ele-na. - Obawia się, że uraziła was... ciebie. A wcale nie miała takiego zamiaru.

Nie, naprawdę nie powinna rozmawiać z Ramem o miłości, to nie wypada, Ram jest zwierzchnikiem i pochodzi z rasy tak samo obcej ludziom jak... jak... No właśnie, jak zwierzęta. Chociaż on i jego pobratymcy dominują nad ludźmi i są dużo, dużo mądrzejsi. Mądrzejsi niż ludzie i chyba patrzą na nich z pewną pogardą.

- Proszę cię teraz, żebyś powiedziała dokładnie, z czym do mnie przyszłaś, Eleno

- rzekł łagodnie.

- Nie, to nic, nie powinnam...

Ram wstał i wyszedł zza biurka z ponurą miną. Ele-na przestraszyła się, więc przybrał łagodniejszy wyraz twarzy. Ujął ją za ramię.

- Muszę to wiedzieć!

Patrzyła w jego czarne oczy. Kiedyś, zanim jeszcze lepiej poznała Lemurów, twierdziła, że mają oni oczy owadzie. Ale to nieprawda. Mimo że oczy Lemurów są całkiem czarne, to jest w nich wiele urody i wyrazu. Czytała w oczach Rama, jak bardzo pragnie wiedzieć, co ma mu do przekazania. Było to takie intensywne, że dziewczyna musiała mrugać, by nie odwrócić wzroku.

A gdy nadal milczała, spytał szorstko:

- Czy to Indra cię przysłała?

- Och, nie - wyszeptała przestraszona. - I ona nie może się dowiedzieć, że tu byłam, do końca życia by mi tego nie wybaczyła!

Elena nigdy nie osiągnęła takiej swobody w zachowaniu jak Indra. Była wychowana surowo i pozostała wciąż dość naiwna, wciąż też miewała problemy z wiarą w siebie. Ram musiał się bardzo starać, by nie okazywać zniecierpliwienia, Elena widziała to.

- No, powiedz mi - prosił cicho. Nie była w stanie na mego patrzeć. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię wykrztusiła zmieszana:

- Indra bardzo się boi, że cię uraziła pewnego razu, bo odsunęła się gwałtownie, kiedy wyciągnąłeś rękę, by jej dotknąć.

Ram odetchnął głośno, jakby od dłuższej chwili wstrzymywał oddech.

- Uraziła mnie - rzekł krótko. Elena skinęła głową.

- Ale ona wcale tego nie chciała. Ona nie dlatego się odsunęła.

- W takim razie dlaczego to zrobiła? - zapytał po krótkiej chwili.

- Tego nie mogę powiedzieć. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że to nie było tak, jak myślisz.

Kiedy chciała się odwrócić i odejść, on przytrzymał ją mocno za ramię.

- Więc dlaczego to zrobiła? Dlaczego?

No to wpadłam po uszy, pomyślała Elena spłoszona.

- Bała się, że uznasz, iż ona nie lubi, byś jej dotykał - Elena w końcu odzyskała głos.

- Rozumiem. Ale dlaczego się odsunęła?

- Z zupełnie innego powodu. Teraz muszę już iść, zaczynam się spieszyć...

- Z jakiego powodu?

- Nie, tego nie mogę powiedzieć. Nawet mnie o to nie pros!

- Ale ja muszę wiedzieć. Jest tyle rzeczy, dotyczących Indry, których nie rozumiem.

- Ona nigdy mi tego nie daruje!

- To zostanie między nami.

Ram widział tylko kark Eleny, tak nisko dziewczyna pochylała głowę. Wyszepiała niemal niedosłyszalnie:

- Zrobiła to dlatego... dlatego... ona strasznie cię lubi i nie chciała, żebyś się domyślił. Była bardzo... Elena słyszała, że Ram wstrzymuje oddech.

- Mów dalej - rzekł.

-Nie!

- Owszem!

- Była bardzo podniecona.

O Boże, co ja zrobiłam? Ram uniósł jej podbródek. Najpierw nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, potem poczuła, że absolutnie musi to zrobić. Och, jak jego oczy płoną! Och, jak on się pięknie uśmiecha! Ale za tym uśmiechem czaił się również smutek.

Nagle nieoczekiwanie Ram objął Elenę i przycisnął do siebie, mocno i zarazem bardzo delikatnie.

- Dziękuję, Eleno - powiedział wzruszony. - Dziękuję ci, sprawiłaś mi wielką radość.

W tym momencie, w ramionach Rama, Elena zaczęła rozumieć uczucia Indry. Nie jest żadnym surowym, starym mężczyzną. Jest młody i bardzo, ale to bardzo pociągający.

- Dziękuję - szepnęła, nie bardzo wiedząc za co. Wyswobodziła się z uścisku i pobięła do drzwi.

- Elena... Przystanęła.

- Tak jak powiedziałem, sprawa zostanie tylko między nami. My z Indrą nie mamy przyszłości. Nie wolno mi się do niej zbliżyć, więc nie mów jej tego, ale... W ostatnich dniach nie jest mi łatwo. Twoje słowa to najlepsze, co mi się mogło zdarzyć.

Elena skinęła głową ze łzami w oczach.

Wyszła pospiesznie z uczuciem, że serce pęknie jej w piersi - z dumy, że odważyła się na ten dobry uczynek, i z żalu nad losem tych dwojga.

Elena bowiem była niezwykle romantyczną dziewczyną.

23

Ram chciał zadzwonić do Indry, by z nią choć chwilę porozmawiać. Nie mówić niczego, czego nie powinien, ale okazać jej życzliwość, dać do zrozumienia, że nic nie mąci ich pięknego stosunku, przekonać o swoim oddaniu, nie wyznając jednak miłości.

Bowiem teraz Ram miał już jasność co do swoich uczuć. Trzeba było na to czasu i właśnie to, że tak wyraźnie odskoczyła, kiedy chciał jej dotknąć, nie pozwalało mu uporządkować spraw.

Teraz wiedział i radość rozsadzała mu piersi, choć jednocześnie smutek i ból przepelniały jego serce. Tej bariery, jaką stanowiło ich pochodzenie z odmiennych gatunków, nie mógł i nie powinien był przekraczać.

Tak więc sprawy trzeba pozostawić własnemu biegowi. Ale telefon to nic szkodliwego.

Indry jednak nie zastał w domu, poszła do Mirandy i Gondagila. Ram nie mógł o tym wiedzieć, tymczasem musi wyjechać, został wysłany do Nowej Atlantydy, potrzebowano tam jego pomocy.

Kiedy wyszedł na dwór, stwierdził, że głosy bębnow umilkły. Pojawił się za to inny dźwięk.

Śmiertelne zawodzenia z Gór Czarnych, już od dawna ich nie słyszał. Albo może tak do nich przywykł, że po prostu przestał zwracać uwagę? Może to cisza, jaka nastąpiła, gdy umilkły bębny, robiła takie wrażenie?

W żalonych krzykach jednak słyszało się teraz coś nowego. Nie było w nich takich złowieszczych tonów od czasu, gdy Jori i Tsi-Tsungga zostali uwięzieni w tych Górach Śmierci.

Czy udało im się schwytać kogoś nowego?

Nie, któż by to mógł być?



Słysząc było w zawrocie coś jeszcze. Strach? Przeróżenie? Może lęk właśnie przed tymi górami? Ech, co za głupstwa!

Rozległo się teraz przeciągłe i naprawdę złowieszcze wycie.

Ram ruszył przed siebie.

I tam właśnie mieli się wyprawić. Już niedługo. To szaleństwo przedsiębrać taką podróż.

Indra odczekała dwa dni, po czym uznała, że może zrobić kolejny krok w stronę da Silvy.

Rozpytywał o nią, dowiedziała się tego od Eleny. Przeglądał jej osobistą kartotekę i temu podobne.

No popatrzcie, a więc jednak jakaś iskierka ciekawości! To bardzo dobrze, łatwiej jej będzie nawiązać kontakt. Nie pragnęła wprawdzie zainteresowania z jego strony, ale to zawsze pomoc, która się przyda.

Jeśli oczywiście nie odkrył jakichś strasznych wiadomości na temat jej osoby.

Wtedy w ogóle nie będzie chciał mieć z nią do czynienia.

Ale co by to mogło być? Zresztą, chociaż nie przyjął jej za pierwszym razem z radością, to też nie odniósł się do niej wrogo.

Ich rozmowa o Aztekach toczyła się w normalnej atmosferze. zaproponował, że będzie z nią rozmawiał po angielsku, a kiedy zaprotestowała: "To nie ma znaczenia, w jakim języku będziesz mówił, ja i tak zrozumie", on się upierał.

Przywykł do angielskiego w Królestwie Światła, zanim pojawili się Madragowie ze swoimi aparacikami.

Oczywiście, on jest tu od siedemnastego wieku, a Madragowie przybyli dopiero w osiemnastym.

Błogosławieni Madragowie, wszyscy ich kochają.

Indra starała się zadawać możliwie jak najinteligentniejsze pytania, odwołując się przy tym do jego wiedzy. Ożywił się, widząc, że może popisywać się swoimi umiejętnościami, i Indra stwierdziła, że nawiązała kontakt. Do tego stopnia, że...

Poprosił ją, by przyszła również następnego dnia, to już naprawdę wielki krok

naprzód. Nikt z pracujących w tej samej sali nie wierzył własnym oczom i uszom, widząc, jak odprowadza ją do drzwi i zaprasza na jutro.

Następnego dnia zdobyła się na odwagę i zabrała ze sobą zdjęcia z Nowej Atlantydy, bo przedtem okazywał pewne zaciekawienie tym krajem. Indra wiedziała, że bezprzewodowy telefon działa, uznała, że i Ram, i Talornin powinni się natychmiast dowiedzieć, że udało jej się zmiękczyć samotnika. Już. Była bardzo dumna ze swoich sukcesów...

- A tu mamy stolicę Nowej Atlantydy - wyjaśniła, wyjmując zdjęcia. - Czy widziałeś kiedyś takie szaleństwo na punkcie porządku?

Da Silva potrząsnął głową.

- Jak to dobrze, że udało wam się stłumić tę histerię - mruknął.

Kilka zdjęć spadło na podłogę, Oliveiro natychmiast się schylił i zaczął je zbierać, jedno po drugim.

Nagle wydał z siebie przeciągły jęk i ze zgrozą wpatrywał się w trzymaną w ręce fotografię. Indra zobaczyła, co zdjęcie przedstawia, i próbowała mu je wyrwać.

- To nic takiego - tłumaczyła zawstydzona. - Sfotografowałam to przez pomyłkę. Zaraz wyrzucę. Zobaczyła, że da Silvie drżą wargi.

- Ale co na nim jest? - wyszeptał zaszokowany.

- Och, to tak zwany kamień złego oka - uśmiechnęła się, w pełni świadoma ordynarnego erotyzmu zdjęcia.

- Czasami bywa też określane jako "wiedźma zamku".

Twarz Oliveiro przybrała barwę żółtobiałą. Odsunął się od Indry, dygotał tak, że musiał usiąść. Ku przerażeniu Indry wykonał nad nią znak krzyża.

- Idź sobie! - powiedział. - Idź i nie wracaj tu więcej! Indra stała zdezorientowana.

- Co się stało? Czy mogłabym ci w czymś pomóc? Machnęła tylko ręką w panice, jakby się przed nią bronił. Nie pozostawało jej nic innego, jak po prostu sobie pójść.

Ram otrzymywał raporty o jej sukcesach i o porażce. Było mu jej żal, więc po powrocie z Nowej Atlantydy wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowił się z nią

spotkać.

Początkowo nie bez obaw i wyrzutów sumienia. Musiał ją jednak zobaczyć znowu, musiał dać jej do zrozumienia, że nie tylko ona cierpi, choć zdawał sobie sprawę, jakie to niebezpieczne postępowanie. Będzie to straszna udręka dla nich obojga, ale czyż tęsknota nie jest udręką? I niepewność co do uczuć drugiej strony?

Indry nie było w domu. Jej ojciec, Gabriel, niczego się nie domyślając, poinformował, że córka poszła na wzgórze. Bardzo była dzisiaj zdenerwowana, nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Ram szukał jej gorączkowo. Zmuszał się, by iść spokojnie, ale serce tłukło mu się w piersi ze strachu, że jej nie znajdzie. Nie było jednak odwrotu, musiał ją zobaczyć, porozmawiać z nią.

Na nic więcej nie mogą sobie pozwolić! Nie dotknie jej nawet, wie przecież, gdzie jest granica.

Znalazł ją na zboczu pokrytym kwiatami, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto. Ram na moment przymknął oczy. Jak słodko i jak boleśnie zarazem było na nią patrzeć, myślał o niej nieustannie, przez cały czas.

Bez słowa usiadł obok niej, usłyszał drżące westchnienie, którego nie umiał sobie wytłumaczyć.

Ona o niczym nie wie, nie wolno mi zdradzić Eleny, pomyślał. Nie dać poznać, co wiem. Chociaż to niesprawiedliwe wobec Indry, która musi się czuć strasznie... opuszczona.

To nie jest właściwe słowo, nie potrafił jednak znaleźć innego.

- Rozmawiałem z da Silva - rzekł cicho. Na dźwięk jego głosu Indra drgnęła.

- Zmarnowałam wszystko - bąknęła. Ram widział, jaka jest spięta.

- To nie twoja wina. On jest naprawdę dziwnym człowiekiem.

O, Święte Światło, ten wspaniały profil! Ta skóra, której tak bardzo chciałby dotknąć. Raz już próbował, ale potem tak się sprawy pokomplikowały. Wtedy chciał jej tylko okazać sympatię, teraz wszystko się odmieniło. Zapanowało

między nimi napięcie, powietrze drgało od wibracji, w duszach obojga dominowało uczucie niespełnienia, ale tak już, niestety, będzie musiało pozostać.

Podjął znowu wątek da Silvy.

- On najpierw bardzo protestował i absolutnie nie godził się na kontynuowanie waszych spotkań, ale kiedy wielokrotnie powtarzałem, że przez niego nie zdasz ważnego egzaminu, pozwolił ci w końcu przyjść. Zastrzegł jednak, że musicie siedzieć w pokoju, gdzie wszyscy mogą was widzieć, kategorycznie nie życzył sobie żadnego sam na sam.

- Dziwny facet - mruknęła. - Cierpi widocznie na jakiś kompleks seksualny, skoro nie może patrzeć na trochę zbyt śmiało zdjęcia i nie odważy się zostać w pokoju sam z dziewczyną. Co on sobie myśli, że zacznę mu robić jakieś nieprzystojne propozycje?

Ram uśmiechnął się przelotnie, po czym zapytał:

- Polubiłaś go?

Indra odetchnęła ze złością:

- Polubiłam? No wiesz? Był dość miły, dopóki się nie załamał, to wszystko.

- Więc nie odczuwałaś do niego... żadnej słabości? Indra odwróciła się do niego gwałtownie. Oczy jej płonęły.

- Więc o to wam chodziło? Żebym ja się nim zainteresowała? W takim razie możecie dać sobie spokój, myślałam, że w takich intrygach ty nie bierzesz udziału!

Znowu wszystko popsułem, pomyślał Ram zmartwiony. Czy zawsze w jej obecności muszę się wyrażać tak niezręcznie?

Postanowił być z nią szczery. Przecież wiedział teraz o niej wszystko, a ona o nim niewiele.

- Indro, to nie był mój pomysł i zapewniam cię, że wcale go nie popierałem, wprost przeciwnie. Nie wiem, czego Talornin się spodziewał po twoich kontaktach z da Silvą, ale kiedy do niego poszłaś, cierpiałem piekielne męki.

Tak więc wszystko zostało powiedziane. Ale niczego przecież nie zyskiwali,

skazując drugą stronę na niepotrzebne cierpienie.

Indra siedziała bez ruchu. Obejmowała ramionami podniesione w górę kolana, na których oparła głowę.

- Dziękuję - wyszeptała w końcu.

- Indro, ty przecież wiesz, że istnieją prawa... i bariery. Ja nigdy ich nie złamię. Nigdy w żaden sposób nie chciałbym ci zrobić krzywdy.

- Wiem. Ale przecież możemy nadal być przyjaciółmi?

- Niczego bardziej nie pragnę. Zapewniam cię, ale nie mówmy już o tym.

Oboje wiedzieli, że postępują wbrew Talorninowi, siedząc tak sami, z dala od innych, żadne jednak nie chciało odejść. To taka piękna chwila. Bolesna, ale piękna. Wspomnieniami o niej oboje, będą się długo pocieszać.

- Opowiedz mi o sobie, Ram.

- Czytasz w moich myślach - uśmiechnął się. - Sam miałem ochotę to uczynić, ale nie wiedziałem, czy powinienem.

Indra wyciągnęła rękę w stronę jego dłoni spoczywającej na trawie, ale natychmiast ją cofnęła. Żadnego dotykania, to zbyt ryzykowne.

- Ile masz lat?

- A czy to ma jakieś znaczenie? Wszyscy tutaj jesteśmy przecież równoletkami.

- Owszem, ale mimo to chciałabym wiedzieć.

- Tak, rozumiem. Urodziłem się w Królestwie Światła. Przed... Tak, to będzie jakieś sześćset ziemskich lat temu.

- Znaczący, według tutejszej rachuby pięćdziesiąt lat? To nie tak znowu dużo - rzekła pogodnie. Ram uśmiechnął się. - Nie wyglądasz na pięćdziesięciolatka. Najwyżej na jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć. Ale twoje oczy świadczą o wielkiej mądrości.

- Tak to jest, kiedy się ma do czynienia z losem wielu istot. Nie tylko ludzi, muszę się opiekować wszystkimi, a tu przecież żyją przedstawiciele różnych ras i gatunków.

- No tak, ale za to masz niezwykle interesujący zawód, prawda?

- Bardzo! Ale bardzo też jest mi potrzebny ktoś, z kim mógłbym dzielić to wszystko. To znaczy, nie chodzi mi o pomocnika, ale kogoś, do kogo bym wracał, kto czekałby na mnie w domu, komu mógłbym opowiadać o swoich sprawach, dyskutować, planować. To nie może być byle kto. Nie znalazłem nikogo takiego aż do tej pory... Ale nie, nie wolno nam o tym rozmawiać!

- Myśleć jednak możemy. To wprowadzie samoudręka, ale... powiedz jeszcze o sobie!

- Właściwie to nie ma zbyt wiele do opowiadania. Szybko piąłem się w górę właśnie dzięki mojej obowiązkowości. Kiedy rodzina Czarnoksiężnika przybyła do Królestwa Światła, miałem dwadzieścia pięć lat i właśnie awansowałem. Wtedy nie byłem jeszcze dowódcą, ale powierzono mi odpowiedzialność za tę liczną grupę, bo jej członkowie to wyjątkowe istoty, zarówno Móri, jak i jego krewni, jak zresztą wszyscy, których ze sobą przyprowadzili. Elfy, Madragowie, wszystkie duchy...

-Tak.

Indra chciała zadać kolejne pytanie. Wykrztusiła je z trudem.

- A ta historia z piękną kobietą z rodu Lemurów, pracującą w ratuszu?

Potrząsnął z przejęciem głową.

- Jeszcze o niej nie zapomniałaś? Bo ja tak. Już samo to, że widuję ją niemal codziennie, nie doznając najłżejszego ukłucia w sercu, powinno cię uspokoić. Ona zresztą jest znacznie ode mnie starsza. Żyje tu chyba od paru tysięcy lat, jak sądzę, to znaczy ziemskich lat.

- Czyli blisko dwieście lat wedle tutejszej rachuby? -Indra uspokoiła się. - I nigdy nie wychodziła za mąż?

- Nie, ja myślę, że ona czeka na tamtego, który zaginął. Mamy tu chyba do czynienia ze wszechogarniającą miłością.

- Musiało ci wtedy być ciężko.

- Nie - prychnął. - To była znajomość z rozsądku. Wszystko urządził Talornin, który uważał, że muszę być jakoś zakotwiczony w życiu, mieć rodzinę.

- Talornin chyba za bardzo miesza się do prywatnych spraw innych - rzekła Indra w zamyśleniu.

- Nie możemy podawać w wątpliwość decyzji Obcych. Nie mamy prawa.

- Kimże są ci Obcy?

- To jest pytanie, na które nigdy nikt nie znalazł odpowiedzi, więc przestań się tym przejmować!

- Dobrze, wobec tego inne pytanie. Co się stało z Reno? Nie widziałam go od powrotu z Nowej Atlantydy.

- Został odwieziony z powrotem. Małżonka Księcia Słońca zatroszczy się o to, by wybić mu z głowy te wszystkie wielkopańskie maniery.

- Biedny chłopiec - szepnęła Indra sama do siebie. - Niełatwo jest dorosłym przeżyć upadek z piedestału, dzieciom prawdopodobnie jeszcze trudniej.

- Tak, i właśnie dlatego Księżę Słońca prosił Marka o pomoc. O to, by Marco ostrożnie spróbował uwolnić jego umysł od skłonności do wszystkiego, co ocieka krwią i jest makabryczne.

- To brzmi nieco lepiej. Marco potrafi niewiarygodnie dużo.

- To prawda. Jesteśmy mu nieskończenie wdzięczni, że zechciał przybyć do nas, do Królestwa Światła. On jest po prostu nieoceniony.

- Owszem. On i Dolg. I wielu innych, włączam do tego grona również ciebie.

- Dziękuję - uśmiechnął się. Indra wyprostowała się teraz.

- Czy to nie dziwne, Ram? Siedziałam tutaj sama i prawie nie widziałam tego wspaniałego krajobrazu wokół. Teraz bardzo wyraźnie widzę piękno okolicy, bo podziwiam je razem z tobą. Patrzę na te niebieskie kwiatki, przypominające dzwonki, i wiem, że ty także je widzisz. Dzięki temu stają się dwa razy takie ładne, chłodne powietrze tu na górze odczuwam jak pieśczętę i śpiew ptaków słyszę tak wyraźnie, jakbym go rozumiała. Albo spójrz na te piękne topole, czy co to są za wysokie drzewa tam na horyzoncie. Czy widziałeś coś bardziej dekoracyjnego, mimo że rosną rozrzucone byle jak, bez cienia dyscypliny, tam gdzie prawdopodobnie nie powinno ich być?

Ram czuł, że całe jego ciało przenika szczęście. Uśmiechał się szeroko i ciepło.

- Dokładnie to samo myślałem poprzedniego wieczoru. Słyszałem dudnienie bębenków i wyobrażałem sobie, że ty też je słyszysz, odczuwałem "wspólnotę z tobą, chociaż dzieliły nas dziesiątki mil. Rozumiesz to?

- Bardzo dobrze. I rozumiem, co masz na myśli, mówiąc "dziesiątki mil", bo w rzeczywistości to przecież nie jest tak daleko, prawda?

- Nie, ale to jest nasza tajemnica.

Z rozmarzenia wyrwało ich potworne wycie z Gór Czarnych. Skończyła się chwila spokojnej rozmowy, podczas której do głosu dochodziły serdeczniejsze tony.

Popatrzyli na siebie, przestraszony wywołany nieoczekiwanym wyciem wciąż jeszcze trwał w ich duszach i oboje równocześnie podnieśli się z miejsc.

- Powinnaś teraz pójść do da Silvy. On czeka na ciebie.

- Czy nadal muszę odgrywać tę komedię? Wiem już, czego oczekuje ode mnie Talornin, poza tym nigdy się nie zakocham w da Silvie, żeby był nie wiem jaki sympatyczny i urodziwy.

- Miło mi to słyszeć - uśmiechnął się Ram. - Teraz jednak twoje zadanie zostało rozszerzone. Masz się dowiedzieć, co go gnębi. Chodź, odprowadzę cię do gondoli.

Już przy pojeździe, który miał odwieźć Indrę do Zachodnich Łąk, ich drogę przeciął Oko Nocy.

- Boże, jak ty źle wyglądasz - jęknęła Indra. - Czy to tak trudno być wybranym?

- Nie spałem przez wiele nocy - przyznał Indianin. - Ceremonie, modły posyłane do przodków, duchów i bogów. Właśnie idę do domu, żeby się nareszcie przespać.

- Nawiązaliście kontakt? Oko Nocy wahał się.

- To nie byli Indianie, możecie to sobie wyobrazić? Tak, ale to właściwe istoty. Tak, nawiązaliśmy kontakt. Oni są zadowoleni z wyboru i z rozwoju wypadków.

Wszyscy, których prosiliśmy, przyjdą, by stać u mego boku, kiedy czas się dopełni.

- Nie mógłbyś mieć lepszych obrońców - rzekła Indra, a Ram potwierdził



skinieniem głowy.

Oko Nocy był przyjemnie zaskoczony, że tak poważnie traktują jego kulturę. Ale przecież zdążyli się przyzwyczaić do duchów, więc...

- Nielatwe zadanie otrzymałeś - rzekł Ram. - Przeważnie błądzimy w ciemnościach. Tak mało wiemy o Górach Czarnych.

- Kiedy ruszamy?

- Już niedługo. Jeszcze w tym miesiącu przeanalizujemy wszystko od początku, zwłaszcza z Madragami. No i zobaczymy.

Gdy Ram sprawdzał, czy gondola Indry jest w porządku, Oko Nocy odciągnął dziewczynę na bok.

- Indro - zapytał cicho. - Powiedziałaś niedawno, że my oboje jedziemy na tym samym wózku. Co miałaś na myśli?

Zawahała się na moment, a potem odparła:

- Chciałam powiedzieć, że ani ty, ani ja nie mamy wyboru.

- Nie rozumiem.

- Że z powodów etnicznych i etycznych musimy pozostać tam, gdzie jesteśmy.

Więcej powiedzieć nie mogę.

Oko Nocy patrzył na nią pytająco. Potem spojrział na Rama, później znowu na nią.

- Oj, oj, Indra - rzekł z wyrzutem. - Masz rację, jedziemy na jednym wózku.

Roześmiała się bezradnie.

- Wygląda na to, że wszyscy w naszej grupie napotykają jakieś przeciwności.

Elena i Jaskari, na przykład. Miranda też musiała pokonać wielkie przeszkody, chociaż ona mimo wszystko dostała w końcu Gondagila. Tsi musiał się pogodzić z samotnością. Armas... Ty i ja... Oko Nocy, dlaczego musimy dokonywać takich wyborów?

- Żeby to ja wiedział - odparł, nie ukrywając, ile Berengaria naprawdę dla niego znaczy. Indra współczuła mu z całego serca.

Ach, prawda, muszę porozmawiać z Jaskarim i Eleną, pomyślała, kiedy pożegnała się z wybranym Królestwa Światła i poszła w stronę gondoli.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku - oznajmił Ram. - Myślę, że mogę wyprawić cię w drogę.

- Uff, nie lubię tego, najchętniej zapomniałabym o da Silvie.

- Niedługo się to skończy. Uważaj tylko, żeby się w tobie nie zakochał!

- Nie mam szans! Zawahał się na moment.

- Wiem, że kiedyś w przyszłości będziesz musiała znaleźć sobie jakiegoś mężczyznę z rodu ludzkiego, ale akurat teraz nie jestem w stanie o tym myśleć.

- Ja też nie. Zobaczymy się niedługo?

- W najbliższym czasie nie. Talornin uparcie trzyma mnie z dala od ciebie. Stali teraz dokładnie naprzeciwko siebie. Trudno im było się pożegnać, zwlekali, jak długo mogli. Byli osłonięci przed wzrokiem niepowołanych. Zresztą na drodze wiodącej do rozległych indiańskich lasów i tak nikogo nie było widać.

- Czas płynie - rzekł w końcu Ram. - Musisz już iść.

Skinęła głową.

Oboje wiedzieli, że to w jakimś sensie rozstanie, że znaleźli się u rozstaju dróg, skąd każde powinno podążać w swoim kierunku.

Ram patrzył na Indrę i serce krajało mu się z bólu.

Kiedyś odsunęła się, gdy próbował niewinnie się do niej zbliżyć. Teraz wiedział, dlaczego to zrobiła. Wiedział także, że było jej z tego powodu strasznie przykro, rozumiał jednak znakomicie, że nie była w stanie mu tego wyjaśnić, by się całkowicie nie odsłonić.

Z bólem w sercu Ram postanowił dać jej jeszcze jedną możliwość.

Przecież na pewno bardzo by chciała przekonać go, że nie uczyniła tego z niechęci. Może właśnie teraz nadarza się okazja?

Wstrzymał oddech. Już od dawna tak się nie bał. Nieskończenie ostrożnie uniośł dłoń.

Dostrzegł tylko lekkie drżenie powiek dziewczyny. Stała nieruchomo, kiedy koniuszkami palców dotknął jej policzka. Słyszał jej stłumiony, niepewny oddech. Położył całą dłoń na policzku ukochanej, przesunął delikatnie w dół i dotknął

palcami warg, leciutko, niczym muśnięcie ptasiego skrzydełka.

Wyciągnął obie ręce i wolno położył na jej ramionach. Indra mimo woli przytuliła się do niego.

Stali w milczeniu, nieruchomi, co najmniej przez minutę. Indra nigdy nie odczuwała takiego spokoju. Zniknęła bolesna tęsknota, jakby on siłą woli zdołał pokonać i jej, i własne pragnienia. Jakby chciał, żeby czuli tylko wspólnotę, nic więcej.

- Nareszcie dotarłam do domu - szepnęła Indra.

- Ja także - odpowiedział.

Po czym wypuścił ją z objęć i spojrzał jej głęboko w oczy. Widziała w jego spojrzeniu smutek i ból, że musi ją opuścić, sama czuła, że żal rozerwie jej serce na strzępy, wiedziała, jak straszna tęsknota ją czeka.

Dał jej znak, by poszła do gondoli. Posłuchała i korzystając z jego pomocy, wsiadła do pojazdu.

Ram stał nadal i patrzył, jak gondola powoli wznosi się ku niebu, biorąc kurs na Zachodnie Łąki.

Nie przeczuwał nawet, że posyła Indrę na spotkanie największego koszmaru jej życia.